

PAWEŁ SMOLEŃSKI

(Tomasz Jerz)

POKOLENIE KRYZYSU

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1989

POKOLENIE KRYZYSU

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 454

ISSN 0406-0393

ISBN 2-7168-0121-3

IMPRIME EN FRANCE

**Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE**

PAWEŁ SMOLEŃSKI

(Tomasz Jerz)

POKOLENIE KRYZYSU

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1989

OD WYDAWCY

Texty składające się na tę książkę traktują o problemach i zjawiskach charakterystycznych dla współczesnego pokolenia młodych Polaków, którzy sami siebie chętnie określają mianem pokolenia bez przyszłości. Świadomość braku jakichkolwiek realnych szans na zaspokojenie ich potrzeb i aspiracji rodzi powszechną frustrację, ta zaś prowadzi do jednej z trzech możliwych reakcji: pierwsza to emigracja, druga — bunt, trzecia — rezygnacja. Autor poszedł tropem tej drugiej. Z artykułów, reportaży i wywiadów, napisanych w latach 1986-1988 (z których znaczna część ukazała się w kraju, na łamach Wolnego Pisma Most oraz w paryskiej Kulturze), powstał obraz samoobrony młodzieży przed stoczeniem się w nihilizm. Ta samoobrona przyjmuje różne formy — od aktywności religijnej przez społeczną i kulturową do politycznej. Jest to pozorne rozproszenie potencjału. Jak uczy historia, w pewnym momencie te różne nurty mogą się połączyć i utworzyć siłę wybuchową konfliktu społecznego na wielką skalę. Ta perspektywa jest wciąż realna, mimo zmian, jakie zaszły w kraju od czasu napisania tekstu, który prezentujemy Czytelnikowi.

Warszawa, marzec 1989 r.

MŁODZIEŻ — JAKA JEST

Wyniki badań socjologicznych są alarmujące. Polskiej młodzieży nie podoba się dokładnie nic z tego, co składa się na polską rzeczywistość. Generacja, której dojrzewanie przypadło na lata kryzysu, odnosi się z równym „poważaniem” do władzy jak do społecznych autorytetów związanych z ruchem „Solidarność”. Wielu lekceważąco traktuje nawet Kościół — rzecz to niezwykła w powojennej historii Polski. Niezależnie z której strony przyjrzymy się polskiej młodzieży, niezależnie, czy nasze spojrzenie związane jest z punktem widzenia elity władzy, elity opozycji czy też poglądem dorosłej, „milczącej większości”, nowa generacja wydaje się tworem zupełnie różnym od poprzednich pokoleń młodzieży. Jest grupą ludzi, z którymi szalenie trudno nawiązać kontakt i nawet wątpliwość porozumienia.

Takiego zjawiska nie pojmuje prawie nikt. Bo przecież w Polsce zawsze istniały utarte wzorce osobowe, z którymi nastolatki lat pięćdziesiątych, sześćdziesiątych czy jeszcze nawet siedemdziesiątych nie zwykły głośno dyskutować.

Oficjalny dydaktyzm głosił — oczywiście w zależności od czasów — iż młody człowiek winien być wiernym duplikatem Pawki Korczagina, przodownikiem pracy walczącym o przekroczenie planu produkcji, skrajnym optymistą wierzącym w „drugą Polskę”, popijającym Coca-Colę i wyzywającym się w dyskotekach członkiem licencjonowanej organizacji młodzieżowej. Model nastolatka — zdaniem władzy wart naśladowania — oscylował od skrajnej rewolucyjności i bezkrytycznego realizowania definiowanej przez rządzących aktualnej linii politycznej, po ciche przystosowanie się i podporządkowanie zastanej rzeczywistości.

Także strona będąca w konflikcie z władzą była święcie przekonana, iż młodzież można zdobyć patriotyczną poezją narodowych wieszczów, niezależnym dokształcaniem, nauką prawdziwej historii, działaniami na rzecz niepodległości i demokracji.

Aż tu nagle okazało się, że dla większości młodzieży punkowa piosenka znaczy więcej niż wszystkie dzieła Mickiewicza razem wzięte. Że patriotyzm, niepodległość i demokracja są pojęciami tak zużyтыми, że nie warto wprowadzać ich do słownika. Że wszystkie autorytety dorosłych poszły w odstawkę. Że oto przez Polskę idzie „trzecia fala” — nie związana ani z władzą, ani z opozycją, ani z Kościołem. Przy czym jest to pochód ludzi głęboko wierzących w swoją wartość i zarazem żywiących przekonanie, że należą do straconego pokolenia, któremu nic nie może się udać. Przypomina to pochód w stronę cmentarza, nawet w dosłownym tego słowa znaczeniu.

W 1986 roku zanotowano w Polsce prawie cztery i pół tysiąca samobójstw wśród ludzi młodych (według Światowej Organizacji Zdrowia na 15 zamachów samobójczych tylko jeden jest udany). Mniej więcej sześćset tysięcy jest zagrożonych narkomanią. W grupie wiekowej od 15 do 28 lat 21 tysięcy osób leczy się w poradniach odwykowych, a 1200 tysięcy nadmiernie pije. W tragicznej polskiej rzeczywistości alkohol i narkotyki są destrukcyjnym sposobem samorealizacji, po który młodzież często sięga.

W Polskim Towarzystwie Socjologicznym przed kilku laty zaprezentowano referat porównujący stan ducha młodzieży polskiej zarejestrowany w 1978 roku z postawami młodzieży zachodnioniemieckiej z 1982 roku. Konkluzją wystąpienia było stwierdzenie: „młodzież z RFN przypomina swawolnego Dyzia, a nasza — zagonioną zwierzynę”. Pamiętajmy, że jeszcze u schyłku epoki gierkowskiej i zmierzchu snów o potędze praktycznie nikt nie zauważał nasilającego się w Polsce konfliktu pokoleń. Mówiło się wówczas, iż młodzi są identyczni jak ich rodzice, że wierzą w swoje szanse, są zadowoleni, promienni, optymistyczni. „Zagoniona zwierzyna” — ponure to porównanie, zważywszy choćby na fakt, iż nikt wtedy nawet nie wyobrażał sobie, że może być znacznie gorzej.

Cóż więc powiedzieć dzisiaj w dobie lawinowo postępującej ruiny gospodarczej, kryzysu społecznego, ekonomicznego, politycznego i moralnego? Gdy podczas trzeciej

pielgrzymki do Ojczyzny, w czerwcu 1987 r., papież Jan Paweł II przeznaczył kilkadziesiąt minut na nieoficjalne spotkanie z młodzieżą pod siedzibą biskupów krakowskich, od tysięcy osób zgromadzonych na plantach usłyszał jedyny nowy na trasie całej podróży okrzyk: „Weź nas z sobą!”. Była to najzwyczajsza skarga na rzeczywistość, prośba nie do spełnienia, ale jednak prośba, w której urzeczywistnienie wierzy się głęboko. Według badań prowadzonych przez Instytut Badania Problemów Młodzieży, ponad 50% młodych ludzi chce wyjechać z kraju (wprawdzie wielu z nich nie mówi otwarcie o emigracji, jednak większość określa czas pobytu na Zachodzie jako nieokreślony). Wyjazd, ucieczka od spraw krajowych to jedno z najważniejszych zbiorowych marzeń młodej generacji, które — niezależnie od realnych możliwości działania — dyskredytuje i władzę, i opozycję.

Większość polskiej młodzieży lat osiemdziesiątych bez widocznego gołym okiem protestu przyjmuje otaczającą ją rzeczywistość, w bierności i apatii patrzy na to, co jest. Pewnie, że w domowym zaciszu pokrzyczą na brak możliwości rozwoju, na utracone lata. Ale — jak na razie — nie ruszą palcem, by cokolwiek zmienić.

Zgodnie z wynikami ankiet tylko 10% młodzieży przywiązuje jakiegokolwiek znaczenie do aktywności społecznej. Prawdopodobnie w innych krajach dane statystyczne mówią to samo. Tragedia polskiego młodego pokolenia nie polega więc na tym, iż zaledwie garstka pragnie aktywnie działać na rzecz przemian, lecz na fakcie, iż między elitą a „milczącą większością” istnieje przeraźliwa pustka. W kraju są jedynie aktywni i apatyczni, nie ma zaś średnich, którzy co prawda na co dzień nie robią nic, ale „od święta” zdolni są do największego wysiłku.

Być może jest to diagnoza zbyt pesymistyczna. Wszak cuda się zdarzają — w sierpniu 1980 pierwsze skrzypce zagrała właśnie młodzież.

Przy wyraźnym dychotomicznym podziale młodej generacji lat osiemdziesiątych warto skupić uwagę na tych aktywnych. Z nich bowiem wyrosną ci, którzy zadecydują o obrazie przyszłej Polski. I do nich w głównej mierze odnosi się renesansowa sentencja Frycza-Modrzewskiego: „Takie będą Rzeczypospolite, jakie ich młodzieży chowanie”.

Niestety, zdecydowanej większości młodej generacji wszystkie polskie siły społeczne nie potrafią zaproponować dokładnie niczego. Model zdeklarowanego ZMP-owca i wizerunek

przekonanego o swoich racjach opozycjonisty to wzorce należące do pokolenia dorosłych, do przebrzmiałej historii. Nie-regularne pismo Ruchu Wolność i Pokój, *A Capella* — było nie było grupy opozycyjnej, która w pewnym stopniu identyfikuje się z „Solidarnością” i ideałami Sierpnia — żartobliwie stwierdza: „Kościół św. Brygidy w Gdańsku z okazji 13 grudnia organizuje z dużą pompą koncert z cyklu 'Czy mnie jeszcze pamiętasz...?' Gwiazdą koncertu będzie niewątpliwie idol sprzed lat, współpracujący obecnie z Cepelią Leszek Wałęsa i jego śpiewająca rodzina (chór dziecięcy Dzieci Lecha). Ponadto imprezę uświetnią swoim udziałem odkurzeni wykonawcy, 'ZOMO sisters', 'Blues KOR-band', punk rockowy KPN oraz rock and rollowa orkiestra 'Bujak! Bujak!'. W programie: różaniec, wspólne oglądanie zdjęć sprzed lat, bigos i dyskoteka. Bilety można nabywać już od dziś w Muzeum Archeologicznym w Gdańsku oraz w wydzielonych placówkach na terenie całego kraju”.

Jerzy Wertenstein-Zuławski, socjolog z Polskiej Akademii Nauk, zajmujący się badaniami nad kulturą młodzieżową, wyróżnia cztery sfery aktywności młodzieży, prowadzące do ucieczki bądź też obchodzenia systemu. Są nimi: działalność gospodarcza, polityczna, religijna i kulturowa. Dla pełnego obrazu aktywności polskiej młodzieży trzeba dodać i tych, którzy swoją wizję przyszłości realizują poprzez działalność w filialnych wobec władzy organizacjach młodzieżowych. Wolno przypuszczać, iż członkowie Socjalistycznego Związku Młodzieży Polskiej, Zrzeszenia Studentów Polskich, Związku Młodzieży Wiejskiej czy etatowi działacze harcerstwa to w przyszłości ludzie stanowiący o obliczu władzy. Dlatego liderzy wymienionych organizacji już dziś należą do grupy uprzywilejowanej tak w dostępie do dóbr materialnych, jak i oficjalnej drogi kariery. Wszystko to czyni z nich ludzi wyjątkowo posłusznych (stracić można zbyt wiele, jeżeli z wyrachowania przyjęło się taki model życia) tak więc jakiegokolwiek przemiany w tej grupie uzależnione są od przemian wśród rządzących — następcy muszą być wiernymi kopiami swoich poprzedników, gdyż inaczej wypadną z gry.

Aktywność gospodarcza młodzieży jest również w znacznym stopniu zależna od odgórnych decyzji i akceptowana przez władze, przy czym nie ma to istotniejszych związków z legalnością czy półlegalnością podejmowanych wysiłków. Trudno bowiem przypuszczać, by władza nie dostrzegała szarej sfery gospodarki, zdominowanej w znacznym stopniu

przez młodzież. Wystarczy przejść się po coniedzielnych giełdach czy po otwartych przez okrągły tydzień bazarach, by przekonać się, jak wielki procent ogółu handlujących stanowią ludzie przed trzydziestką. Tutaj interes polega głównie na bardzo korzystnym przeliczniku między kursem dolara a złotówką, żeruje zaś na permanentnej ułomności handlu państwowego. Wyjechać za granicę, coś kupić, później sprzedać w kraju z należnym zyskiem — oto wzór doskonałego interesu.

Cała rzecz byłaby nie do pomyślenia bez cichego przyzwolenia władzy. Być może rządowi specjaliści od wychowania młodzieży myślą, iż prywatny import, graniczący często ze zwyczajnym przemysłem i półlegalny, nawet spekulacyjny handel wytrącą młodzież spod wpływów politycznej opozycji. I w pewnym sensie racja jest po ich stronie, gdyż bez respektowania układów rządzących nieoficjalnie polskim życiem gospodarczym podobna aktywność byłaby na szerszą skalę niemożliwa. W grę wchodzi przecież łapówki, przekupstwa, prezenty, osobiste znajomości.

Stosunkowo niewielu młodych angażuje się w tradycyjne gałęzie rzemiosła, choć z drugiej strony większa część punktów oferujących usługi video czy komputerowe należy do postsolidarnościowej generacji. To również *signum temporis* — młodzież wie, że nie wytrzyma konkurencji z rzemieślniczymi wyjadaczami, zaś dziedziny młode są w jakimś stopniu bardziej bezpieczne.

Każdy kij ma jednak dwa końce. Rządowi spece od wychowania winni pamiętać, iż uwikłanie się w łapowniczo-protekcyjne układy nie oznacza zaakceptowania systemu, gdyż obowiązujące ograniczenia prawne zawsze przerosną możliwości korupcji, więc zawsze będzie gorzej niż być powinno. Przy okazji warto wspomnieć, że właśnie w tych środowiskach młodzieży obowiązuje mit idealnego Zachodu, gdzie każdy i zawsze może zarobić i dorobić się.

Drugą sferą aktywności młodych jest polityka. Tuż po wprowadzeniu stanu wojennego wielu nastolatków szukało kontaktu z podziemnymi strukturami Solidarności, często zapominając o specyficznych potrzebach własnych środowisk, bądź też identyfikując je z interesem ogólnospołecznym. Młodzi, którzy zasilili „dorosłą” opozycję, stali się automatycznie przekąźnikiem przenoszącym stare wartości i wzory do swojej generacji. Ale też powstało kilka formacji „pokoleniowych”, mniej lub bardziej wyraźnie dystansujących się od „dorosłego” podziemia.

W 1984 roku wielki rozgłos zyskał gdański Ruch Społeczeństwa Alternatywnego, anarchizująca formacja, skupiająca uczniów i studentów. Homki — tak uczestnicy RSA nazwali samych siebie, od tytułu pisma reprezentującego Ruch, *Homek* — protestowali przeciwko każdemu państwu i każdej władzy, upatrując w tradycyjnej (nawet demokratycznej) organizacji społeczeństwa objaw dyktatury i ograniczania wolności jednostki. Skłaniali się ku koncepcji społeczeństwa federacyjnego, uwarunkowanego potrzebami świadomych wspólnot i jednostek.

RSA stał się sławny, gdy podczas niezależnych demonstracji pierwszomajowych w Gdańsku uczestnicy Ruchu zorganizowali bojówki broniące manifestantów. Zaciętość walk sprawiła, iż przebieg gdańskich demonstracji stał się podstawą raportu o stanie nastrojów społecznych, sygnowanego przez Lecha Wałęsę.

Organizacja Homków okazała się raczej tworem efemerycznym, co nie oznacza jednak, iż rozpad RSA pozostawił za sobą martwą przestrzeń. Wiele odłamów WiP-u — ruchu ze wszech miar pokoleniowego i charakterystycznego dla aktywnej politycznie części postsolidarnościowej generacji — czerpie swój światopoglądowy rodowód z anarchistycznych deklaracji Homków. „Chaos, zamęt, krwawe zamachy terrorystyczne, ponurzy ludzie, ubrani na czarno, zaczytani w książkach Bakunina. Słowem — bandyctwo, złodziejstwo, kurestwo. Tak wygląda wypracowany przez propagandę obraz anarchizmu” — stwierdza artykuł w cytowanym już piśmie *A Capella* (na winiecie literę „A” umieszczono w charakterystycznym kółeczku). Artykuł wyjaśnia, że anarchizm jest czymś zupełnie różnym, przy czym używane wielokrotnie słowo „propaganda” ma w tym wypadku wielowymiarowe znaczenie, odmawiające wiarygodności tak prasie oficjalnej, jak i bezdebitowej w komentarzach dotyczących anarchii i anarchizmu (gdańskie RSA było wielokrotnie oskarżane o kontakty z SB, agenturalną wobec podziemia rolę, flirt z „żydokomunistycznym spiskiem” i masonerią).

Obok WiP-u i RSA istnieje kilka środowisk skupiających młodzież szkół średnich, na przykład gdańska czy warszawska Federacja Młodzieży Walczącej. Prężnie rozwija się w uniwersytetach zdelegalizowane Niezależne Zrzeszenie Studentów, dziś organizacja całkowicie różna od swojej posierpniowej poprzedniczki.

Jest charakterystyczne, iż zdecydowana większość młodych ludzi zaangażowanych w polityczną działalność opowiada

się za skrajnymi, radykalnymi rozwiązaniami. Na przeciwnym biegunie do młodych anarchistów stoją ludzie skupieni w młodzieżowym duszpasterstwie, funkcjonującym przy warszawskim kościele na ulicy Zagórnej. Wygłaszane tam sądy i opinie są skrajnie prawicowe, ze wszelkimi tego stanu konsekwencjami. Na Zagórnej nienawidzi się masonów, gardzi się Żydami, ale i innymi narodami, pluje na rozpasany Zachód i kolektywistyczny Wschód. Bóg i naród, pisany w tamtejszych publikacjach wielką literą — oto słowa wyznaczające przyszłość Polski. Przy czym Bóg nie jest w ich interpretacji wyrozumiałym i dobrotliwym ojcem, lecz siłą niszczącą nieprawomyślnych, naród zaś to najwyższa doczesna kategoria, warta wszelakich poświęceń. Według młodzieży z Zagórnej odszczepieńcami są wszyscy poza nimi, a więc WiP (odmowa służby wojskowej jest równoznaczna ze zdradą ojczyzny), socjaliści wszelkiej maści, konserwatyści i chrześcijańscy demokraci.

Generalnie przykościelne i religijne ruchy młodzieżowe święcą w dzisiejszej Polsce wielką popularność, zwłaszcza aktywny od schyłku lat pięćdziesiątych Ruch Światło-Życie, popularnie zwany oazowym. W oazową działalność, inspirującą — z grubsza licząc — co najmniej kilkanaście dziesiątek tysięcy młodych Polaków zaangażowali się ci, dla których ortodoksyjna wiara katolicka jest najlepszym antidotum na przygnębiającą codzienność. Trzeba jednak zauważyć inne wspólnoty chrześcijańskie, na przykład grupy charyzmatyczne czy neokatechumenaty, wzorowane na doświadczeniach zachodniego katolicyzmu, przez co w Polsce raczej wyobcowane, a nawet traktowane jako heretyckie.

Dla katolickiego w ponad 90% kraju, zwłaszcza dla duchownych i ludzi silniej związanych z religią i Kościołem, swoistą niespodzianką, postrzeganą częstokroć jako zagrożenie dla własnych pozycji, jest nagła erupcja zainteresowania kultami Wschodu, głównie buddyzmem, zen i hinduizmem. Zrzeszeni w ogólnopolskiej wspólnotcie zen utrzymują, iż zwolennikami tej sztuki medytacji i religijnego odrodzenia jest w Polsce kilka tysięcy młodych ludzi.

Mimo głoszenia przez Kościół konieczności poszukiwania wspólnego języka między religiami, polscy wyznawcy kultów Wschodu traktowani są przez wielu duchownych i co bardziej zaściankowych, a w swoim przekonaniu gorliwych katolików, jako odstępcy od wiary. Niektórzy zarzucają im nawet świadome rozbijanie jedności narodu i Kościoła.

Wreszcie ostatnim sposobem obejścia oficjalnego systemu jest ucieczka w subkulturę. Takie rozwiązanie obejmuje z całą pewnością zdecydowaną większość populacji, różny jest tylko stopień zaangażowania. Jednemu wystarczy słuchanie muzyki rockowej i określony fason ubrania, inny realizuje się poprzez uczestnictwo w alternatywnej wspólnotce. Dziś trudno specyficzne przejawy kultury młodzieżowej traktować jako przemijającą modę — cała sprawa trwa zbyt długo, by można przypisać jej łatkę sezonowości (podobnie jawi się popularność wschodnich wyznań, obecnych w Polsce już od kilku lat).

Udział w kulturze młodzieżowej można graficznie przedstawić w formie piramidki, na której szczycie stoją grupy opinio- i wzorotwórcze, zwykle zorientowane na konkretny rodzaj ideologii, sztuki czy muzyki. Mogą to być punkowe zespoły i towarzyszące im „załogi”, towarzyskie kręgi polskich rastas zasłuchanych w reggae, ale też grupy ludzi aktywnych w oficjalnie działającym ruchu monarowskim czy również oficjalnej, pacyfistyczno-ekologicznej firmie „Wolę być”. Dół piramidy stanowi zaś owa młodzieżowa „milcząca większość”, która jednak w znacznym stopniu identyfikuje się czy to z modą na określone stroje, czy ze sposobem zachowania się i zewnętrznej ekspresji pokoleniowej inności (wielu młodych chciałoby dołączyć do punkowych grup, ale powstrzymuje ich strach przed otoczeniem, nauczycielami, rodzicami), czy wreszcie z muzyką.

Zwłaszcza muzyka rockowa ma tutaj bardzo szeroki zakres oddziaływania — słucha jej właściwie cała posierpniowa generacja. Z tego też względu treść rockowego przekazu jest bardzo dobrym miernikiem zmiany nastrojów i postaw młodego pokolenia. W czasie stanu wojennego piosenka mówiła o złym, zniewalającym systemie, niesprawiedliwym wobec zwykłych, szarych ludzi, z którymi młodzież w znacznym stopniu identyfikowała się, choćby poprzez wspólnotę doświadczeń związanych z represjami. Później rockowe teksty zaczęły atakować właśnie tę szarość: „sami jesteście sobie winni obecnej sytuacji, gdyż sami siebie zniewalacie, dobrowolnie wyrzekliście się wolności”. Jednak cały czas był to rozpaczliwy krzyk protestu, niemniej tylko krzyk. Ostatnio coraz więcej piosenek głosi konieczność walki, stwierdza, że młodzież ma już dosyć, że siłą dobije się swoich praw.

Rzecz jasna, iż modelowo czyste sposoby obchodzenia bądź ucieczki od systemu możliwe są jedynie teoretycznie.

Jak bowiem zaklasyfikować bardzo aktywny wrocławski Ruch Nowej Kultury, którego działania dotyczą samego sedna polskiej sytuacji politycznej i społecznej, lecz prowadzone są niekonwencjonalnymi metodami, uciekającymi się do happeningu, ulicznego, spontanicznego widowiska. Okazuje się, że w przekonaniu tych młodych ludzi dzień wojska polskiego, milicji i służby bezpieczeństwa czy rocznicę rewolucji październikowej można „uczcić” nie tylko wydaniem poważnego oświadczenia, lecz przede wszystkim obśmiewającą zabawą. Podobnie jest z niektórymi technikami *non-violence* stosowanymi przez środowiska WiP-owskie.

Fakt pozostaje faktem, iż dorośli — niezależnie od politycznych zapatrywań, społecznej pozycji czy osobistych biografii — stracili kontakt z młodzieżą lat osiemdziesiątych. W sumie nie ma się czemu dziwić. Sprawy młodzieży zagubiły się w mnogości innych polskich problemów. Deklaracje władz zawsze pozostawały pustymi słowami — w końcu ile pokoleń może słuchać o wzrastającej roli młodzieży, stwarzaniu nowych szans i otwieraniu szerszych perspektyw — kiedy rzeczywistość redukuje obietnice do zera. Zaś opozycja odnosi się do spraw młodej generacji z równym „szacunkiem”, tyle że nic nie obiecuje, gdyż młodzież jest dostrzegana tylko incydentalnie. Reporter bezdebitowego pisma *Vacat*, relacjonując festiwal muzyki rockowej w Jarocinie napisał: „W miarę jak Związek zdycha, a my nie potrafimy ani go reanimować, ani porzucić, coraz częściej zwracamy uwagę na młodzież. (...) RSA Homek, różne federacje młodzieży szkolnej, że nie wspomnę o najdojrzałszym (i programowo i wiekowo) WiP-ie”. Zapewne w opinii tego dziennikarza, a sądzę, że i w opinii większości czynnie zaangażowanych w postsolidarnościową działalność, młodzieżą można się zająć wtedy, kiedy na wszystko inne nie będzie już ani szans, ani ochoty. A że wówczas (kto wie, czy ten moment już nie nadszedł) może być za późno? Myślę, że taki wariant był rozważany zaledwie przez garstkę solidarnościowych działaczy.

Trudno przecenić znaczenie Sierpnia 80 i czasów legalnego istnienia „Solidarności” dla rozwoju potrzeb, aspiracji, ale i możliwości działania młodzieży (jest to widoczne również i dzisiaj — tam, gdzie istnieją prężne ogniwa związkowe, na przykład we Wrocławiu, tam również młodzi ludzie są o wiele bardziej aktywni). Nawet kulturowa alternatywa

zaistniała w tak szerokim wymiarze również ze względu — choć przyczyny można mnożyć — na posierpniową odwilż. Nie zmienia to jednak faktu, iż dla młodych ludzi i partyjni, i solidarnościowcy to takie same wapniaki — podobnie tryktywnym jest w ich opinii nauczyciel — członek PZPR, jak i wychowawca udzielający się w niezależnych od władzy strukturach. Obaj otrzymali etykietę „zgreków” i — jak na razie — niczego innego nie mogą i nie powinni się spodziewać.

„Solidarność” — podobnie jak władza — nie miała i nie ma żadnych konkretnych propozycji dla młodzieży. Żadna sygnowana przez związek gazeta nawet nie sili się na nawiązanie kontaktu z młodym pokoleniem. Niemal identycznie wygląda sytuacja wśród tytułów prasy katolickiej (tylko *Powściągliwość i Praca* czyni wyłom w niepisanej, acz obowiązującej regule). I nikt lub prawie nikt nie szuka skutecznego lekarstwa na tę sytuację.

Całe szczęście, że sytuacja wśród młodzieżowych elit jest bardzo dynamiczna, że wprawdzie wiele grup obumiera, lecz w ich miejsce powstają nowe. Nadzieja w tym, iż właśnie młodzież znajdzie sposób na porozumienie się z rodzicami, zacznie rozumieć generacyjne ułomności pokolenia dorosłych.

Nie ma więc żadnego sensu stawianie sobie pytania, czy współczesna młodzież jest dobra czy zła, czy „Solidarność” przygotowała grunt dla kolejnego zrywu nowej generacji, czy może wszyscy dojrzewający po 13 grudnia tak przejęli się klęską starszych braci i ojców, że następnego buntu zwyczajnie nie zaryzykują. Najpewniej na takie pytania odpowie przyszłość. Dziś sprawa jest o wiele poważniejsza i zasadza się na dostrzeżeniu młodego pokolenia, zrozumieniu i zaakceptowaniu jego inności oraz... pomocy udzielanej młodzieży. Jeśli bowiem przed niespełną dziesięć laty polska młodzież przypominała „zagonioną zwierzynę”, to dziś jest „zwierzyną schwytaną w potrzask”, zamkniętą na skoble przytrzymywane przez wszystkich dorosłych.

Grudzień 1987

POKOLENIE NOWEGO ROCKA

*Nie jestem mały
nie jestem mądry
nie jestem głupi
nie jestem w ZMS-ie
nie jestem w KOR-ze
nie jestem w partii
nie jestem kurwa niczym*

(Walek Dzedzej Pank Bend)

Mogą być ubrani w czarne, skórzane, koniecznie podniszczone kurtki i obcisłe, podarte spodnie z mnogością wszytych suwaków. W uchu kółko lub mały kolczyk z kolorowym oczkiem. Kiedyś niektórzy nosili nabijane ćwiekami skórzane ozdoby, „obrożę” i „pieszcochy”, lecz teraz, z powodów obiektywnych — milicja bardzo nie lubi takich akcesoriów — z rzadka je pokazują. Włosy są często wygolone; na środku głowy pozostawiony wąski, nastroszony czub jak u koguta, bywa, że zakończony kitką opadającą na kark. „Dozwolone” są też wszystkie możliwe do zdobycia w Polsce mundury — od kolejarskich (tak zwanych nazi-punk) po strażackie i wojskowe kurtki i spodnie w maskujących barwach. Ale może też być znoszona marynarka, stary prochowiec lub płaszcz ortalionowy.

Bardzo ważne są napisy na ubraniach — nazwy ulubionych zespołów, hasła w rodzaju *hate and death*. Często pojawia się motyw brytyjskiej lub amerykańskiej flagi, jeszcze częściej symbole oznaczające śmierć.

Albo inaczej. Kolorowe stroje, w których rzucają się w oczy czerwono-zielono-żółte emblematy. Fryzury skręcone w filcujące się warkoczyki, z angielska zwane *dreadlocks*, włóczkowe czapki, berety, koraliki. Czasem wystarczy trójbarwny znaczek z wizerunkiem Zwycięskiego Lwa Plemienia Judy. I obowiązkowy skręt marihuany. Oni słuchają *reggae*.

Jeśli zobaczymy chłopców ubranych w dżinsowe kamizelki i także spodnie, w sportowym obuwiu na nogach, zaś na trykotowych koszulkach będą mieli wypisane stylizowanym gotykiem nazwy kapel, wymalowane w komiksowej konwencji postacie wykonawców — wówczas mamy do czynienia z fanami *heavy-metal* we wszystkich jego odmianach. Co poniektórzy przewiążą czoło lub przedramię kolorową chustką, inni założą na szyję zawieszony na rzemieniu odwrócony krzyż, symbol satanizmu.

W tym barwnym tłumie kręcą się ludzie z długimi włosami, w sandałach i luźnych, wypuszczonych na spodnie koszulkach — to niedobitki subkultury hippisów — i ci, dla których odpowiednim ubraniem będzie połączenie żółtych portek i eleganckiej, czarnej koszuli albo dżinsy i założony na gołe ciało płaszcz. Zresztą każda ekstrawagancja jest jak najbardziej pożądana, choć znajdzie się miejsce dla młodych, których ubiór nie odbiega od tradycyjnych, „dorosłych” norm.

Mają po około 20 lat. Ubiór jest dla nich nie tylko ozdobą, próżnym dodatkiem do osobowości. Stanowi o przynależności do konkretnej generacji, do pokoleniowej grupy, szukającej w ruchu subkulturowym swojej tożsamości. Swoiste „umundurowanie” punków i rastas to nie głupawa poza — w końcu przepisowy czarny sweter egzystencjalistów też coś wyrażał — lecz prezentowany symboliką wizualnej prowokacji, antyestetycznym językiem dziur i zdeformowanych czapek bunt, najwyższa i samoistna wartość.

Tak dziwną mieszaninę przyciąga do siebie Jarocin, wielkopolskie miasteczko, gdzie podczas kilku sierpniowych dni odbywa się rockowy festiwal zespołów amatorskich. Gości jest z reguły około 20 tysięcy. Przyjeżdżają z całej Polski, głównie z małych prowincjonalnych ośrodków, by posłuchać swojej muzyki. Muzyki, której funkcje daleko wykraczają poza tradycyjnie rozumiane przesłanie sztuki. Bowiem „punk to niezależny od nikogo i od niczego ruch, punk to obok oficjalnego i opozycji politycznej, trzeci obieg informacji, trzeci obieg kultury”. Inne, uprawiane w Polsce gatunki rocka — może z wyłączeniem stylu *heavy-metal* — są dokładnie tym samym.

Rock grany jest w Polsce mniej więcej od 30 lat. Początkowo (przełom lat 50/60) ostro tępiony, później jednak, aż do schyłku ubiegłej dekady, był urzędowo podciągany do rangi rozrywki dla każdego, „lepszej” niż zachodnie,

pokoleniowe śpiewanie przy gitarze i perkusji. Stąd też ówczesne zespoły, powstające z reguły z odgórnej inspiracji przy firmach zajmujących się estradowym handlowaniem popularną rozrywką, nieuchronnie wpadały w kanał komercji, wyzbywały się przynależnej rockowi spontaniczności i buntowniczości. Teksty piosenek, nieco mniej muzyka, stały się konglomeratem naciąganej ludowości, socjalistyczno-patriotycznego songu, żołnierskiego marszu i tandetnej przyspiewki. Polski rock tamtych czasów zaledwie w minimalnym stopniu towarzyszył życiu młodzieży, gdyż z założenia miał być rozrywką ponadpokoleniową, fragmentem polityki kulturalnej sterowanej przez monopolistę — państwowy mecenat. Bigbeatowe zespoły śpiewały na „akademiach z okazji”, nuciły pseudowiejskie zaśpiewki, których wcześniej nie słyszano w żadnym zakątku kraju. Taki repertuar odbijał się zresztą na popularności rodzimych zespołów — prawdziwymi idolami ówczesnych dwudziestolatków byli piosenkarze i grupy z Zachodu.

W 1967 roku Warszawa przeżyła prawdziwe rockowe święto. W Sali Kongresowej Pałacu Kultury wystąpił jeden z najlepszych w owym czasie zespołów, brytyjski „The Rolling Stones”. Koncert, w trakcie którego Sala Kongresowa została poważnie zdemolowana, a publiczność skutecznie spalowana przez obecną tam milicję, stał się okazją do generalnego ataku na rocka, jako przykładu zdemoralizowania i zwyrodnienia zachodniej kultury. Rok później, prawdopodobnie również pod wpływem wydarzeń marcowych, rozpoczęto propagandową nagonkę na zachodnie ruchy kontestacyjne. Nawet robotnicze wsparcie udzielone zbuntowanemu studentom nie zmieniło oficjalnej, negatywnej oceny paryskiego maja '68.

Pogrudniowa odwilż w 1971 roku na krótko otworzyła furtkę spontanicznie organizującej się kulturze młodzieżowej. Powstało kilka „garażowych” zespołów: „Klan”, „RH—”, „Zdrój Jana”, występujących przede wszystkim w klubach studenckich. Jednak bardzo szybko również prawdziwy rock został utopiony w cukierkowym klimacie początków gierkowskiej epoki. W 1973 roku otworzono w Warszawie pierwszą dyskotekę, a właśnie w dyskotekach miała rozładowywać się energia młodzieży.

Spokojną wodę polskiej muzyki młodzieżowej zmać dopiero punk. U schyłku lat siedemdziesiątych powstało kilka zespołów amatorskich, grających głównie w klubach studenckich. Kapele szybko zyskały pozycję lokalnych idoli, grup

opinio- i wzorotwórczych. Tworzące się wokół nich „załogi” (grupy towarzyskie, zwolennicy konkretnej punkowej kapeli) nie tylko odróżniały się od „normalnej” większości prowokacyjnym wyglądem, ale głosiły również obrazoburcze poglądy. Wydawane przez „załogi” powielaczowe gazetki, pisane dosadnym, pełnym wulgarnych słów językiem, występowały przeciwko oficjalnym instytucjom, głównie tym przeznaczonym dla młodzieży, a więc szkole i organizacjom w stylu ZSMP, prezentowały niechęć do mass-mediów, polityków i polityki, Kościoła, do zwyczajności codziennego życia dorosłych. Nie chcieli kopiować pokolenia rodziców, „od siódmej do piętnastej, w zamkniętym cyklu: dom, praca, kolejka, obiad, kino nocne i od rana to samo, siódma — piętnasta, praca — jedzenie — spanie”.

Wydaje się, że pokolenie nowego polskiego rocka w niewielkim stopniu zauważyło sierpniowy przełom 1980 roku. Teksty piosenek — najpełniej ilustrujące przekonania młodzieży — podobnie jak wcześniej negowały zasadność i chęć udziału w świecie dorosłych, odsuwały się od społeczno-politycznych problemów kraju w kierunku problemów istniejących wewnątrz generacji. Polityka była obecna w niektórych piosenkach, lecz przedstawiano ją jako twór ponadsystemowy, uniwersalny dla całego świata moloch, zżerający każdą ludzką indywidualność. Dramatyczny konflikt między społeczeństwem a władzą mieścił się w świecie dorosłych, tak odmiennym od świata subkultur.

W dyskusji poświęconej eksplozji polskiej muzyki rockowej i związanym z tym przemianom kulturowym, pod tytułem „W poszukiwaniu wartości”, socjolog, Jerzy Wertenstein-Zuławski powiedział, opisując atmosferę towarzyszącą festiwalowi w Jarocinie w 1981 roku: „Pamiętajmy, że lato było głodowe, w sklepach kompletnie nie było nic do żarcia, do ostatniej półki! Napięcie polityczne rośnie, wszyscy gadają: wejda, nie wejda. A tu pole namiotowe. I co tam się odbywa? Ano, przez analogię, tam się odbywa Porto Bello, rok 70, 71, Christiania rok 74. Tu chodzą buddyści zen, tam wyznawcy Kriszny, tu dyskutuje się o hinduizmie, gdzie indziej o yodze, jeszcze w innym miejscu pali się trawkę albo daje w kanał. Jakby czas cofnął się o 10 lat, w kontrkulturę. Ja w to wszystko wchodzę i próbuję ich podpytywać: co sądzicie o tym, co się dzieje między rządem i „Solidarnością”, o polityce, itp. I co odpowiadali? — To nas nic nie obchodzi, to są ICH sprawy, ICH — dorosłych. Tego

świata, który nas nie dotyczy. No dobrze, jak to was nie dotyczy — przecież jesteście głodni! — Głodni? To nie jest problem. Problem w tej chwili to jest Kosmogonia, Jedność Wszechświata, itp.”.

Taki obrazek i takie poglądy dotyczyły — rzecz jasna — środowiska najbardziej zaangażowanych kontestatorów. Być może przyczyną „olewania” rzeczywistości był młody wiek. Faktem jest również, że w tym samym czasie inne, z reguły starsze zespoły rockowe zaczęły dostrzegać zachodzące przemiany i poprzez muzykę w nich uczestniczyć. Ich teksty stały się bardziej zaczepne, dosłowne, często ironiczne i kpiące.

Prawdziwym szokiem dla generacji nowego rocka stał się dopiero stan wojenny. Grudniowemu zamachowi stanu towarzyszyła — rzecz zgoła paradoksalna w stosunku do innych obszarów kultury — gwałtowna, spontaniczna erupcja rocka i wzrastająca popularność subkultur. Tolerowana przez system kontestacja stała się jedyną, nieskrępowaną formą ekspresji. Na radiowej antenie aż zaroilo się od krajowych wykonawców, organizowano koncerty, w stosunku do okresu legalnego działania „Solidarności” gwałtownie wzrosła liczba przyjeżdżających do Jarocina. Oficjalne mass-media lansowały nawet te piosenki, których treść ewidentnie piętnowała ograniczenia swobód obywatelskich, sprzeciwiała się stanowi wojennemu, w niealuzjny sposób pochwałała protest i bunt. Co ciekawe, zespoły rockowe śpiewały niemal jednym głosem; znakomite piosenki (na przykład „Przeżyj to sam” — rzecz o demonstracji ulicznej zespołu „Lombard”, czy „Autobiografia” — typowo PRL-owski życiorys trzydziestolatka grupy „Perfect”) wykonywała amatorska alternatywa i zespoły nastawione na komercyjny sukces. Polski rock — prócz wewnątrzpokoleniowych treści — zyskał swoje konkretne społeczno-polityczne oblicze. Piosenki po 13 grudnia głosiły poglądy, które wówczas mogły ukazywać się wyłącznie w publicystyce drugiego obiegu, bez chowania się w aluzje, niedopowiedzenia, dwuznaczne sugestie. Nie zyskały jednak ponadpokoleniowej akceptacji. W czasach, gdy na wystawiane w kościołach sztuki teatralne walały prawdziwe tłumy, by usłyszeć jedną sentencję „anty”, wystarczyło włączyć radio, gdzie całe teksty „anty” aż się przekrzykiwały.

Od tego również czasu datuje się legenda Jarocina, reklamowanego przez jego uczestników, jako oaza prawdziwej wolności, także politycznej (w 1982 roku publiczność złożyła kwiaty pod tablicą upamiętniającą powstanie „Solidarności”).

Represje w stosunku do rocka i subkultur przysły nieco później. Rzecz jasna, nie były one tak brutalne i dotkliwe jak w przypadku opozycji politycznej (choć wielu punków czy rastas na własnych plecach poznało ciężar milicyjnych pałek — byli bici i wsadzani na 48 godzin tylko za niecodzienny wygląd). Z radiowej anteny zniknęła buntowniczy polski rock, a przejściowo — chyba rodzaj zemsty za masowy udział młodzieży w niezależnych ulicznych manifestacjach — zamknięto dyskoteki (akurat miejsca subkulturom obce) i studenckie kluby. Wyjaśniła się wówczas tolerująca „garażowy” rock strategia władzy. Dopóki muzyka miała być alternatywą dla demonstracji, dopóty wybierano muzykę. Kiedy taka koncepcja zawiodła, za karę oczyszczono radio — największego dystrybutora rocka — z obrazoburczych treści.

A jeszcze później przyszła normalizacja — jak więc razić uszy znormalizowanego społeczeństwa wygłupami niedoroslých wyjców?

W 1983 roku Ministerstwo Kultury i Sztuki wydało przepisy regulujące wynajmowanie sal klubowych. Szefom studenckich ośrodków kulturalnych po prostu przestało się opłacać organizowanie rockowych koncertów. Kolejnym posunięciem było uzależnienie honorariów za występy od uzyskania na egzaminie przed państwową komisją statusu profesjonalisty. W rockowym światku mówiono, iż polskie posunięcia zbiegły się ponoć z administracyjnym rozwiązaniem przez władze sowieckiego resortu kultury wszystkich zespołów big-beatowych istniejących w ZSSR za „nieobyczajność”.

Prawdziwi idole posierpniowego pokolenia, czyli zespoły amatorskie grają praktycznie za darmo, a ponadto figurują w spisach niebieskich ptaków uchylających się od pracy. Praktycznie jedynym miejscem, gdzie w dalszym ciągu obowiązują dawne układy pozostał Jarocin, lecz i istnienie tego festiwalu oficjalna prasa poddaje surowej krytyce.

Dopiero zmiany w sowieckiej polityce kulturalnej, na przykład udział sowieckich zespołów w rockowej imprezie charytatywnej, „Live Aid”, powstrzymały kontrakcję wobec polskiej kultury alternatywnej.

Lecz nigdy nie ustał nieoficjalny obieg magnetofonowych kaset, nagrywanych amatorsko podczas występów najpopularniejszych zespołów, wkrótce zaś wznowiono koncerty. I choć prezentacja nawet najbardziej zbuntowanych kapel odbywała się w miejscach będących w gestii oficjalnej administracji, nie zmniejszyło to autentyczności i bezkompromisowości przekazu.

Zmieniły się nieco jego treści. Rock odchodził od silnego akcentowania polityki, biorąc się za krytykowanie szarej rzeczywistości, która stała się tak beznadziejna z winy dorosłych, dobrowolnie pozbawiających się wolności.

Środowisko zespołów rockowych uległo podziałowi na wierną przesłanię alternatywę i grupy komercyjne, stawiające na sukces w państwowej rozrywce. Dlatego też do zbioru różnic dzielących rockowe audytorium doszła następna, utrzymująca się po dzień dzisiejszy. Subkulturowe elity pozostały wierne zespołom amatorskim (tu status amatora nie zależy wyłącznie od poziomu muzycznych umiejętności, a przede wszystkim od bojkotu państwowych weryfikacji i niechęci do oficjalnych mediów), zaś zdecydowana większość zadurzyła się w rocku komercyjnym, który odszedł od imperatywu rzetelnego opisu rzeczywistości. Jednak otwartość muzyki młodych powoduje, iż wiele elementów światopoglądowej kontestacji prezentowanej przez garażowe kapele jest wspólnych dla całej generacji. Natomiast te zespoły, które ugrzęzły w rodzimym *show-business*'ie, nawet jeżeli wywodzą się z rockowej alternatywy, na festiwalu w Jarocinie zostaną wygwizdane i wyszydzone przez kontestującą publiczność. Ta, w gruncie rzeczy, niezwykle tolerancyjna zbiorowość nie lubi i pogardza odszczepieńcami, marionetkami występującymi w telewizji. I nie jest ważny tutaj profesjonalny poziom wykonywanych utworów, perfekcja opanowania instrumentu. Zły jest ten, kto złapał lep komercji.

Rocka gra w Polsce około 3 tysięcy zespołów, słucha zaś od 80 do 90 procent młodzieży miejskiej i niewiele mniej wiejskiej. Choć wszyscy odbiorcy tej muzyki automatycznie stają się konsumentami i uczestnikami kultury młodych, to jednak ważny jest poziom tego uczestnictwa. Dla jednych rock stanowi jedynie fragment rzeczywistości, jest tylko muzyką, dla innych warunkuje styl życia i hierarchię wyznaczanych wartości. Młodzież czuje się odrębną grupą społeczną, którą instytucje tegoż społeczeństwa: rodzina, szkoła, organizacje młodzieżowe, wojsko, milicja, gnębią i prześladują. Pogląd ten jest w wielu wypadkach słuszny, nic więc dziwnego, iż rock uznawany jest przez młodzież za niepodzielną własność, obszar wolności do wyłącznego użytkowania. Ma mówić prawdę, nawet tę najbardziej brutalną — jeżeli uposłedzenie obiektywnie nie jest aż tak totalne, to jednak subiektywnie odbierana krzywda wydatnie kształtuje postawy, które są już faktem społecznym — spełnia więc funkcje

edukacyjne i wychowawcze. Muzyka, akcentując obcość wobec świata dorosłych, wyzwala z alienacji, tworząc rówieśnicze wspólnoty pozwala na podobne przeżycia, na bycie razem wśród ludzi o podobnej kondycji społecznej, problemach i światopoglądzie. Formuje grupy, w których jednakże są radości i upokorzenia, identycznie pojmując się szczęście i tragedie. Daje możliwość autentycznej ekspresji, zaprezentowania — nawet tylko wobec samych siebie — niechęci do otoczenia, w którym mieści się także system polityczny i znienawidzona sieć tradycyjnych układów społecznych. Jednak ten bunt nie kreuje wizji lepszego świata (głównie to przeciwstawia współczesne subkultury kontestacji lat sześćdziesiątych). Ma być za to przemianą wewnętrzną, osobowościową, która pozwoli na zachowanie odrębności, autentyzmu, stworzy enklawy indywidualnej wolności. Bo trzeba przetrwać, ocalić młodość poprzez przynależność do izolowanych grup, swego rodzaju zamkniętych „zakonów”.

Ta dobrowolna, z pozoru, izolacja jawi się jako wymuszona ucieczka. Antyestetyzm punka zda się mówić: „Jesteśmy brzydki i odpychający, bo wy, dorośli, takimi nas uczyniliście. Zawsze chwaliście piękno i dobroć, lecz nasze słowa nie potrafiły nic odmienić. My już nie możemy zmieniać świata, ale przynajmniej nie będziemy tacy jak wy”.

Tak pojmowany rock praktycznie nie zależy od warunków zewnętrznych, na swoje istnienie nie potrzebuje niczyjej zgody. Kształtowany jest przez liderów środowiskowych grup wzorotwórczych, czyli głównie członków najpopularniejszych zespołów. Oni to właśnie kreują współczesną alternatywę i z tej kreacji są rozliczani przez publiczność.

Nie miejmy jednak złudzeń. Sporej części uczestników subkultur czy większości audytorium jarocińskiego festiwalu nie chodzi dokładnie o nic, zaś alternatywa jest dla nich pustym hasłem, atrakcyjnie i zachęcająco brzmiącym słowem. Z tego powodu niektóre, bardziej odważne kapele, gromią również publiczność, śpiewają przeciwko własnej generacji, która głosi odrębność, zaś faktycznie stanowi element zdegenerowanego systemu. Stąd też — między innymi — zatrważająco niska samoocena pokolenia nowego rocka:

„Budzisz się któregoś dnia / uzależnione pokolenie / jeden pije, drugi ćpa / Jesteś durny i joba masz / leży, już pod płótem kona / i nie widzisz: on czy ona / jeszcze w dłoni trzyma proch / i płacz matki, ten jeden szloch”

(„Autsajder”)

albo:

„Żadnej satysfakcji, za dużo frustracji / oto obraz młodej generacji / Żadnego celu i żadnej przyszłości / żadnej nadziei i żadnej radości / Poroniona generacja / Pragniesz walczyć, chcesz coś zmienić / zło na ziemi chcesz wypłenić / Nie masz szansy skurwysynie / Twoja generacja zginie”

(„Dezserter”)

czy wreszcie:

„Całe nasze pokolenie / Narkomani i faszyści / punki, kurwy, terroryści”

(„Brak”)

Podobnie w rockowych piosenkach zarysowany jest obraz pokolenia ojców i starszego o kilka lat rodzeństwa:

„Wielkie szare domy wypływają tłumy ludzi / których wchłaniają czerwone tramwaje / Czerwone tramwaje wypływają tłumy ludzi / których wchłaniają wielkie fabryki / Szare fabryki oddają tłumy ludzi / których wchłaniają czerwone tramwaje / Takie jest wasze życie”

(„Natasza”)

albo:

„Robotnicy w swoich domach oglądają telewizję / rozmawiają o swoich problemach / i piją wódkę / bo dobrze wiedzą, że nie wolno wznosić się za wysoko”

(„Sztynny Pał Azji”)

Choć większość rockowych zespołów, a co za tym idzie, znaczna większość uczestników młodzieżowej alternatywy deklaruje swoją postawę jako całkowicie apolityczną, niemniej polityka jest stale obecna w ich twórczości i przekonaniach. Jest to polityka widziana jako wszechobecne zło, kajdanki krępujące indywidualność człowieka, odbieranie przemocą własnego „ja”, odgórnie i metodycznie zorganizowana represja:

„Co tu się dzieje / może ktoś powie / polityka gwałtu / w oczach matek ły / Powiedz mamie, co zrobisz wtedy / kiedy usłyszysz, że zginął twój syn”

(„Konwent A”)

Niekiedy jednak wymiar i przejawy represji są bardzo konkretne:

„Ta ulica wzdłuż szpitala / Znowu w ruch tam poszła pała / Radiowóz gdzieś za rogiem stał / w wielkim gronie ciemnych pał / Już zakuli go w kajdany / leży cały krwią zbryzgany / Już rzucili go na wóz / Krew już mu wypływa z ust / i podają rano w radiu / Zginął chłopak lat dwadzieścia

/ lecz to tylko był wypadek / Walczmy wszyscy z takim prawem!”

(„Autsajder”)

Na politykę można też patrzeć inaczej:

„Twa Ojczyzna cię obroni / skrzywdzić dzieci nie pozwoli / w niebezpieczeństwie nie będziemy sami / Milicja, ZOMO, przecież są z nami! / Kochaj więc Ojczyznę swą / No kochaj! Kochaj! No kochaj ją!”

(„Karcer”)

„Ojczyznę kochać trzeba i szanować / Nie deptać flagi i nie pluć na godło / Należy też w coś wierzyć i ufać / Ojczyznę kochać i nie pluć na godło”

(„T. Love”)

Szczególnie dwa ostatnie fragmenty to ewidentna parodia języka oficjalnej propagandy włączanej przez gazety i telewizję, lub szkolnej indoktrynacji o analogicznym poziomie. Niemniej pasują również jako pastisz bogoojczyźnianych deklaracji opozycji. Gdyż w kraju rozdartym politycznymi podziałami może przecież pogubić się dorosły, a co dopiero programowo pozostający na obrzeżu, niechętny „zgreddom” i ich światu młodzieniec. Dlatego też:

„Zapytaj jeśli możesz / jeżeli się nie boisz / w co bezpieczniej wierzyć, kto silniejszy jest / Musisz przecież wybrać między Leninem a Bogiem / bo musisz się dowiedzieć, dla kogo będziesz wrogiem / A ja nie oddam życia za wasz hymn bo ja wyśniłem sobie Wolność”

(„Karcer”)

Tej upragnionej wolności nie może zaferować młodzieży nikt. Nie czyni tego również Kościół, ani religia, choć ankietowani uczestnicy Jarocina wierzą w Absolut, czasami szukają pocieszenia w Bogu, który jest jednak inny niż Bóg ich rodziców i dorosłego otoczenia. Młodzi uznają podstawowe wskazania moralne, szukają przyjaźni i miłości. A jednak:

„Nie ma Boga i sprawiedliwości / Są za to niedzielne msze / Jestem przeciw — nie mam przyszłości / Wyznawcy Chrystusa zabijają mnie / Fałsz! Kłamstwo! Zło! Obłuda! / Zabijają mnie, nie wierzę w cuda”

(„Schizofreniczna Prostytutka Maria”)

W ogóle wszystko wokół jest szalone, nienormalne, wszystko sprzysięgło się przeciwko młodym:

„Chore lasy, chore rzeki, chore rzeki / rzeki ścieki, chore miasta, chore domy, domy schrony / Chore głowy,

chore myśli / chorzy ludzie z nienawiści / Chore matki,
chore dzieci / Chore dzieci, dzieci śmieci / Cywilizacja /
Modernizacja”

(„Acapulco”)

„Dzieci słońca wieku, dzieci ciężkiej wody / Dzieci ołowiu z krzywego płodu, dzieci końca wieku chorób i głodu / Z wrodzonym bólem dzieci ciężkiej wody / Bez względu na skórę, bez względu na granice / Bez względu na kulturę, bez względu na tradycję”

(„Brak”)

Czego więc młodzi chcą od świata?

„Chcę być sam, zostawcie mnie, odczepcie się!”

(„Dezserter”)

A czego nie chcą?

„Nie chcę pracy w żadnym biurze / nie chcę chodzić w garniturze / jeździć pełnym autobusem / i pracować pod przymusem / Jestem wredny leń / Jestem inny — mamo, tato / czy dostanę w mordę za to”

(„Dezserter”)

Rock mówi więc o wszystkim. Treścią przekazu jest pustynna rzeczywistość, brudny i ponury, a przecież zwyczajny w końcu dzień. Młodzież czuje się przedmiotem podlegającym różnego rodzaju manipulacjom, grupą szczególnie osamotnioną, oszukiwaną i zniewoloną, bezprawnie wciągana w grę dorosłych. Przeżywają żal do świata za spowodowanie ich pokoleniowej klęski, nie wierzą w lepsze, sensowniejsze jutro. Chcą przetrwać takimi, jakimi są, a nie dać się zaklasyfikować, ustawić w równym, zdyscyplinowanym szeregu. W tak odbieranej sytuacji nie tylko muzyka, ale również narkotyki stają się wyborem, zwiększają poczucie własnej wartości, gdyż dorośli je ganią. Bo młodzi zwyczajnie się boją, że będą tacy sami jak ich rodzice, czyli że będą nikim.

Przeróżające? To prawda. Ale trzeba docenić fakt, iż treść rockowych piosenek jest bardzo często wnikliwszą i dosadniejszą analizą rzeczywistości, niżli socjologiczna ankieta. Jeżeli ktoś nie wierzy w cuda na ziemi, nie lubi sztucznym optymizmem podbarwiać realiów, musi uznać obraz malowany przez subkultury za może nieco przejaśkrawioną, niemniej jednak autentyczną sytuację młodego pokolenia.

Rockowa piosenka nie sili się na literackość, choć między „częstochowskimi rymami” można odnaleźć teksty o sporej wartości artystycznej. Jej język jest prosty, a nawet prostacki, wulgarny, często nieświadomie kopiujący gazetowy

slogan i oficjalną nowomowę. Podobnie muzyka — historycznie szarpane struny gitar i warczące w obłądnym tempie bębny. Na dodatek jeszcze prowokujący „dobry smak” niechlujny, obszarpany wygląd. Wszystko to z pewnością nie pieści co bardziej wrażliwych uszu i oczu. Ale przecież nie takie ma zadanie. Bowiem jedynym powszechnie dostępnym środkiem protestu ludzi, których młodość przypadła na lata osiemdziesiąte jest krzyk. Krzyk rozpaczy.

Trzeba mieć wiele odwagi, by się na taki gest świadomie zdecydować, gdyż potępienie może przyjść z każdej strony. Trzeba jeszcze więcej odwagi — która w tym wypadku jest czarnym, ale jednak, realizmem — by odrzucić wszystkie złudzenia, nie zawierzyć bezpodstawnej, lecz kojącej nadziei. Rock niczego nie obiecuje — raczej przepowiada jeszcze gorszą przyszłość — nie łudzi tanią szansą. Subkultura nie lubi władza, gdyż są one wspaniałym dowodem na absurdalność i małą atrakcyjność wymyślonego przez doktrynę posłusznego i zarazem zaangażowanego członka ZSMP. I jeszcze po co to całe czarnowidztwo, katastrofizm. Przecież młodzież powinna być optymistyczna, uśmiechnięta, bardziej dziarska. Subkultura nie lubi tak zwana milcząca większość, zamknięta w paranoicznym kole: dom, praca, kolejka, telewizja. To prawda, że polskie realia mało komu odpowiadają, lecz ich zmiana znaczy dla rodziców punków, metalowców i rastas tyle, co większy i wygodniejszy dom, lżejsza, lepiej płatna praca, lepszy samochód, krótsza kolejka lub jej całkowite wyeliminowanie, wiarygodna prasa i telewizja, czyli zmiana upodobniająca Polskę do rozwiniętych państw Zachodu. Być może intuicyjnie, a być może — dziwny paradoks — dzięki ekonomicznemu kryzysowi, młodzież wyczuwa skończoność konsumpcjonizmu, atrakcyjnego wszak dla osób, które pamiętają, że „za Gierka były pełniejsze sklepy”. Naczelną filozofią subkultur jest filozofia „być” postrzegana jako alternatywa wobec światopoglądu „mieć”, ideologii najbardziej „chodliwej” wśród zdecydowanej większości społeczeństwa. I nawet jeśli „mieć” wiąże się z afirmacją Zachodu, w przypadku subkultur nie ma to najmniejszego znaczenia, mimo że są one klasycznym importem kulturowym. Kontestacja wytworzyła bowiem swoisty rodzaj młodzieżowej międzynarodówki — na Zachodzie też są punki, których postawy nie zrozumie prawie nikt z polskich dorosłych, lecz duchowa jedność młodego Brytyjczyka i młodego Polaka nie budzi najmniejszych wątpliwości.

Powoli wygasa popularność dwóch wiodących niegdyś subkulturowych prądów, punk i rastas. Jest to zjawisko naturalne. Od subkultur odeszli ludzie, którzy jeździli na pierwsze jarocińskie festiwale, byli zaczynem kontestacji. To też naturalne, gdyż są już starsi, więc siłą rzeczy nie reprezentują dzisiejszych dwudziestolatków i jeszcze młodszych. Kontestująca polska młodzież powoli tworzy nową epokę — epokę „postsubkulturową” — gdzie jednak w dalszym ciągu można znaleźć kilka metrów kwadratowych dla każdej indywidualności. Świadczy o tym moda na alternatywę wobec alternatywy — żółte spodnie i czarna koszula czy muzyczne nowinki. Szaleńczy rytm punk-rocka uzupełnia łagodny walczyk. Nie zmieniły się natomiast zadania rocka. Okazuje się, że krzyk, mimo iż czasem monotony i wpadający w schemat, jest trwałym środkiem ekspresji. Sądząc po liczbie zespołów, garażowa muzyka nie straciła nic ze swojej dynamiki i w dalszym ciągu będzie się rozwijać. A póki będzie muzyka, póty młodzież będzie mogła mówić o swoich sprawach swoim głosem i swoim językiem.

W tym właśnie należy upatrywać atrakcyjność subkultur. Rock, ich podstawowe oręż, stał się polskim Hyde Parkiem, w którym każda myśl, opinia, każdy niepokój i stress może być wypowiedziany publicznie. Gdy wraz z wprowadzeniem stanu wojennego i administracyjnymi próbami ukręcenia głowy zapoczątkowanym w Sierpniu przemianom, zamknięto młodzieży wiele dróg samorealizacji, kontestacja stała się ucieczką, a wielość muzycznych prądów i subkulturowych ruchów zastąpiła pluralistyczne społeczeństwo. Odejście w subkultury, w alternatywę, było zupełnie naturalne, bowiem młodzież, mimo całego tragizmu swojej sytuacji, ma jedną przewagę nad światem dorosłych. To dostęp do kultury, którą zresztą sama dla siebie tworzy.

Stąd również płynie znaczenie subkultur dla całego społeczeństwa, również dla konserwatywnej większości. Wielość kulturowa sama w sobie jest otwartością cechującą demokratyczne systemy i społeczeństwa, której znaczenie mogą kwestionować jedynie autorytarnie uformowane umysły.

Jeszcze do niedawna subkulturowy protest związany był z prezentacją postawy *non-violence*, choć już w 1983 roku w Jarocinie raz po raz wybuchały bójki między zwolennikami tej czy innej kapeli, między punkami a metalowcami itp. Od mniej więcej dwóch lat w kulturowej mozaice młodych pojawiła się formacja skinów. Zewnętrznie są nieco podobni do

punków — też noszą skóry, wąskie spodnie, wysokie, ciężkie buty. Czyściejsi i mniej obszarpani, bardzo krótko strzygą włosy; niektórzy mają czaszki wygolone do gołej skóry. Sam wygląd skina ma obrazować siłę, agresję. Wytatuowane na przedramieniu litery „NF” — „National Front” — symbolizują przywiązanie do ideologii rasistowsko-faszystowskich ugrupowań zachodnich.

Skiny nie tolerują żadnej innej formacji subkulturowej i wszystkich wokół chcą bić, przez co innych również prowokują do agresji. W sierpniu 1987 roku na warszawskiej imprezie rockowej „Róbrege”, w czasie bójki jeden z obecnych tam skinów wyciągnął nóż. Szczęśliwie skończyło się bez poważniejszych konsekwencji, lecz krzyk widowni: „zabij skina skurwysyna” oddaje temperaturę sali.

Podobne sceny oglądał Jarocin '87. Reakcja publiczności na teksty piosenek namawiające do otwartego buntu często przeradzała się w fizyczną agresję. Młodzież zwyczajnie chciała się bić, a o co, to już sprawa drugorzędna. Z równym zacięciem punki walczyli ze skinami, by w parę chwil później bronić przed milicją uczestników WiP-u, rozdających podczas koncertu ulotki. Wieczorami po jarocińskim parku kręciły się grupy młodzieży, szukające zwady ze swoimi rówieśnikami, ale także z patrolami MO. Co ważniejsze, agresja nie jest wnoszona w środowisko młodzieżowe poprzez podkulturę przestępczą, na przykład osławionych przed laty gitowców, lecz powoli staje się wewnętrznym elementem całej spontanicznej kultury młodych. Przy czym przeciętny młody Polak za prawdziwą awangardę swojej generacji traktuje nie młodzieżowe grupy uprawiające politykę czy wspólnoty związane z Kościołem, lecz właśnie formacje subkulturowe. *Non-violence* ustępuje miejsca gwałtowności.

Czy na podstawie społecznych funkcji rocka oraz jego pokoleniowego i środowiskowego zasięgu można wnioskować o przyszłej Polsce? W jakimś — wcale znacznym — stopniu tak, jednak nie będzie to obraz zbyt różowy. Konflikt generacyjny gwałtownie narasta. Dzisiejsza młodzież nie identyfikuje się z krajem, narodem — jak młodzież ubiegłej dekady — nie lubi dorosłych, ich systemu wartości sposobu spoglądania na rzeczywistość. Pokolenie rocka chce uciec od Babilonu, a Babilon to wszyscy, którzy nie są z nimi: czyli ci z partii, „Solidarności”, Kościoła. Ucieczka, jak na razie, się nie udaje, więc być może przyjdzie taki czas, kiedy młodzież będzie chciała Babilon zniszczyć.

Listopad 1987

MONAR

(Rozmowa z Markiem Styczyńskim, sekretarzem Zarządu Głównego Młodzieżowego Ruchu na Rzecz Przeciwdziałania Narkomanii Monar*)

Poranne gazety, a poprzedniego dnia również telewizja i radio poinformowały o kolejnej akcji Monaru, tym razem przeciwdziałania alkoholizmowi. Do jednego z pokoi warszawskiego biura Zarządu Głównego Stowarzyszenia wbiega jego szef, Marek Kotański. Rozmawia przez telefon, niemal kłaniając się do słuchawki. Padają słowa: „Towarzysz wie, towarzysz zaakceptował, towarzysz popiera”. Za chwilę kolejny telefon i całkowita zmiana sposobu rozmowy. Dzwoni biskup z Episkopatu Polski, więc: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”, a na koniec — „Serdeczne Bóg zapłać”. I kolejny dzwonek — tym razem ktoś z radia. Kotański mówi: „Mam tylko minutę” i wtajemnicza swojego rozmówcę w szczegóły akcji, ale też jakby narzuca sposób informowania. Wydaje się, że w ciągu tych kilku minut przez telefon rozmawiały trzy różne osoby, o całkowicie różnych poglądach i pozycji...

— Znakomite...

— To dopiero początek — wtrąca świadek całej sceny.

— Zaraz wszyscy będą podobnie zaganiani.

— Znakomite w sensie ilustracji polskiej paranoi. Przecież to obłuda.

* Marek Styczyński obecnie już nie pełni tej funkcji (przyp. red.).

— Świat jest tak urządzony. Jeśli chcesz go zmieniać, musisz posłużyć się jego metodami.



— *Najkrótsza wizytówka Monaru?*

MAREK STYCZYŃSKI: — Dopiero od 1980 roku w Polsce zaczęto głośno mówić o narkomanii, choć już wcześniej istniało kilka ośrodków leczących ludzi uzależnionych. Monar, jako Młodzieżowy Ruch na Rzecz Przeciwdziałania Narkomanii, został zarejestrowany w sierpniu 1981 roku. Powstał spontanicznie, na skutek działań Marka Kotańskiego, jednego z terapeutów zajmujących się od lat narkomanią, i samej młodzieży. Ruch jest formą pomocy równieśniczej, zaś metody leczenia zaczerpnięto z prowadzonego przez Kotańskiego ośrodka w Głoskowie pod Warszawą. Stowarzyszenie nie zostało zawieszona w stanie wojennym. 31 grudnia 1981 roku podpisaliśmy porozumienie z Ministerstwem Zdrowia, określające wzajemne świadczenia i dotowanie naszej działalności. Od tego czasu stale uruchamiamy nowe ośrodki lecznicze i punkty konsultacyjne. Na przykład w 1987 roku założyliśmy cztery nowe ośrodki, cztery punkty i hostel — najwięcej w dotychczasowej działalności Ruchu. Robimy to rutynowo, dlatego też niewiele się o tym mówi. Stąd może zarzuty, że Monar zostawił narkomanów, łapiąc się dosłownie za wszystko. Lecz przejście do szerszych działań spowodowane było naszą oceną narkomanii jako patologii społecznej. Stąd idea Ruchu Czystych Serc, który ma kształtować postawy otwarte, uczyć miłości bliźniego, pomagać ludziom w potrzebie. Wracamy do zupełnie elementarnych wartości, chcemy je umacniać przez zaangażowanie młodzieży, pokazywanie sposobów ich realizacji. W konflikcie między wychowawcami, czyli rodzicami i nauczycielami, a młodym pokoleniem istnieje — naszym zdaniem — konieczność porozumienia i ktoś musi pierwszy do tego dążyć. Uczymy więc wyciągania ręki, pokory. Dobrze by było, gdyby ręce wyciągnęły wszystkie strony konfliktu, ale my bardziej stawiamy na młodzież.

— *Kto chce działać w Monarze?*

M.S.: — Są to z reguły ludzie młodzi, do dwudziestego drugiego roku życia. Przede wszystkim uczniowie szkół średnich, lecz jest również parę osób po szkole lub studentów,

których jednak bardziej interesuje profesjonalna praca z młodzieżą. Mamy około tysiąca członków w dwudziestu siedmiu oddziałach terenowych i kilkunastu kołach środowiskowych. Liczba ta bardzo wolno się powiększa, ale nie jest naszym pragnieniem statystyczny wzrost liczby uczestników. Również sama młodzież nie bardzo chce wchodzić w zbyt sformalizowany kontakt z jakąkolwiek organizacją. Młodzież nie lubi się zapisywać, nie lubi przynależności, która do czegoś zobowiązuje. Chcą być wolni i za każdym razem stwarzać sobie możliwość wyboru. Dlatego skromna liczba członków, za to o wiele większa sympatyków; ich możemy liczyć na kilkanaście tysięcy.

Nie ma typowych życiorysów monarwców. Najskuteczniejsi w działaniu są ludzie z „pokręconą” biografią, którzy — mimo młodego wieku — mają wiele doświadczeń. Nie zawsze chodzili po prostych ścieżkach, lecz wynikało to z fantazji, z chęci poszukiwania. Teraz świadomie wybrali jasne kryteria postępowania wobec drugiego człowieka, przyjęli humanistyczną postawę.

Jest sporo byłych narkomanów, wyleczonych w naszych ośrodkach. Oni są najlepsi przy prowadzeniu terapii, szczególnie w jej pierwszym okresie, jako najbardziej wiarygodni dla pacjentów. Na własnej skórze doświadczyli ciężkiego procesu wychodzenia z nałogu. Nie dają się nabierać, oszukiwać, a przy okazji rozumieją znakomicie stressy, załamania, psychiczną słabość narkomanów.

Trafiają do nas również tacy, którzy pomoc drugiemu człowiekowi traktują jako formę dowartościowania się. Poprzez pracę w Monarze chcą pokazać, że są lepsi od tych, którym pomagają. Tylko że taka pomoc nie może być nigdy skuteczna. Załatwiają więc swoje problemy, których mają całe multum, podobnie jak nasi pacjenci. Lecz pacjenci w końcu przyznają się do kłopotów, kompleksów, oni zaś głęboko je chowają.

Ludzie zgłaszają się do Monaru, aby uczestniczyć w poszczególnych, inicjowanych przez nas akcjach. Przychodzą również z własnymi pomysłami. Na przykład kilku studentów zaproponowało, by wykombinować fundusze na sztuczne nerki dla dzieci. Zrobiliśmy już kilka koncertów, a w przyszłym roku planujemy cały festiwal rozmaitych gatunków muzyki; od zespołów rockowych po solistów z Metropolitan Opera. Już załatwiliśmy sale koncertowe, hotele, przeloty — wszystko nieodpłatnie. Cała forsa pójdzie na sztuczne nerki i

może mniej dzieci będzie w Polsce umierać dlatego, że nie ma przyrządów do dializy.

— *Ale nawet te kilkanaście tysięcy zwolenników to niezbyt dużo.*

M.S.: — Młodzież jest dziś zagubiona i nie bardzo może odnaleźć swoje miejsce. Ma problemy z utożsamieniem się ze szkołą, od organizacji stroni. Najchętniej działa zupełnie nieformalnie, a wszystkie sytuacje nakazowe i sformalizowane są odbierane negatywnie. Dlatego łatwiej włącza się w spontaniczne akcje.

Jednak zbyt duża reklama wokół naszych przedsięwzięć również oznacza swoistą instytucjonalizację. Taką sytuację mamy z wymyślonym przez Monar Ruchem Czystych Serc. Kotański występuje w telewizji, o pomysłach Monaru mówi się i pisze, co z miejsca rodzi nieufność jak do wszystkich rzeczy głośnych, mających oficjalne poparcie. Wówczas — tak chyba odbiera to młodzież — przestają być ważne cele stojące przed konkretną akcją, a szuka się podtekstów, upatruje manipulacji, bo przecież ktoś musi mieć swój interes w reklamowaniu jakiegoś działania.

— *Czy przypadkiem młodzi nie mają racji? W mass-mediach aż tłoczno od Monaru i monarowców. Kotański jest już nie tylko facetem od narkotyków, lecz przybiera pozę znawcy wszystkich problemów młodzieży i ponoć ma receptę na ich rozwiązanie. Autoreklama, postępujące awanse aż na członka Rady Konsultacyjnej nachalnie sugerują prywatny interes. Być może młodzież jest przeczulona, niemniej i ja mam takie wrażenie, że ktoś tych dwudziestolatków chce zrobić w konia.*

M.S.: — Myślę, że działalność Kotańskiego i nasza jest uczciwa, że nie stawia sobie żadnych innych celów, prócz głośno deklarowanych. A z drugiej strony, gdyby nie środki masowego przekazu i zarzucana nam autoreklama, nie byłoby aż tak szerokiego odzewu na nasze propozycje.

Wypomina się nam, że zajmujemy się dosłownie wszystkim. Wyszliśmy od leczenia i zapobiegania narkomanii, zaś teraz chwytamy się zupełnie innej aktywności, ponoć ze szkodą dla samych narkomanów. Ale narkomania postrzegana jest w Polsce fałszywie, czyli jako samodzielnie egzystujący nałóg, w kompletnym oderwaniu od przestrzeni społecznej.

— *Gdzie więc upatrujecie przyczyny narkomanii?*

M.S.: — Iskrą zapalną były prądy kontrkulturowe, swoista moda na narkotyki. Jednak wszystkiego nie wolno zwać na import z Zachodu. W Polsce można wszędzie znaleźć bezpośrednie i pośrednie przyczyny narkomanii. Jedną z nich może być upadek znaczenia rodziny i zerwanie więzów rodzinnych. Wśród wychowawców — rodziców, opiekunów, nauczycieli — brak jest ludzi, którzy mają jasny, czytelny system wartości moralnych i potrafią go przekazywać młodemu. A młody człowiek powinien w swoim podstawowym środowisku wychowawczym uzyskiwać swoisty kręgosłup, zbudowany z elementarnych wartości, wokół którego sam dobuduje całą resztę i wtedy powinno być z nim OK.

Dziś młodzież żyje w kompletnym bałaganie. Nie ma autorytetów w gronie osób sobie najbliższych, choć potencjalnych źródeł autorytetów jest cała masa. Od wychowawców ważniejszy jest popularny aktor filmowy, a raczej kreowane przez niego postacie, czy lider rockowej kapeli, i to jest nie tylko wina młodzieży. Młodzi naśladowują więc swoich idoli, zazwyczaj naskórkowo i w takich sferach, które dla codziennego życia nie mają istotniejszego znaczenia: kopiuje ubiór czy sposób mówienia. Dlatego każda sytuacja trudna, konfrontacyjna, powoduje zagubienie, reakcje pełne paniki, chęć ucieczki.

Przyczyny narkomanii leżą również w obecnym kryzysie społeczno-gospodarczym. Młodzi nie mają szans na realizację zwyczajnych w końcu aspiracji, choćby względnie szybkiego otrzymania własnego mieszkania. Ich perspektywy życiowe są bardzo ograniczone, nawet względem pokolenia ojców, a przecież powinno być odwrotnie.

Bardzo duże znaczenie — co potwierdziły rozmaite badania — miały ruchy migracyjne: i ten na Ziemię Zachodnią, choć dotyczył poprzednich pokoleń, i późniejsza migracja przemysłowa. Ludzie zostali odcięci od swoich tradycyjnych korzeni, a trafili w miejsca pozbawione najmniejszego nawet zaplecza kulturowego, zdolnego wypełnić powstałą lukę. W takich wypadkach zaczynają się tworzyć środowiska patologiczne, natychmiast pojawia się alkohol, bo po prostu nic innego wokół nie ma. I później ci sami ludzie wychowują swoje dzieci, które od razu zaopatrywane są przez rodziców w fałszywy drogowaskaz.

Wydaje się, że popularność narkomanii, w Polsce nieznamnie maleje, zwłaszcza gdy chodzi o narkotyki ciężkie, co

jednak nie oznacza, iż ustąpiły główne przyczyny powodujące to zjawisko. W ograniczeniu zasięgu narkomanii Monar ma swój udział, choćby przez zgłoszenie inicjatywy całkowitego zakazu uprawy maku lub działania propagandowe. Bycie narkomanem nie jest już dziś tak modne, jak przed kilku laty. Myślę, że ludzi zażywających „polską heroinę” — produkowany domowym sposobem, przy użyciu powszechnie dostępnych odczynników chemicznych, wyciąg ze słomy makowej, który jest silnie zanieczyszczony, lecz zawiera do 20 procent czystego narkotyku — jest niewiele ponad 100 tysięcy.

Wielu młodych może mieć sporadyczny, „sportowy” kontakt z pochodnymi maku. Ich liczebność trudno oceniać, lecz prawdopodobnie również się zmniejsza. „Sportowe” branie nie jest znowu takie proste. Od ciężkich narkotyków uzależnić się jest bardzo łatwo, ale na szpitalnych oddziałach odtruwających narkomanów coraz rzadziej spotyka się nowe twarze; podstawowa klientela to starzy bywalcy, z wieloletnim narkomańskim stażem.

Nie ma natomiast najmniejszych danych dotyczących narkotyków lekkich. Wiadomo tylko, iż wiek młodzieży wążającej różne świństwa znacznie się obniżył. Nimi praktycznie nikt się nie zajmuje, choć przede wszystkim powinna oświata. Monar dysponuje zaledwie jednym ośrodkiem dla „wączaczy”. Bez leczenia i działań profilaktycznych nie może być pozytywnych efektów. Dlatego sądzę, że skala tego rodzaju narkomanii może się powiększać.

— *I stąd, z plastyczności spojrzenia na narkomanie, „wszystkoizm” Monaru...*

M.S.: — Chcemy żyć własnym życiem, potrzebujemy więc dla własnej, lepszej egzystencji nowych płaszczyzn działania, by nie popaść w rutynę, nie stracić przebojowości. Żeby działać uczciwie, nie można wobec zła przechodzić obojętnie, nie można dokonywać wyboru — to nas interesuje, a to nie dotyczy — bo wówczas popada się w zobojętnienie. Dlatego staramy się szukać różnych obszarów dla naszej aktywności.

— *Nic w tym złego, bo przecież w innych krajach istnieją grupy czy organizacje, które za jednym zamachem zajmują się narkotykami, zdrową żywnością, ekologią, organizują „ludzkie łańcuchy”, szukają nowych sposobów samorealizacji. I nie w tym problem, gdyż pojedynczo każde wasze działanie może*

przynieść i chyba przynosi nieco pożytku. Lecz razem wyglądają na sprytnie pomyślaną manipulację, gdyż wynajdują miejsce prawie dla każdego, przy odwracaniu się od zasadniczych polskich konfliktów. Monar to z pewnością nie Związek Socjalistycznej Młodzieży Polskiej, niemniej Kotański, jako wasz szef, ma również jakiś udział we władzach, chyba właśnie z racji znajomości sposobów oddziaływania na młodzież, której brak innym oficjalnym organizacjom.

M.S.: — My sobie nie zakładamy manipulacji. Chcemy, żeby było normalnie, czyli żeby nasze działania realizowały i trafiały w autentyczne potrzeby młodzieży. Z drugiej strony nie mamy ambicji na posiadanie monopolu. Ze strony Monaru może wyjść impuls, zachęta, pomysł, który wszakże nie kończy sprawy. Niech inni robią, co chcą. Nie mają przecież obowiązku realizowania naszych sugestii.

Jednak fakt pozostaje faktem, iż jeżeli ktoś próbuje działać na własny rachunek i nie bierze pod uwagę szerszego kontekstu akcji, może to działanie być rozumiane dwuznacznie. Po prostu sytuacja w kraju jest nienaturalna.

— Gdyż podstawowy konflikt nie zachodzi między zdrową a skażoną marchewką, której — wedle zaleceń dietetyków — nie powinno się jeść...

M.S.: — Monar od samego początku był bardzo przebojowy i jakby balansował na granicy różnych sfer: prawa, formalizmów, biurokracji. Staraliśmy się minimalizować niekorzystne wpływy, ale też nie wchodzić w obszary, które mogą zagrozić naszemu istnieniu. Zdrażnień i tak jest dosyć, gdyż Ruch raz po raz odkrywa nowe formy działania, wchodzi w nieznanne uprzednio układy, kontakty z różnymi instytucjami. Gdy organizowaliśmy Łańcuch Czystych Serc — ludzie z całej Polski mieli się w jednym czasie chwycić za ręce — organizacje młodzieżowe potraktowały to jako działanie konkurencyjne i nastawiły się do nas wrogo, odchodziły od jakiegokolwiek współpracy. Gdy robimy koncert, wtedy pretensje ma biurokracja od *show-business'u*, bo niby to ich dziedzina i nic nie szkodzi, iż nie potrafią jej sprawnie zagospodarować. Wchodzimy w konflikty z grupami pograżonymi w marazmie, niemożności. Ale też jesteśmy otwarci, gdyż to najprostszy sposób na ochronę naszego bytu. Podejmujemy różne propozycje z różnych stron. Współpracujemy

ze wszystkimi. Staramy się być apolityczni. I gdy władza, czy Kościół, czy inne organizacje przedstawiają nam konkretne oferty, to przyjmujemy je w dobrej wierze, patrząc na idee i cele, jakie przed tym czy owym działaniem stoją, nie zaś na domniemane, ukryte aspekty sprawy. Chcemy być prostolinijni.

— *Nie stawiam wam zarzutu ugłaskiwania niepokornej młodzieży, gdyż kanalizować nastroje może koncert, film, sztuka, teatr, także msza. Nie stawiam też znaku równości między Monarem a innymi oficjalnymi firmami zajmującymi się młodzieżą. Jednym ze skutków politycznego kryzysu jest uwiad zasad moralnych, które powinny rządzić naszym życiem i ten, kto stara się odbudować ich wartość zasługuje na uznanie. Ale w sytuacji, gdy w Polsce jest praktycznie jeden decydent, wygląda na to, że pozwala on wam na więcej niż innym. Może więc ktoś utrzymuje was po to, by młodzież sadziła sobie warzywa, brała się za ręce, polubiła szkołę, a nie działała na bardziej niebezpiecznych dla władzy polach.*

M.S.: — Wierzymy, staramy się wierzyć w dobre intencje władzy i wszystkich innych. Jest to świadomy wybór pozycji. Chcemy być otwarci, pierwsi wyciągnąć rękę, odstąpić się, podejmować ryzyko. Nie chcemy dostosowywać się do hipotetycznych reakcji ludzi, lecz pokazać, że działamy, niezależnie od kontekstów i aspektów politycznych.

— *Niemniej, drepczecie w polityce. Kiedy w zimie stawiasz na ulicy kocioł z gorącą zupą, wówczas pokazujesz, że w nadopiekuńczym i wścibskim państwie, którego ustrój jest ponoć oparty na nauce i zadbą o każdego, są ludzie autentycznie głodni. A to przecież środek Europy i koniec XX stulecia.*

M.S.: — W innych krajach takie akcje traktowane są normalnie. Po prostu istnieją wyspecjalizowane organizacje zajmujące się biednymi. A u nas było to działanie postrzegane przez wielu jako polityczne, jako przełamanie zmowy milczenia wokół tematu biedy. Gdy kocioł z zupą zobaczyli dziennikarze zachodni, od razu powiedzieli, że będzie na pretekstem do pierwszego pytania na konferencji prasowej u Urbana. Redakcja „Polityki” oszalała: „jak to możliwe, że dostaliście pozwolenie? Z tego wykroi się większa afera”.

Cała sprawa zaczęła się zupełnie zwyczajnie. Kotański

zobaczył w jednej z telewizyjnych redakcji szafę wypełnioną listami od ludzi biednych. Wpadł do biura Monaru około czternastej. Jeszcze tego samego dnia załatwiliśmy odpady mięsne, drewno na opał, pożycziliśmy naczynia z barów, zorganizowaliśmy młodzież ze szkoły gastronomicznej do gotowania. Następnego dnia, z samego rana, rozklejaliśmy na warszawskich dworcach ogłoszenia, że u nas można za darmo zjeść gorącą zupę. I wszystko. Dopiero inni uświadomili nam dodatkowy wydźwięk całej sprawy.

Było to działanie bardzo szybkie. Wzbudziło niepokój, ale i zainteresowanie instytucji, które faktycznie wyřeczyliśmy, na przykład Polskiego Komitetu Pomocy Społecznej. Zadzwoniliśmy do nich, gdyż mieliśmy kocioł z 80 litrami gorącej zupy; a szkoda było marnować jeřliby ludzie nie przyszli. Oni powiedzieli, że nigdy podobnych rzeczy nie robili, ale z chęcią zobaczą i pomogą. Poprosiliśmy więc o pieniądze, bo nasze muszą przecież iść na leczenie narkomanów. I okazało się, że nam potrzeba gotówki — zresztą trochę dali — im zaś listy osób, które zupę jadły, niemalże z podpisami i numerami dowodów osobistych.

Przy takiej biurokracji nic się nie da zrobić, choć z drugiej strony okazuje się, że jeřli chcesz, to możesz pomóc ludziom. Tyle że instytucje powołane ku temu funkcjonują w sztywnym gorsecie, czego nawet nie byliśmy świadomi, póki nie dotknęliśmy go własną ręką.

— *Kto was nie lubi?*

M.S.: — Wielu ludzi i z różnych powodów, jednym z nich jest tradycyjna polska zawiść, gdy komuś się udaje i przelamuje pewne stereotypy. Pojawia się to, na przykład, u specjalistów od narkomanii, którzy nigdy w życiu nie wyleczyli żadnego narkomana, a mówią, że nasza metoda jest okrutna, że łamiemy osobowość pacjenta, upokarzamy go.

Nie lubią nas ludzie, którym zwracamy głowę naszym działaniem, ponieważ pojawiają się w nieoczekiwanych miejscach i dostarczamy im całą furę nowych problemów. Oni dotąd żyli spokojnie, w bezproblemowej rutynie. A tu nagle ktoś działa inaczej i niezwykle szybko. Jeřli się spojrzy, jak długo jakaś fachowa instytucja organizuje, na przykład, koncert, to ręce opadają. Nam zorganizowanie koncertu Czyścych Serc, bezpłatnych hoteli i przelotów dla wykonawców, zajęło dwa miesiące, przy bezpośrednim zaangażowaniu

dwóch ludzi. I nie było żadnych nacisków z góry, lecz tylko nasze chodzenie za sprawami.

Podobnie jest z problemem AIDS, który przecież powinien rozwiązywać kto inny, a nie Monar, choć narkomani są grupą zwiększonego ryzyka zachorowania. Kotański jeździł na Zachód, tam zobaczył zmiany w kulturze, w obyczajach, w świadomości, związane ze strachem przed AIDS, i — przekonany, że w Polsce będzie to wyglądać o wiele gorzej — zachęcił nas do zajęcia się sprawą. W ośrodkach zastanawiano się, co zrobimy, jeżeli wśród pacjentów będzie ktoś z AIDS. Czy utworzymy dla nich getto, czy ich nie będziemy leczyć? Pytaliśmy pacjentów, jak oni się w takiej sytuacji zachowają. Później wyszliśmy ze sprawą na zewnątrz, w myśl modnej ostatnio sentencji: jeśli nie my, to kto? Zaproponowaliśmy akcję zbierania po dolarze na testy krwi, żeby coś zapoczątkować, żeby nie ograniczać się do gadania, iż ktoś inny winien nam te testy zapewnić. Bo to w końcu głupio, jeśli człowiek leży na łóżku umierając i wyłącznie to ma do powiedzenia.

No i zaczęto przypisywać nam cały szereg pobocznych intencji. Atakowano Monar, że robi sobie kolejną reklamę, bo zbieranie pieniędzy i tak nic nie pomoże. Przy okazji dolary są w Polsce sprawą wielce kontrowersyjną, szczególnie w przypadku oficjalnych zbiorów, ale przecież nie ma innej rady, bo testów nie sprzedadzą nam za złotówki. W tych insynuacjach zginęła etycznie-moralna sprawa przedsięwzięcia.

— *Kto was lubi?*

M.S.: — Nie wiem, czy ktoś lubi nas tak bardzo jednoznacznie. Mamy kłopoty z własnymi wydawnictwami, więc gdzieś na górze chyba nas nie lubią. Ale z drugiej strony pozwolenie na różne akcje wydaje właśnie góra. Tak było z Łańcuchem Czystych Serc. Decyzja zapadła wysoko, ale wcześniej Kotański roztrząbił sprawę w radio i telewizji. Myśmy ich nie kupowali. Wcześniejsza reklama stała się poniekąd szantażem.

Rozmawialiśmy z szefem Urzędu Rady Ministrów. Od samego początku deklarował poparcie, więc w pewnym momencie mówimy: „Nich pan łaskawie zadzwoni do wojewodów, żeby nam nie przeszkadzali, a ewentualnie udzielili pomocy, dali pożyteczne kontakty”. A on: „O, Boże!”, bo nagle stwierdził, że już poszliśmy za daleko, że sprawa nie

leży w jego kompetencjach. Minister do spraw młodzieży identycznie: „Przecież to cała Polska, miliony osób, a tylko podczas wymiany wakacyjnej z NRD zginęło dwoje czy troje ludzi. To ile zginie teraz?”

Idziemy do Komendy Głównej MO. Mówią to samo: „Dajcie spokój. Centralna trasa, zakłócenia w ruchu. Młodzież wyjdzie na ulicę, a tu akurat będzie jechać ciężarówka. Jak wy to sobie wyobrażacie? Co 50 metrów powinien stać porządkowy”.

Wszyscy oni myśleli zapewne o organizowaniu ludzi w sektory, w kolumny, jak na pochodzie pierwszomajowym.

My na to, że nie chcemy, by młodzież przywożono ze szkół autokarami. Niech to będzie impreza spontaniczna, do której zgłoszą akces ci, co naprawdę chcą.

Przez tydzień Kotański był wzywany do KC, czekał na decyzję. W końcu dostał pozwolenie, jakby na własną odpowiedzialność. Znowu nastąpiło przełamanie stereotypu — nikt za nim nie stoi, nikt go nie popycha, a sprawę załatwił.

Niektórym wydaje się, że Kotański ma specjalne wejścia na najwyższych szczeblach. To prawda, ale sam sobie się wychodził, gdyż zawsze działamy w konkretnych celach, więc do spotkania dojść musiało, przecież to nie nasza wina, iż w wielu wypadkach zgoda na poszczególne akcje zapada wysoko.

Na Łańcuch Czystych Serc ludzie reagowali bardzo różnie. Stawali, zapraszali innych, śmieli się, bali się podać sobie ręce. Taki drobny gest rodził wiele silnych emocji. My daliśmy tylko hasło, bez budowania ideologii. Więc jedni z uczestników mówili, że chcą pomóc narkomanom, inni pomóc słabszym. Jeszcze inni widzieli w tym symbol pokoju albo walki o wolność. Łańcuch poruszył różne struny ludzkich dusz, służył zintegrowaniu. Może tylko po to, żeby być lepszym w kolejce. A pytanie: co to dało? — jest bez sensu. Czasem wystarczy, jeśli ludzie zaczną się zastanawiać.

Albo chcieliśmy sadzić drzewka na Śląsku. Wyśmiali nas w kilku gazetach, bo na drzewka wyda się miliony, a one i tak się nie przyjmą. Taka argumentacja nie ma żadnego sensu. Autorytety naukowe twierdzą, iż drzewka na Śląsku sadzić trzeba, żeby nie dopuścić do dalszej degradacji gleby i środowiska. Poza tym, jak młodzież posadzi sama, to może zacznie serio dbać o przyrodę. Ci, którzy w akcji uczestniczyli, z całą pewnością tak. Oni sami przygotowali masę raportów, robili sobie wykłady, realizowali się w tej działalności. I abstrahując

od naukowej wartości raportów i prelekcji, ta młodzież zaangażowała się w sprawy ekologii. A to jest ważniejsze z całego pomysłu.

— *A gdybyście nie dostawali zgody na wasze akcje?*

M.S.: — Pewnie zaniechano by działań. Nikt by nam przecież nie pomógł. W przypadku Łańcucha Czystych Serc nie pomogłaby nam ani służba zdrowia, ani milicja. Byłoby to złamanie prawa. Parę osób z pewnością poszłoby siedzieć, gdyż manifestacja z miejsca przybrałaby inny charakter.

— *Może więc dają wam zgodę, nawet na manifestacje, gdyż Monar jest „mniejszym złem” niż działania niezależne?*

M.S.: — Kiedy coś robię, organizuję, staram się nie brać pod uwagę, nie rozpatrywać w najdrobniejszych szczegółach intencji władzy. Celowo, gdyż obawiam się, że wówczas musiałbym być bardziej ostrożny, nawet podlizywać się. Ale też mogłoby być zupełnie na odwrót.

Monar powstał w sposób przełamujący obowiązującą konwencję — po prostu młodzież wystosowała apel do władz: „rząd nic nie robi, dorośli nic nie robią, więc pozwólcie robić nam”. Teraz, na Węgrzech, Kotański uczynił podobnie i ludzie byli zaskoczeni — jak można napisać podobny apel od władz, to prawie rewolucja. W naszym systemie wydaje się, że każde takie działanie musi komuś służyć, oprócz — rzecz jasna — organizatorów, czyli samej młodzieży. Pierwsze informacje o Monarze zachodni korespondenci sprzedawali również w takim kontekście. A przecież ze swej aktywności nie czerpiemy żadnych profitów ekstra; ani wielkiej forsy, ani mieszkań, talonów na samochody, przywilejów. Zapewne nie mieścimy się w schemacie, który współtworzy nie tylko władza.

Monar powstał jako ruch antynarkotyczny, a przecież nie było przepisów sankcjonujących coś takiego, gdyż wówczas dopiero zaczynało publicznie mówić o narkomanii w Polsce. Rodziło to szereg problemów, bo nikt nie wiedział, gdzie nas podczepić. Lecz kiedy sprawa narkomanii została uregulowana prawnie, wtedy usankcjonowano rzeczy przez nas zrobione. I to jest wskaźnik, że istnieją jeszcze nieodkryte, niezagospodarowane sfery, możliwości tworzenia nowych wzorców i ich późniejsze opisanie prawne, kiedy

realnie istnieją. To oznacza, że trzeba działać. Bo jeśli tego sam nie zrobisz, to wcześniej czy później przyjdzie jakiś urzędnik, wyznaczy ramy i nikt się w nich nie zmieści. Trzeba tworzyć fakty dokonane.

— *Kim jest dla Monaru Marek Kotański?*

M.S.: — Niewątpliwie wielkim autorytetem, praktycznie we wszystkich dziedzinach naszej działalności. Posiada ogromną charyzmę, umie powstrzymać i napędzać ludzi do nowych działań. To chyba kwestia energii, którą czerpie z siebie i daje innym. Tworzy i narzuca nowe idee, nie dopowiadając ich do końca, gdyż pomysł może zweryfikować tylko działanie.

Wielu rażą jego wejścia u władz, lecz takie muszą być, gdyż inaczej nie załatwilibyśmy różnych, w sumie pozytywnych rzeczy.

— *Dlatego też wielu obserwatorów Monaru twierdzi, iż Kotański się skompromitował, bo działa za wszelką cenę.*

M.S.: — To jest człowiek, który o dziesiątej ma spotkanie z Jaruzelskim, o dwunastej z Glempem, a o pierwszej dzwoni do Papieża. Nie działa dla osobistych korzyści. Proponowano mu uczestnictwo w PRON-ie, ale nie przyjął, gdyż bał się utraty autentyczności, co zresztą powiedział w prasie. To przecież Kotański miał być ministrem do spraw młodzieży, ale też się nie zgodził. On po prostu umie rozmawiać z władzami. Kiedyś pojechał na Maltę, na jakąś konferencję i od razu Maltańczycy chcieli mu dać wyspę, by u nich leczył narkomanów.

Kotański to swego rodzaju wódz ideologiczny, guru, lecz z pewnością nie wódz od działania. A ideologią Monaru jest etyka i moralność. Konkretnie wypełnia sama młodzież.

— *Jakie są wasze oczekiwania względem młodzieży?*

M.S.: — Niech będzie otwarta, ufna. Dla nas byłoby to znacznie lepiej, lecz w tej konkretnej polskiej sytuacji... Żeby patrzyła na nasze działania wprost, nie wyszukując w nich podtekstów, aluzji. Niech będzie gotowa do podjęcia konkretnego wysiłku, nastawionego na realizację konkretnych wartości.

Bo my właśnie chcemy zaprezentować konkret. Na przykład Centrum Czystych Serc, które organizujemy w starej warszawskiej kotłowni. Młodzież będzie tam gospodarzem, będzie mogła realizować swoje marzenia i zainteresowania. Program oczywiście otwarty, tylko pozornie podobny do programów domów kultury. Będzie teatr, pracownia fotograficzna, bar zdrowej żywności, hostel, schronisko dla zwierząt i wiele innych, lecz te rzeczy nie mogą być celem samym w sobie. Celem jest własne samodoskonalenie, a jeśli przy okazji wyjdą rzeczy wartościowe w sztuce scenicznej czy fotografice, to drugie dobrze.

Chcemy zmusić młodzież do aktywności, bo ta aktywność musi kiedyś zaprocentować. Marazm jest zawsze zły, niezależnie od sytuacji politycznej czy gospodarczej, zaś sprowokowana aktywność na jednym polu może zawsze pójść w innym, może ważniejszym kierunku. Najgorsza jest taka sytuacja, gdy mamy szansę na coś pozytywnego, lecz ludzie nie reagują, bo już dawno przestali reagować na cokolwiek. Nie widzą pozytywów, nie protestują przeciwko negatywom.

Od następnego dnia nic się nie zmieni. Na pewno nie zmieni się samo przez się. Trzeba dać impuls i my to robimy... Może ludzie zaczną myśleć, działać, staną się bardziej odpowiedzialni.

— *Sam jesteś wzorem aktywności.*

M.S.: — Może, lecz przyznaję, iż kiedyś chciało mi się bardziej. Gdy na zjeździe Niezależnego Zrzeszenia Studentów w Krakowie bąknąłem coś o narkomanii, to prawie mnie wysłieli. A ja wiedziałem, że sprawą należy się zająć jak najpilniej. Gdy wprowadzono stan wojenny, nie załamałem rąk, lecz działałem w Monarze. Teraz mam żonę, dziecko, muszę utrzymać rodzinę, o co bardzo trudno z monarowskiej pensji. Z drugiej strony Monar nieco się zbiurokratyzował, przychodzą do nas ludzie, którzy nie widzą spraw całościowo, zajmują się drobnymi wycinkami. To rodzi szereg konfliktów, zupełnie niepotrzebnych, lecz psujących atmosferę. Z paru względów chciałbym odejść, może założyć jakiś prywatny interes, lecz z drugiej strony chcę być lojalny wobec Kotańskiego, którego jestem faktycznie prawą ręką.

— *Czy podobną rozmowę mógłbym przeprowadzić z innymi pracownikami lub członkami Monaru?*

M.S.: — Sądzę, że łączy nas sposób myślenia i w podstawowych kwestiach jesteśmy zgodni. Niemniej niewiele osób patrzy na Monar jak na określony, całościowy system. Większość ma swoje działki i tylko nimi się zajmuje. Lecz jeśli chodzi o wiarę w sens naszego działania oraz prezentowane przez nas postawy — jesteśmy blisko siebie.

Grudzień 1987

FORSA MUSI BYĆ W RUCHU

— Pamiętaj, że forsa musi być cały czas w ruchu — to pierwsze zdanie Marka, dwudziestokilkuletniego chłopaka, który postawił na zrobienie dużych pieniędzy. — Nie opłaca się jej trzymać przy sobie. Nie mówię o złotówkach, bo tym w ogóle nie warto sobie zawracać głowy. Ale nawet trzymanie w skarpecie dolarów to kiepski interes.

Spróbujmy więc zainwestować w interes przyzwoity. Na przykład — co w Polsce jest wielce popularne — w komputery i ich oprzyrządowanie. To już nie tak dobry biznes, jak 3-4 lata temu, kiedy jeden włożony dolar procentował dwoma następnymi czystego zysku. Lecz nawet dziś lichego zarobek sięga pięćdziesięciu procent wkładu.

Zarabianie na elektronice rządzi się tradycyjnym już rytuałem. Po pierwsze — trzeba zorientować się, jaki model komputera lub jakie fragmenty urządzeń peryferyjnych są akurat potrzebne odbiorcy, z reguły państwowemu przedsiębiorstwu. Technicznie wygląda to prościutko — wystarczyć wysondować rynek za pośrednictwem jednej z powstających jak grzyby po deszczu niewielkich spółek parających się handlem elektroniką. Następnie trzeba odbyć kurs na Zachód, a jeszcze lepiej — choć wymaga to dużego wkładu w samą podróż — na Daleki Wschód, gdyż tam sprzęt komputerowy jest najtańszy. Wynajęta spółka przeprowadzi za nas transakcję, pobierając za pośrednictwo kilka procent prowizji. Komputer kupujemy za dolary, a sprzedajemy za złotówki, lecz w takim przypadku jeden dolar równa się kwocie znacznie wyższej niż aktualnie obowiązująca cena czarnorynkowa. Kontrahentem jest przecież firma państwowa, która dewiz nie ma, więc siłą rzeczy skazana jest na taki indywidualny import, a cena złotówkowa praktycznie nie gra dla

niej roli. Na transakcji zarobimy złotówki, za które później kupimy dolary i całą operację możemy z powodzeniem powtórzyć.

— Największy kłopot był wtedy — ciągnie dalej Marek — kiedy nie miałeś dolarowego konta, więc pieniądze trzeba było szmuglować. Komputery są dość drogie — każda inwestycja warta zachodu ociera się o sumę tysiąca dolarów. Głupio tracić taką forszę, a w przypadku, kiedy interes robisz do spółki: ty dajesz pieniądze, wyjeżdża partner, stress jest podwójny. Przecież zawsze może cię wyślizgać. Facet bierze forszę, wraca po tygodniu z przegraną miną i mówi: „słuchaj, celnicy znaleźli szmal”. Pewnie, że nie ma żadnego pokwitowania, bo gdyby upierał się przy załatwieniu całej sprawy zgodnie z przepisami, to nie dość, że bezpowrotnie straciłby dolary, ale jeszcze zapłaciłby ogromną karę. Jasne więc, że wołał dać zarobić celnikom i nie wycierać się po sądach. A ty do końca życia będziesz pluł sobie w brodę: wykiwał, nie wykiwał. Straty nikt ci nie zrefunduje. No chyba, że następna „przewalka”.

Zeby komputerowy interes przynosił duże zyski, importowe operacje trzeba powtarzać kilka razy w roku. Wtedy zaczynają się kolejne problemy. Przy wielokrotnych transakcjach gwałtownie wzrastają podatki. Lecz na urząd skarbowy również znalazł się sposób. Wystarczy wyszukać znajomego, który nie robi podobnych kombinacji i sprowadzić komputer na jego nazwisko. Oczywiście nie za darmo — „martwa dusza” dostanie kilkadziesiąt tysięcy za firmowanie sprawy. Można także fikcyjnie przemienić zakup w darowiznę, najlepiej między członkami bliskiej rodziny. A gdy uskłada się już sporo forsy, wtedy warto zainwestować w spółkę „od wszystkiego”, na przykład od kupna i sprzedaży.

— Siedzisz sobie z kilkoma facetami w wynajętym mieszkaniu, koniecznie z telefonem i czekasz. Dzwoni jakiś klient — to dalszy ciąg monologu Marka — i mówi, że ma do sprzedania komputer, profesjonalny aparat fotograficzny, magnetowid lub cokolwiek innego. Prosisz o jego namiary i obojętnym głosem mówisz, że może coś się da załatwić. Potem obdzwaniasz instytucje, o których wiesz, że takiego sprzętu szukają. Gdy trafisz na chętnego, łączysz się z owym klientem i mówisz: „możemy kupić to za milion”. Facet jest zadowolony, bo szybko ma pieniądze w garści. Ty też, bo za chwilę sprzedasz towar z kilkudziesięcioprocentowym zyskiem. Znam trzech chłopaków, którzy prowadzą właśnie taką

spółkę. Niech dziennie wyjdzie im jedna „przewalka”. Niech połowę zarobionej forsy zeżrą podatki, wynajęcie chaty, rachunki telefoniczne. I tak zarobią sto razy więcej niż na państwowej posadzie.

Prezesem i udziałowcem takiej spółki jest Tomek. Ma 28 lat. Skończył dwa fakultety. Nie pracuje w wyuczonym zawodzie i nigdy tego nie chciał. Ale tak długie studia były mu potrzebne. Po pierwsze — pozwoliły uniknąć wojska, a więc bezsensownej straty czasu. Po drugie — długie wakacje, które przy umiejętnym rozłożeniu egzaminów mogły trwać i kilka miesięcy w roku. Po trzecie — trzeba było rozliczać się tylko z ocen, nikt zaś nie zaglądał do portfela. Po czwarte — to w końcu spora frajda być studentem, uczyć się dla sportu i nie uczestniczyć w wyścigu szczurów o późniejsze państwowe posadki.

— Pierwszy interes zrobiłem jeszcze w szkole podstawowej — śmieje się Tomek. — W Wigilię sprzedałem jakiemuś facetowi choinkę kilka razy drożej niż ją kupiłem poprzedniego dnia. Był lekko zawiany i pewnie bał się pokazać w domu bez drzewka. Ale to było bardzo dawno.

Tomek zaczął zarabiać jako nastolatek. Początkowo jeździł na saksy do Szwecji, później do Holandii. Pracował tak samo, jak wielu jego rówieśników: zmywał naczynia w knajpach, nosił cegły na budowach, w szklarniach sortował tulipanowe cebulki. Tak było jeszcze na początku studiów.

— Wówczas obowiązywał nedorzeczny schemat: tam zarobić, tu wydawać. Do pewnego stopnia było to opłacalne. Zresztą i dziś wiele osób jeździ do pracy na Zachód, tyrają tam po 24 godziny na dobę i uważają to za szczyt zaradności. Ale jak długo można ciuć po kilka dolców na małego fiata? Bo nie jest sztuką tam zarobić, a w Polsce kupić sobie parę dzinsów. Przecież na Zachodzie jest o wiele weselej. Tam trzeba się bawić, a tu zarabiać. Tomek szybko zrezygnował z tradycyjnych saksów. W czasach, kiedy Polski nie dotknął jeszcze komputerowy szal, wyjechał do Tajlandii. Wkrótce na ręce jego przyjaciół zaczęły napływać paczki ze sprzętem elektronicznym, kilogramy układów scalonych, wtedy nie objętych praktycznie żadnym cłem. Cały towar znalazł nabywców na pniu.

Ale nie tylko to przyniosło spore pieniądze. Tomek wykombinował, że przebiecie na kupowaniu elektroniki w Bangkoku i sprzedawaniu jej w Indiach jest jeszcze wyższe niż u nas. Ryzyko też większe — w Indiach przemysł zagrożony

jest odsiadką — ale zarobek rekompensuje strach. Niejako przy okazji objechał wielkie połacie Azji, już turystycznie — przysięga — zawędrował nawet do Nepalu. Efektem kilku-miesięcznych wojaży jest kilkanaście godzin filmu wideo, który z przyjemnością pokazuje kolegom. I — wreszcie — własna firma. Oficjalnie stał się rzemieślnikiem, praktycznie zaś wartość jego wyrobów to produkcja niewielkiej manufaktury. Sam tylko dogląda roboty, niekiedy wyskoczy po materiały do Berlina Zachodniego, bo to najbliżej, a czas w interesach gra niepoślednią rolę. Kilka lat pracował na pieniądze, teraz pieniądze pracują na niego.

— Sprowadzanie elektroniki do Polski jeszcze się opłaca — mówi Tomek — lecz złote czasy minęły bezpowrotnie, bo rynek się nasycił i teraz trzeba się zdrowo nabiegać, żeby coś zarobić. Otworzył się za to popyt na oprogramowanie i usługi komputerowe. To można robić w kraju, podobnie jak szyć spodnie albo koszule. Zawsze wiesz, czego rynek chce i jak zrobić, żeby suwak do portek kupiony na Zachodzie zwrócił inwestycję i jeszcze zarobił. Pewnie, że coś takiego w normalnych warunkach byłoby niemożliwe, bo opiera się na wariackim przeliczniku złotówki do dolara. Ale to już nie moja wina, że w Polsce dolar jest takim samym towarem jak każdy inny. Trzeba więc tylko wyszukać taką dziedzinę, gdzie wartość dolara jest najwyższa. Przy permanentnym braku wszystkiego pozornie jest to bardzo proste, lecz, z drugiej strony, w te najbardziej popularne „przewalki” wciska się coraz więcej ludzi.

Tomek twierdzi, że gdyby urodził się gdzie indziej, najprawdopodobniej robiłby to samo. Interesuje go forsa. Nie tylko dlatego, żeby mieć jej coraz więcej, lecz przyjemność zarabiania dla samego zarabiania. Bo interesy mają w sobie coś z karcianych gier. Tomek ma w pokerze nieprawdopodobne szczęście; w biznesie idzie mu podobnie. Szkoda więc marnować takie talenty.

Scenerią do kolejnej opowieści jest mała kawalerka w starej części Mokotowa. Przy ścianie stoi stół kreślarski, a na nim cztery amatorskie magnetofony-przegrywarki. Obok torby z setkami kaset, kartony ze zdjęciami rockowych zespołów, które wciśnięte później w plastikowe pudełka staną się obwolutami gotowego produktu. Przegrywarki pracują kilkanaście godzin na dobę. Na każdej nagranej kasie można trafić parę złotych więc gra jest warta świeczki. Najlepiej sprzedają się kapele grające różne odmiany „metal”,

potem dyskotekowa rąbanka. Robota głupia: włożyć kasetę, wyjąć kasetę, przewinąć taśmę, wcisnąć klawisz, wyłączyć klawisz. Od czasu do czasu odsłuchanie poziomego nagrania, byle niezbyt często, bo przecież można zwariować od tego zgiełku.

Obfitość pirackich nagrań, dostępnych praktycznie wszędzie, wskazuje, że podobne manufaktury można liczyć w grube dziesiątki. Tutaj nikt nie zwraca sobie głowy prawami autorskimi, reżimem technologicznym nagrania. Kasety są najtańsze, jakość kopii daleko odbiega od profesjonalizmu.

— Znajomi śmieją się — mówi kasetowy biznesmen — że moje przegrywarki to 150% produkcji działających oficjalnie firm fonograficznych. Przerób mam całkiem niezły.

— Dla kogo te kasety?

— Różnie. Trafiają na bazy, do Warszawy, do Wrocławia. Może do Elku albo Białegostoku. Może na eksport. W Rosji kupią każdą ilość takiego towaru.

— Ile na tym trafisz?

Zamiast odpowiedzi śmiech, a później cisza. I nagle z zupełnie innej beczki;

— Pewnie, że taka robota to piractwo. Ale tak się dziwnie składa, że w Polsce piractwo można uprawiać całkowicie oficjalnie, byle by tylko urząd skarbowy był zadowolony z podatków. Jest, dla przykładu, wypożyczalnia płyt kompaktowych. Zbyt wielu klientów nie ma, bo sprzęt drogi jak cholera, więc przy okazji prowadzi coś w rodzaju studia nagrań. Przychodzi klient i prosi o przegranie jakiejś płyty. Niemożliwe — odpowiada szef firmy — no, chyba, żeby dograć do niej jakieś życzenia. Facet się zgadza, więc dostaje nagraną kasetę, żeby w domu zdecydował, czy mu pasuje, bo życzenia nagra się następnego dnia. A następnego dnia z całą pewnością się nie spotkają. W końcu to nie jest wina szefa wypożyczalni, że ma nieuczciwych klientów. Zresztą — kogo to obchodzi? Forsa została zapłacona.

Albo inaczej. Facet chce posłuchać jakiejś muzyki, ale nie ma dobrego adapteru. Pożycza więc kasetę, co kosztuje parę złotych plus, oczywiście, kaucja. Jeżeli klient nie zwróci kasety, wówczas kaucja przechodzi na rachunek wypożyczalni. Że koszt kasety i koszt nagrania zostały skalkulowane na poziomie ceny rynkowej, to tylko „czysty przypadek”.

Tak oto prywatny import komputerów, zorganizowanie spółki „do wszystkiego”, kopiowanie kaset magnetofonowych i wiele innych dziedzin polskiego młodego biznesu opiera się

na wspólnej podstawie — aby zarobić, trzeba wcześniej wyłożyć pieniądze. Często zaczyna się za pożyczone lub wytrwale zbiera grosz do grosza. Wiadomo jednak, że odkładanie z państwowych zarobków nie zda się na nic. Pozostają więc saksy (ankiety socjologiczne mówią, że ogromny odsetek młodzieży marzy o zarabianiu na Zachodzie) albo drobny handel, bazujący na korzystnym przeliczniku dolara do złotych lub relacji między czarnorynkową a oficjalną ceną towaru wyprodukowanego w Polsce. Gdy młodzi ludzie wchodzą w świat interesu, z reguły pieniędzy nie mają. Nic więc dziwnego, że wszystkie polskie targowiska są dosłownie oblepione przez młodzież.

Na przykład warszawska „Skra”. W każdą niedzielę, skoro świt przed obiektami tego klubu sportowego parkują samochody niemal z całej Polski. Chętnych do zostawienia pojazdu w najbliższym sąsiedztwie stadionu jest tak wielu, że na czas trwania giełdy likwiduje się pobliski przystanek autobusowy. Później nadciągają ogromne rzesze sprzedających, kupujących, a także „ogładczy”, lawirujących w gęstym tłumie, między rozłożonymi gazetami czy stolikami kempingowymi, które zamieniają się w przenośne stragany. Zaczyna się wielki targ.

Na odwrocie biletu uprawniającego do wstępu na teren giełdy wypisano, że na „Skrze” zakazana jest sprzedaż: „polskich i zagranicznych banknotów i bonów towarowych Banku PKO S.S., towarów nabytych w handlu detalicznym w celu odsprzedaży z zyskiem (powyżej jednej sztuki), także artykułów pochodzących ze sklepów Pewexu, nowych dywanów, kozuchów, futer i skór, zwierząt i ptaków, kaset wideo, magnetofonowych i komputerowych, innych artykułów, których sprzedaż zabroniona jest na podstawie odrębnych przepisów”. Z tej — dość obszernej — listy na targowisku nie handluje się tylko ptakami, chyba dlatego, że interes w ten branży nie stoi zbyt mocno. A poza tym „Skra” to najlepiej zaopatrzony dom towarowy w całej Warszawie, może nawet w całej Polsce. Takiej mnogości towarów nie uświadczą się nigdzie.

Ta giełda dyktuje uliczną modę. Teraz nosi się pościerane dzinsy, więc na zaimprovizowanych stoiskach obfитоść takich spodni, sukienek, kurtek i koszul, opatrzonych w angielskojęzyczne metki, najczęściej ze słowami „super” lub „extra”. Większość z nich to tandeta, która trafiła na bazar z tureckich sklepów lub hurtowni. Dużo jest bawełnianych

podkoszulków i *sweatshirt*'ów, importowanych z tego samego kierunku. Są też — ostatnio bardzo modne — kolorowe sznurowadła, w cenie kilku tysięcy złotych za parę.

Można kupić nielegalnie kopiowane kasety z muzyką i programami komputerowymi. Kwitnie handel książkami (oficjalnie wydane bestsellery osiągnęły bardzo wysokie przebiecie), z których wiele wydano w pozaoficjalnym obiegu. Ale nie są to książki „Nowej” czy „Przedświtu”, choć takie też się trafiają. To z reguły tłumaczenia zachodniej literatury fantastyczno-naukowej i sensacyjnej, odbite gdzieś na powielaczach. Są zagraniczne magazyny ilustrowane, przede wszystkim dotyczące muzyki młodzieżowej. Mniej ostentacyjnie handluje się najwykleszą pornografią, lecz już *Playboy* leży na widocznym miejscu. Statecznie wyglądające panie sprzedają bardzo seksowną damską bieliznę: pończoszki, czerwono-czarne majteczki „z dziurą”, i konieczne dodatki, czyli prezerwatywy *made in Czechoslovakia*, bo rodzimych też już zabrakło. Na turystycznym stoliku, obok czekolady, gummy do żucia i cukierków, leżą lekarstwa, o które próżno błagają pacjenci szpitali (część medykamentów pochodzi, rzecz jasna, z kościelnych darów). Sprzedaje się komputery, sprzęt wideo i stereo, wędki i narty, numizmaty, znaczki pocztowe, buty, rajstopy, telewizory, kawę, herbatę, papierosy, suche (!) pieluchy i aparaty słuchowe.

Tłum kupujących zapewnia odwiedzającym giełdę anonimowość. Jednak jeżeli chodzi się na „Skrę” regularnie, bez najmniejszych kłopotów można rozpoznać twarze wielu sprzedających. Okupują zwykle te same miejsca — wiadomo, gdzie handluje się ciuchami, a gdzie wystają bukiniści — przynoszą ten sam rodzaj towaru. Często można umówić się z nimi na konkretną rzecz; „dzisiaj nie mam, ale przyjdź za tydzień”. Zamówienie zostanie zrealizowane i nie jest ważne, czy chodziło o poszukiwane lekarstwo, o fatalaszek, czy o rzadką książkę.

Żeby na „Skrze” solidnie zarobić, trzeba zlekceważyć nie tylko regulamin giełdy i inne przepisy niższego rzędu, ale też podstawowe normy prawne. Nikogo to jednak nie obchodzi. Tak samo w zerowym poważaniu jest najwykleszy kodeks etyczny, który przecież powinien zabronić handlu lekami otrzymanymi z darów, kiedy — bywa — sprzedający nie targuje się tylko o cenę, ale i o ludzkie życie. Lecz po co przejmować się drobiazgami. Skrupuły zostawmy innym. Tutaj, na „Skrze”, liczą się tylko pieniądze, a droga do ich zdobycia jest środkiem uświęcanym przez cel.

Zainteresowanie biznesem wśród młodej generacji jest zjawiskiem stosunkowo nowym. Pierwsze jego symptomy dały się dostrzec w końcu lat siedemdziesiątych, wraz z powiększającą się łatwością zdobycia paszportu i wyjazdu na saksy. Zarobkowanie na Zachodzie częstokroć odmieniało ludzi; całe środowiska z lekka kontestatorskie przemieniały się w grupy dorobkiewiczów. I jeżeli dziś można mówić, że niektóre dziedziny gospodarczej aktywności, zwłaszcza te położone w „szarej strefie”, między legalnością a przestępstwem, wymagają wyzbycia się norm moralnych, prapoczątek tego fenomenu można było zauważyć już wówczas.

W niektórych środowiskach bardzo popularne były wyjazdy na saksy — połączone z tak zwanymi „worami” — przede wszystkim do Skandynawii. „Wory” to typowo złodziejskie eskapady. Kradło się wszystko: od papierosów i jedzenia po sprzęt turystyczny potrzebny do biwakowania. Skradziony towar był sprzedawany na polach namiotowych za połowę jego sklepowej wartości (kupującymi byli często koledzy „worowiczów”) lub przywożony do Polski, gdzie trafiał na giełdy i targowiska. Wśród „worowców” krążyły autentyczne legendy o gerojach, którzy wyjechali z Polski w jednej koszuli, a już w pierwszym sklepie zdobywali cały sprzęt biwakowy łącznie z namiotem i śpiworem, zaś do Polski wracali samochodem wyładowanym po dach towarem i z portfelem pełnym pieniędzy. „Wory” stały się publiczną tajemnicą, obłożoną nieformalnymi sankcjami. Na przykład studenci Uniwersytetu Warszawskiego, mimo bezdewizowej wymiany turystycznej ze Szwecją, nie mogli uzyskać zgody władz uczelni na wyjazd do tego kraju, jeżeli nie legitymowali się zaproszeniem. A wszystko to za sprawą kilku młodzieńców przyłapanych przez szwedzką policję na gorącym uczynku.

Czas szesnastu miesięcy legalnego istnienia „Solidarności” tylko w nieznacznym stopniu rozbudził ekonomiczną aktywność młodzieży; atrakcyjniejsza była polityka, a i chyba niewiele osób zdawało sobie sprawę z tego, że jest bardzo źle, więc trzeba zadbać o siebie, gdyż w innym przypadku finał będzie żałosny. Lecz z drugiej strony był to okres nasilonych wyjazdów na Zachód — które często kończyły się emigracją — rozwój saksów, zastopowany dopiero przez stan wojenny. Wówczas to co bardziej przedsiębiorcze jednostki wzięły się za krajowy interes, powstawały pierwsze młodzieżowe spółdzielnie. Lata 1984-85 to początek ery komputerowej.

Od 1986 roku zaczął się etap spółek. I nic nie wskazuje na to, by taki sposób samorealizacji młodych miał ulec zahamowaniu. Tym bardziej, że lansowanym ostatnio oficjalnie (m.in. przez rzecznika rządu) wzorcem osobowym dla dwudziestokilkulatków jest człowiek energiczny, przedsiębiorczy, stawiający na rozkręcenie własnego interesu i duży zarobek. Jest to postawa lansowana tak przez władze (jeżeli funkcjonuje bez politycznych konotacji), jak i przez znaczną część opozycji.

Wielość elementów i uwarunkowań sprawia, że trudno dać jednoznaczną ocenę pędu młodych ludzi do materialnego sukcesu. Z pewnością jest to pozytywny objaw przełamywania apatii, chęci uchwycenia przyszłości we własne ręce. Względna łatwość (w PRL-u nic nie przychodzi łatwo), z jaką powołuje się małe prywatne organizmy gospodarcze sprawia, iż coraz więcej młodych ludzi widzi w indywidualnej inicjatywie ekonomicznej jedyną możliwość społecznego i materialnego awansu, jakiś skrawek wolności. Dla wielu jest to bowiem również sposób na omińnięcie systemu, na wyrwanie się z typowych w państwowych firmach układów i zależności. Tu własna operatywność decyduje prawie o wszystkim. Nie ma niedouczonej szefów z nomenklatury, nie pracuje się w biurze, absurdalnie przekładając z biurka do szaf pliki papierzysek, nie wstaje o 5 rano, żeby zdążyć na pierwszą zmianę do rujnującej zdrowie fabryki. Emancypacja gospodarcza sprawia, że młodzież staje się bardziej samodzielna, coraz mniej oczekuje od wciskającego się we wszystkie sfery życia, nadopiekuńczego, ale i bardzo niezdarnego państwa. Sam sobie sterem... Tyle po stronie plusów.

Jednak — jak w każdej mało klarownej sytuacji — także w przypadku przedsiębiorczości młodych jest jeszcze ta druga, czarniejsza strona medalu. Młodzież, wkraczająca w prywatną inicjatywę, siłą rzeczy wspiera istniejący w Polsce system, może nie ten wielki, ogólnokrajowy, lecz ten lokalny, pełen układów, korupcji, zależności, który skutecznie opiera się każdemu reformowaniu i zmianom. Nie chodzi tutaj tylko o skromny potencjał ekonomiczny nowych firm, znikomą drobinę w porównaniu do państwowego monopolu, lecz o utrwalanie i wspieranie starych nawyków, bez których i nadzwyczajna zaradność nie pomoże. W świecie prywatnej inicjatywy prawie wszystkim rządzi łapówka. Zaczyna się od samego początku. Kopertę z pieniędzmi bierze notariusz za szybsze zarejestrowanie spółki, bo czas to szmal, a wiadomo, że kilkumiesięczne wyczekiwanie w kolejce chętnych opłacić

się nie może. Łapówki trafiają do rąk urzędników, których podpis i pieczętka konieczne są do załatwienia wielu spraw, od zgody na lokalizację sklepu po dostęp do materiałów czy możliwości wykonania jakiejś usługi. Łapówki otrzymują pracownicy urzędów skarbowych, którzy doskonale wiedzą, że prywatnie musi łamać istniejące przepisy podatkowe, bo inaczej zyski z jego działalności nie przekroczą dobrej państwowej pensji. Z łapówek żyje wielu celników przysmykających oczy na szmugiel. „Kopertówką” nie pogardzi kontroler sprawdzający stan przestrzegania przepisów sanitarnych. I w pewnym momencie koło się zamyka, Okazuje się, że jedni i drudzy już nie bardzo potrafią bez siebie żyć.

Ten moralny i prawny rozgardiasz akceptowany jest prawie przez wszystkich, trochę na zasadzie mentalności Kalego z „W pustyni i w puszczy”. Łapówki potępia się — często ze względu na akurat obowiązującą wysokość datku — lecz jednocześnie daje, no bo jak inaczej coś załatwić? Korupcja stała się zjawiskiem aż tak dalece normalnym, że uczciwość częstokroć budzi niezrozumienie — wstyd się do niej przyznać. To część całego systemu, w którym porusza się prywatna inicjatywa. Aż strach pomyśleć, czy ludzie nauczeni funkcjonowania w tak zdeformowanych warunkach będą kiedykolwiek potrafili żyć inaczej.

Prywatna inicjatywa, to także ubytki społeczne. Sklepiki, butiki, spółki z ograniczoną odpowiedzialnością nie zrefundują strat wynikłych z odejścia tysięcy młodych ludzi od uprawiania wyuczonego zawodu. Starsi inżynierowie w wielu instytucjach mawiają, że ich firmy wymrą w sposób naturalny; nikt za tak lichy pieniądze nie będzie chciał tam pracować, nikt nowy do pracy nie przychodzi. Lecz z drugiej strony nie mogą zagwarantować, że młody człowiek pracujący na państwowej posiadzie we właściwy sposób wykorzysta swoje umiejętności. Tak czy siak znaczny potencjał zgromadzony w młodym pokoleniu może przepaść bezpowrotnie.

Własny biznes, to także ucieczka w prywatność. To — bywa — obojętność na rzeczy o większym znaczeniu, często dobrowolne skazanie się na milczenie i nieobecność. Prywatnie można się uskarżać, lecz generalnie lepiej się nie wychylać. Podnoszenie głowy to zadra w życiorysie, a i z mniejszych powodów wielu indywidualnym przedsięwzięciom ekonomicznym ukręcono głowę.

Jakże więc nieśmiało — w porównaniu z ogólnopolskim już zjawiskiem gospodarczego zaangażowania młodzieży —

wygląda fenomenem „nowej gdańskiej przedsiębiorczości”. Chodzi o powstałe po 1981 roku firmy, przede wszystkim spółdzielnie i spółki, w znacznej części zakładane, prowadzone i zatrudniające młodych ludzi, którzy swój rodowód czerpią z okresu „Solidarności”. To przedsiębiorstwa nastawione nie tylko na ekonomiczną niezależność, lecz pragnące wypracować nowy wzór prywatnego gospodarowania, przy pamiętaniu o sprawach społecznych, jednoznacznym wspieraniu społecznych inicjatyw. Model gdański — jak na razie — zamyka się w skali jednego regionu i czas pokaże, czy będzie to model do zaakceptowania przez innych. Jeżeli tak się stanie, wówczas przedsiębiorczość młodych ludzi nabierze całkiem nowego wymiaru.

Maj 1988

HOMKI

Jeżeli historia uczy nas czegoś istotnego, to pokazując daremność polityki nastawionej wyłącznie na zniszczenie rządów, klas panujących, ekonomicznych systemów.

Theodor Roszak

Pierwszomajowe niezależne demonstracje w Trójmieście w 1985 roku miały przebieg inny niż zwykle. Liczne przybyłe grupy młodych ludzi po raz pierwszy próbowały zorganizować bezbronny tłum w rozsądnie broniącą się zbiorowość, nie dopuścili do rozproszenia manifestantów przez pały ZOMO. Walki były do tego stopnia zacięte, iż właśnie na tej podstawie Lech Wałęsa wystosował do władz PRL-u raport diagnozujący stan nastrojów społecznych. Bojówki tworzyła ubrana na czarno młodzież, z twarzami zasłoniętymi niebieskimi okularami, dominowały fantazyjne, cudaczne fryzury w nienaturalnych kolorach. Nad tłumem powiewały, prócz emblematów „Solidarności”, czarne transparenty, sygnowane literami RSA — Ruch Społeczeństwa Alternatywnego.

Właśnie od tamtego 1 maja zrobiło się wokół Homków (tak nazywają samych siebie członkowie — a raczej uczestnicy — RSA) głośno. Oczywiście istnieli i wcześniej, wydali kilkadziesiąt numerów własnego pisma pod tytułem *Homek*, gdzie oprócz nacisku na kształtowanie świadomości opartej na neanarchistycznych przesłankach i recept na efektywne — ich zdaniem — najbliższe działania, pełno było artykułów atakujących powszechnie szanowane osoby i instytucje. Być może to właśnie sprawiło, iż Homków potraktowano w najlepszym razie jak bandę nawiedzonych wyrostków. Tymczasowo (?) ów pierwszy maja spowodował, iż z jednej skrajności popadnięto w drugą — upatrując w nich nowe

zjawisko na polskiej scenie politycznej. Niewiele osób zdawało się dostrzegać, iż pierwsze symptomy zbliżania się niektórych grup polskiej młodzieży do anarchizmu można było odkryć już kilka lat wcześniej, u schyłku minionej dekady. A wszystko zaczęło się od przeszczepienia na rodzimy grunt tradycji kontrkultury lat sześćdziesiątych oraz młodzieżowych subkultur tamtego i późniejszego okresu, początkowo głównie poprzez ich zewnętrzne przejawy, a więc muzykę i zawarte w niej uniwersalne dla wszystkich młodych treści, następnie zaś przez ideologię.

Zamknięty świat

Gdy w końcu lat siedemdziesiątych pojawił się w Polsce punk i wraz z nim apologia anarchistycznego wyzwolenia jednostki ludzkiej, prawdopodobnie nikt nie przypuszczał, iż szokujące stroje i szalony rytm piosenek staną się czymś więcej niż przejściową modą. W postępującym rozkładzie gierkowskiej „drugiej Polski” sama artystyczna prowokacja plus kilka ogólnikowych haseł, odwołujących się do totalnej wolności i powszechnej równości, były czymś niezwykle, godnym uwagi. Podobnej propozycji nie podawała — z oczywistych zresztą względów — ani opozycja, ani Kościół. Obie te instytucje bazowały na autorytetach i historii, zaś pewnej, wcale niemałej grupie młodych było potrzebne coś zupełnie innego. Rzecz jasna, nie wchodziły w ogóle w grę jakiegokolwiek oficjalne organizacje młodzieżowe. Te zostały odrzucone spontanicznie i *a priori*. Nie mogli zaakceptować systemu i oficjalnie serwowanego wzorca osobowościowego, gdyż krępowano to ich mit o wolności. Nie mieli ambicji tworzenia nowej ideologii, ale także nie chcieli żyć przeszłością lub codzienną szarzyzną. Nie budowali związków, organizacji, lecz grupy towarzyskie, często skupione wokół jakiegoś zespołu muzycznego, wyznające szeroko pojęty anarchizm, a równocześnie — programowo apolityczne.

Rok 1980 i niebywała wprost aktywność młodzieży właśnie — młodych robotników, studentów — czas legalnego działania „Solidarności”, wybiły społeczeństwo z letargu, zmusiły ludzi — nawet kilkunastoletnich — do głębszej refleksji nad losami kraju i ich samych. Co wcale nie przeszkadzało, że część uczącej się podówczas młodzieży robiła to w ramach subkulturowych konwencji, programowo „na luzie”.

Zarazem moda na subkultury i kontestację przerodziła się w trwałe elementy polskiej rzeczywistości. Jednak dla ówczesnych nastolatków nie nadszedł jeszcze czas działania, pokazania się na ogólnokrajowym forum. Dopiero lata liczone od 13 grudnia 1981 roku stały się także ich historią. Dorosli na tyle, by zrobić coś na własną rękę.

Czy można określić tych młodych ludzi, członków Ruchu Społeczeństwa Alternatywnego, mianem „dzieci Solidarności”? I tak, i nie. Tak, gdyż właśnie te szesnaście miesięcy rozbudziło w nich zainteresowanie polityką, chęć uczestniczenia w zmianach. Dziś w swoich deklaracjach RSA powołuje się na uchwały I Krajowego Zjazdu Delegatów, związkowe koncepcje samorządnej Rzeczypospolitej, przyjmując program jako drogę do realizacji części własnych celów.

Obiektywnie jednak okres pomiędzy podpisaniem Porozumień a 13 grudnia bardzo niewiele zmienił w ich życiu. W dalszym ciągu chodzili do autorytarnej, nielubianej szkoły, a w zrewolucjonizowanym społeczeństwie nie było miejsca dla deklarowanej przez kontestującą młodzież odrębności. Choć zmieniły się tematy rozmów przy rodzinnych stołach, to jednak akceptowane przez większość zwyczaje i zachowania społeczne pozostały takie same. Widok długich, kolorowych włosów, nagiej czaszki ozdobionej jedynie indiańskim grzebieniem, kolczyka wbitego w ucho młodego chłopaka, tak samo szokował i powodował podobne reakcje u nauczyciela — członka „Solidarności”, co u dyrektora szkoły — członka egzekutywy partyjnej. Dla pierwszego było to zwykłe, nikomu niepotrzebne marnowanie czasu i głupawa poza, dla drugiego — import „niebezpiecznych” zachodnich wzorców. Dla członków subkultur zmieniła się tylko skala represyjności systemu. Podczas, gdy urządzony w Toruniu w 1981 roku festiwal muzyki alternatywnej był prawdziwym świętem kontestującej młodzieży, ta sama impreza, zorganizowana w roku następnym bardziej przypominała regularne polowanie milicji na punków niż muzyczne występy. Również przed Sierpniem za dziwny wygląd można było zdrowo oberwać. Prócz tego dzisiejsi uczestnicy RSA, czy grono ich młodych sympatyków lub podobnie myślących rówieśników, z czysto biologicznych względów nie dorosło w tamtym czasie do wagi wydarzeń. Mieli zaledwie po kilkanaście lat i chyba nie bardzo rozumieli lub może nie chcieli zrozumieć co naprawdę w Polsce się dzieje. Ich zamknięty świat pozostał nietknięty, a sami mieli

za mało sił, by go skutecznie reformować. W Polsce „Solidarności” było im po prostu za ciasno.

Nowy kaganiec

Jeśli dla ówczesnych trzydziestolatków przeżyciem pokoleniowym były sierpniowe strajki 1980 roku, to dla Homków i ich generacji stał się nimi stan wojenny. Z pewnością odczuli bardzo boleśnie zniszczenie świeżych nadziei rodziców i starszego rodzeństwa, lecz ich własne doznania były nieco innego kalibru. 13 grudnia w przerażający sposób rozmnożył poprzednio istniejące restrykcje. Doszła godzina milicyjna, szkoły powróciły do modelu instytucji indoktrynującej i pętającej zbuntowaną świadomość, za niecodzienne uczesanie można było wylądować w areszcie i zaliczyć kilka pał. Nie należą do rzadkości przypadki, iż członkowie młodzieżowych subkultur choć raz w miesiącu spędzali 48 godzin w celi — wynik niemalże niedościgniony dla większości przedsierpniowych opozycjonistów. Tak więc ci, którzy po Sierpniu zaczęli dostrzegać dziejącą się wokół nich politykę, sięgnęli po powielacze, inni — robocie politycznej programowo niechętni — w dalszym ciągu trzymali się gitary.

Dostrzeżenie polityki nie musi wcale oznaczać potraktowania jej serio. Homki mówią o sobie, że bawią się w politykę i jest to najprawdziwsza prawda, gdyż ich konwencja i styl bycia wymagają traktowania najpoważniejszych rzeczy z przymrużeniem oka — „olewajaco” i „na luzie”. Choć RSA często powołuje się na racjonalizm, rzetelną analizę sytuacji, gdzie wszystkie emocje są zbędne, to jednak w rozmowach z uczestnikami ruchu odnosi się wręcz przeciwne wrażenie. Twierdzą oni, iż nie są od nawracania ludzi, lecz często właśnie coś takiego sugerują ich wypowiedzi. Dzieli świat dwubarwnie: albo coś jest czarne, albo białe — nie ma miejsca dla półcieni. Po jednej stronie barykady stawiają każdą władzę, nawet taką, która pochodzi z wolnego wyboru, po drugiej — społeczeństwo, świadomą, lecz szarą masę, bez elit i przywódców. Elita, autorytet — nawet opozycyjnie nastawiony — to też władza, tyle że nad ludzkimi duszami, a w ich mniemaniu każdy powinien myśleć i odpowiadać wyłącznie za siebie.

Siebie też nie uważają za elitę kontestacji. W *Homku* każdy artykuł jest głosem indywidualnego człowieka i tylko

on winien bronić przedstawianych tam sądów — ich gazeta nie jest teoretycznie czasopismem o sprecyzowanym programie, lecz wielogłosem, wolną trybuną otwartą dla najróżniejszych wypowiedzi. Z tego tytułu dochodzi niekiedy do zabawnych sytuacji. Można więc spotkać się z takimi sugestiami członków, a przede wszystkim sympatyków ruchu, iż ten, który pisuje w *Homku* nie jest prawdziwym Homkiem — nawet laik musi dostrzec opiniotwórczą rolę jakiegokolwiek gazety, zaś serwowanie na piśmie swoich własnych poglądów nosi znamię wychowania, zaprzecza więc alternatywizmowi.

Dziwne, lecz postawy związane z „gitarowym” protestem były w początkowym okresie jakby akceptowane przez władze. Ktoś, znający młodzież tylko z opowiadań lub raportów ZSMP, musiał uwierzyć, iż właśnie wywodząca się z subkultur muzyka uspokoi wzburzone umysły. W środkach masowego przekazu aż zaroilo się od wszelkiego rodzaju zespołów, zresztą bardzo szybko ustawionych przez kontestującą młodzież w tym samym szeregu co Dziennik Telewizyjny. Jednak koniunktura na rock nie osłabła. Jak grzyby po deszczu wyrastały nowe zespoły — które — jeżeli tylko grały autentycznie — zyskiwały od razu wierną publiczność. Rzecz ciekawa, duża część owych kapeli prezentowała bardzo skromne umiejętności muzyczne, lecz mimo to była słuchana przez fanów, częstokroć chętniej niż zachodni profesjonalści. Śpiewali bowiem tym samym językiem, śpiewali o życiu bez perspektyw, o niechęci do wojska i wojny, do wszelkich nakazów, narzucanych przez znienawidzony system, krępujący indywidualność oraz uznanych norm sterujących społeczeństwem. Śpiewali niemal tak samo, jak przed laty, lecz sytuacja nadawała prostym i szczerym tekstom zupełnie inny wydźwięk.

Dla nich równie niezrozumiały i obcy jest tradycyjnie skrojony garnitur, zabijanie się dla kilku groszy kosztem zdrowia, nudna praca, restryktywna szkoła, pokazywanie „zajączków” podczas mszy za Ojczyznę, określanych ironicznym mianem „jasełek”. Stąd też propozycja RSA, by organizować skutecznie bronione manifestacje uliczne, trafiła na podatny grunt — już samo hasło dawało młodzieży swoisty rodzaj równouprawnienia, nie tylko wątpliwy przywilej zbierania cięgow, za które nie można odpłacić. Oryginalne teksty piosenek prawdopodobnie nigdy nie trafią do masowego rozpowszechniania. W zdecydowanej większości są one „anty”, dosadnie wyrażają stosunek młodych do oficjalnej

peerelowskiej rzeczywistości, przy okazji szermują pojęciami idealnej wolności, równości, braterstwa. Trudno więc dziwić się, że na takim podglebiu znalazło się miejsce dla politycznej alternatywy tak wobec panującego systemu, jak i dominujących w opozycji kierunków. Alternatywa ta — mimo negacji i totalnego protestu, który sam w sobie dla młodych jest już wartością — nie nakazuje wszystkim zgodnego z własnym światopoglądem uniformizmu, a wręcz woła o pluralizm. Homki i mniej upolitycznione odłamy młodzieży nigdy nie zaakceptują państwowego kolektywizmu, gdyż niszczy on indywidualizm, zabrania żyć na swój własny sposób. Lecz jeśli ktoś ma własne przekonania całkowicie odrębne od anarchizmu i nie narzuca ich innym, „jest w porządku”. Przy całej ostrości artykułów, publikowanych w pismach z kręgu RSA, przy mnogości dosadnych określeń, a nawet niewybrednych pomówień, zadziwia tolerancja, szacunek dla obcych poglądów i autentyzm postulatu „zabrania się zabraniać”.

Wolność ponad wszystko?

Właśnie o ideologię mają do RSA najwięcej pretensji członkowie innych struktur opozycyjnych. Dla jednych jest ona niespójna, dziecinna, dla drugich zbyt prymitywna, pozbawiona teoretycznego podkładu i głębszej refleksji, a są i tacy, którzy widzą w RSA fanatycznych, krwiożerczych lewaków spod znaku Frakcji Armii Czerwonej i podobnych, zbrodniczych organizacji.

Prawdą jest, że Homki uznają terror, że twierdzą nawet, iż popierają akcje Irlandczyków z IRA czy Basków z ETA. To jedna z wielu sprzeczności wewnętrznych ich światopoglądu, który przede wszystkim zakłada metody aktywnej, lecz pokojowej walki. RSA mówi o terrorze — co samo w sobie może już być niepokojące — jednak zakreśla tak sztywne ramy jego ewentualnego stosowania, że słowo „terror” lepiej zmienić na wyraz „samoobrona”. Bronionej przez sprawne bojówki demonstracji nie wolno zaliczać do akcji terrorystycznych, a i od pochwał IRA do własnoręcznego podkładania bomb jeszcze daleko. Działania z wkalkulowaną śmiercią przeciwnika mogą być jedynie odpowiedzią na identyczne, o masowej skali, posunięcia władzy. Czy do czegoś takiego dojdzie — nie wiadomo, lecz istnieje w dzisiejszej Polsce swego rodzaju niepisana umowa, że władza bije i wsadza do

więzień, lecz w zasadzie nie zabija, zaś społeczeństwo odmawia posłuszeństwa, organizuje się w niezależne związki i również nie strzela. Reguły tej gry obowiązują wszystkich, także RSA.

Czym RSA zdobywa sobie największą popularność wśród młodzieży, a także w grupie ludzi zdecydowanie starszych? Na pierwszym planie niewątpliwie znajduje się totalna negacja służby wojskowej. Homki twierdzą, iż celem na dziś jest zastąpienie służby wojskowej konkretnie ustaloną pracą — podobnie jak w większości krajów Europy, w perspektywie zaś pełne jej zniesienie. Wojsko służy do pozbawienia ludzi przyrodzonej im indywidualności, uczy drylu i posłuszeństwa, lansując przy okazji model człowieka, który wprawdzie popełnia wykroczenia, lecz nie daje się złapać przelożonym. Z drugiej strony wszystkie organizacje militarne i paramilitarne poprzez wychowywanie swoich członków w duchu swoicie pojętej chytrności, kamuflowanej brutalności, kształtują osobowości przestępcze, nieprzydatne społeczeństwu oszustów i cwaniaków. Taka interpretacja służby wojskowej daleko wykracza poza koncepcje, wyznawane przez inne polskie niezależne ruchy pacyfistyczne, odrzucające tylko przysięgę na wierność koniunkturalnym układowi politycznym i obcemu mocarstwu.

Następna sprawa kryje się pod pojęciem „akcji bieżącej”. Chodzi tutaj przede wszystkim o demonstracje uliczne, oczywiście wcześniej przygotowane i odpowiadające na presję sił porządkowych zorganizowaną samoobroną. Najlepszym przykładem był właśnie ów 1 maja 1985 roku. Jednak do „akcji bieżącej” wlicza się nie tylko uliczne — rocznicowe lub rewindykacyjne — protesty. Manifestacje winny być organizowane jak najczęściej, gdyż są — poza strajkami — jedynym sposobem na zmobilizowanie społeczeństwa, ukazanie jego siły. Zdaniem RSA istnieją takie daty i dni — 1 maja, 22 lipca, wybory — kiedy mocniejsza reakcja władz, strzelanie do tłumu, staje się automatycznie kompromitującą klęską polityczną państwa.

Do „akcji bieżącej” trzeba zaliczyć również inne spektakularne formy oporu, na przykład akcje ulotkowe. RSA doskonale orientuje się, gdzie szukać zwolenników, więc ulotkowanie — podobnie jak manifestacje — jest starannie przygotowane. W 1985 i 1986 roku ulotki o ironicznej treści: „Głosuj za ochotniczą służbą wojskową” posypały się na jarocińskim festiwalu — imprezie rockowej, będącej istnym

magnezem, przyciągającym członków młodzieżowych subkultur z całego kraju. Akcja znakomicie komponowała się z antywojennymi i antywojskowymi tekstami śpiewanych tam piosenek. Trudno zgodzić się z niektórymi notatkami, zamieszczonymi w prasie niezależnej, iż działania RSA nie spotkały się z mocniejszym odzewem zgromadzonej w Jarocinie, zbuntowanej przeciwko wszystkiemu, dwudziestotysięcznej widowni. Homki znakomicie wiedzą, jak wpłynąć na kontestującą młodzież, gdyż po prostu są jej częścią. Wiele cech w zaakceptowanych przez obie strony światopoglądach jest takich samych, a w najgorszym wypadku bardzo podobnych, RSA przemawia więc nie tylko do potencjalnej klienteli — rówieśników, lecz głównie do kolegów, przyjaciół, dalszych lub bliższych znajomych, zaś forma rozmowy tylko uatrakcyjnia głoszone treści. Wielu starszych wiekiem działaczy opozycji nie dostrzega, iż uczestników polskich ruchów subkulturowych nie pozyska się „dla sprawy” patriotycznymi pieśniami, nabożnymi hasłami i cytatami z dzieł narodowych wieszczów. Z tego powodu właśnie wrocławskie alternatywne pismo młodych *Zero* nie rozpoczyna swoich numerów od powielania kolejnego komunikatu TKK, lecz daje recenzję koncertu autentycznych idoli młodzieżowych — „Butrapenu”, „Izraela”, „Moskwy”. Są to bowiem sprawy wspólne zarówno dla tych, którzy sprzeciwiają się autentycznemu życiu poprzez muzykę i gitarę, jak i dla obsługi powielaczy drukujących *Homka*.

Jak zatem określić światopogląd działaczy i zwolenników RSA? Jest to z pewnością daleko posunięty anarchizm, lecz bez odwoływania się do początków, doktryn Kropotkina, Bakunina, Sorela (choć jego anarchosyndykalistyczną koncepcję związków zawodowych *Homki* traktują niemal jak własną, dając przy tym mniej lub bardziej adekwatne do pierwowzoru przykłady TKZ-tów, na przykład Huty Lenina). Ojcowie anarchizmu tworzyli bowiem ideologię, a każda ideologia jest organicznie sprzeczna z wolnością, indywidualizmem, alternatywą wobec obowiązujących norm, gdyż wcześniej czy później człowiek prawdziwie wyznający jakąś ideologię stanie się jej niewolnikiem, utraci zdolność samodzielnego myślenia i działania. Jednak z myśli anarchistycznej przejęta została całkowita negacja państwa jako organizacji przymusowej i ograniczonej terytorialnie, a także negacja władzy, która nigdy nie może być dobra. RSA postrzega doskonale społeczeństwo w formie federacji auto-

nomicznych w pełni jednostek, cieszących się równymi swobodami i przywilejami, z możliwością identycznego startu życiowego.

Głoszony przez RSA światopogląd w wielu istotnych kwestiach pokrywa się z ideologią Nowej Lewicy i kontestacji schyłku lat sześćdziesiątych. Oba nurty zakładają nie tylko konieczność reform zastanych systemów politycznych i społecznych, lecz idą znacznie dalej, podkreślając niezbędność wyzwolenia jednostki ludzkiej, przełamania alienacji wobec społeczeństwa, produkcji, sztuki, itp. Ale droga do osiągnięcia celów jest krańcowo różna. Gdy Nowa Lewica widziała realizację swoich postulatów w rewolucji, RSA — mimo posądzeń o terrorystyczne ciągotki — zakłada ewolucjonizm, powolne i uparte budowanie niezależnych, alternatywnych instytucji i świadomości, obok państwowej oficjalności i centralnych organów opozycji. Stąd też pochwała Homków dla różnorodnego podziemnego ruchu wydawniczego i mnogości struktur, stąd krytyka TKK, Wałęsy, dominującej w wielu środowiskach roli Kościoła.

Negowanie roli powszechnie uznanych autorytetów nie wynika wyłącznie z przyjętej przez RSA zasady obalania autorytetów i elit. Homki są bystrzymi obserwatorami, potrafią znakomicie wyczuć wahania, napiętnować niefortunne decyzje, które — w ich przekonaniu — całkowicie przekreślają dotychczasowy dorobek ludzi i instytucji. Liczy się tylko dzisiejszy dzień i klarownie opisana najbliższa przyszłość, efektywne pomysły na skuteczne działanie.

Ruch Społeczeństwa Alternatywnego wywodzi się z Trójmiasta. Sami o sobie mówią, że zaczęli działać jeszcze przed Sierpniem, lecz bez konkretnego zabarwienia politycznego. Dziś sympatyków RSA można spotkać w całej Polsce. Z reguły są to młodzi lub bardzo młodzi ludzie, pochodzący ze środowisk robotniczych, uczący się w szkołach zawodowych. Takie określenie jest bardzo niecisłe, gdyż trudno w precyzyjny sposób zdefiniować członka lub sympatyka ruchu. Nie jest to bowiem zwarta organizacja, lecz luźna grupa podobnie myślących ludzi. Homkiem może być każdy z grona kontestującej młodzieży, sympatykiem każdy członek subkultur, negujący nawet zasadność zajmowania się polityką. Najliczniejsi są w Trójmieście, Wrocławiu, a także — rzecz mocno zastanawiająca — w małych miasteczkach, gdzie subkultury są najsilniejsze.

Razem czy osobno?

Prócz wspólnych poglądów i pochodzenia społecznego łączy ich jeszcze jedna sprawa. Otóż nikt nie znalazł i chyba nie próbował znaleźć sposobu na sensowne porozumienie się z Homkami. Władza ich nie lubi, od Kościoła odeszli sami i trudno przypuszczać, by tradycyjne już formy aktywności duchownych wśród młodzieży (na przykład grupy Oaz) zdobyły sobie uznanie RSA, opozycja zaś zabiera się do ruchu jak do przysłowiowego jeża. Wielokroć pojawiały się plotki, że jest to agenturalna robota SB, przerywano kanały kolportażu *Homka*, padały obelżywe — w mniemaniu ich autorów — opinie, że RSA to Żydzi, lub inne tajemnicze i podejrzane siły. W poważnych pismach wystawiano RSA surowe cenzury, jakoby ci młodzi ludzie pragnęli zastąpić jeden totalitaryzm drugim, w bardzo podobnym wydaniu. Jeszcze inni starają się Homków „wychowywać”, stosując wobec nich ograne chwyt, przemowy na patriotyczno-religijną nutę.

Nawet zbliżone wiekiem generacje nie potrafią zrozumieć, iż mogą istnieć w Polsce ludzie wyżej stawiający anarchistyczną frazeologię od oświadczeń TKK, bardziej ceniący punkowe piosenki niż wiersze Miłosza i Herberta. A oni właśnie tacy są i z takimi postawami znacznej części polskiej młodzieży trzeba się po prostu pogodzić. Więcej, jest to młodzież najczęściej bardzo wartościowa, prawdziwie zaangażowana. Czy warto niesłusznymi oskarżeniami lub belferskim moralizatorstwem przerywać z nimi kontakt? Być może rażą niekonwencjonalne ubiory, z pewnością razi zdyskredytowany język lewicowych pojęć, uproszczony styl myślenia. Lecz Homki nikomu nie wadzą, a jeśli w ostrości swojej krytyki lub w deklaracjach bez realnego pokrycia posunęli się czasem za daleko, od tego są ci z większym doświadczeniem, by im to spokojnie i rzeczowo wyjaśnić. Ale i zrozumieć, gdy tłumaczenia nie przyjmą do wiadomości. Bunt jest przyrodzoną cechą młodości, trudno więc kierować tak spontanicznymi reakcjami, lepiej zaś spokojnie obserwować, co się też z tego wszystkiego wykluje.

Co dalej?

Czym będzie RSA za kilka lat? Trudno o jednoznaczną odpowiedź na to pytanie. Skutecznie przeprowadzona samo-

obrona pierwszomajowych demonstracji przyczyniła się do znacznej mitologizacji siły i popularności ruchu. W następnym, 1986 roku, ulice Trójmiasta wyglądały już zwyczajnie — Homki nie miały sił lub zapału, by ponownie zorganizować walczące z ZOMO bojówki. Lecz podczas festiwalu jarocińskiego pojawiły się sygnowane godłem ruchu ulotki. Tak więc z ubiegłorocznej operatywności coś zostało.

Trudno też przewidzieć skalę i kierunki akcji represywnej ze strony władz. Z pewnością powielacze drukujące *Homka* będą podobnie tropione jak wszystkie inne elementy poligrafii niezależnej. Co jednak zrobić z nastrojami kontestacji? Sposoby są różne. Można złapać animatorów ruchu i zwyczajnie wytoczyć im proces. Można wyrzucać ze szkół i uczelni, za kolorowe włosy wsadzać do więzień. Można też próbować pacyfikować niezależny styl myślenia od wewnątrz. Na jarocińskim festiwalu pojawiła się nieformalna grupa używająca nazwy „Mandragora”. Jest to formacja jak na razie nieliczna i bez większych wpływów, za to znakomicie operująca metodami socjotechnicznymi, służącymi na przykład rozbijaniu zebrań czy dyskusji. Ideologia „Mandragory” zawiera się w stwierdzeniu, że państwo i rząd są dobre, tylko młodzież — nieświadomie i bezmyślnie kopiująca zepsute zachodnie wzorce — zła. Prócz odwoływania się do pozornych dokonań i obiecująco-straszących deklaracji władzy, „Mandragora” łączy w sobie elementy ideologii nacjonalistycznej, zachwytu dla filozofii azjatyckiego Wschodu i antysemityzmu. Kto zna polskie realia i choćby otarł się o światopogląd kontestującej młodzieży przyzna, iż ten pozorny eklektyzm jest sprytnie pomyślaną pułapką. Dla jednych jest coś z myśli narodowej, dla kontestujących pozostanie Wschód, jeszcze innych być może przyciągnie nawiązanie do fobii antyżydowskich. Całość zaś znajduje się w znakomitych rękach: twórcami „Mandragory” są członkowie filialnych do PZPR organizacji młodzieżowych, którzy poprzez rezygnację z czerwonych krawatów chcą wyplenić nieprawomyślność. W tym przypadku Homki po raz kolejny stają się naturalnymi sojusznikami członków młodzieżowych subkultur. Lansowany alternatywizm, pochwała dla odrębności i krańcowo różnych recept na życie są najskuteczniejszym antidotum na takie działania.

Przyjmijmy jednak, że za Homkami nie zatrzasną się bramy więzień i — co jest niemal pewne — nie złapie ich na haczyk okraszona kung-fu, narodowo-rasistowska, obywatelsko-

posłuszna ideologia. Co z nimi będzie w takim przypadku? Część porzuci głoszony dziś alternatywizm, odejdzie w naturalny sposób od polskiego wydania neoanarchizmu, mówiąc językiem starszych „wydorośleje”, odstawi na bok buntowniczą frazeologię. Również ci, którzy pozostaną przy obecnych poglądach RSA, nie będą reprezentatywni dla ruchu. Konceptje Homków są bowiem immanentną cechą młodości, zaś akceptujący je ludzie starsi siłą rzeczy muszą się znaleźć poza nawiasem, zasilić pokolenie „zgreków”. Pewne jest natomiast, iż RSA jest określoną szkołą odpowiedzialności za losy własne i całego kraju, że jest jedną z form niezależnego — w pełnym tego słowa znaczeniu — myślenia. Być może, Homki zostaną liczącym się fragmentem tej generacji, w której w przyszłych negocjacjach z władzą nie wystarczy podpisanie umów, popartych przez rząd wątpliwej wartości słowem, lecz domagać się będzie realnych i weryfikujących w całej praktyce społecznej, politycznej i ekonomicznej ustępstw.

Ale już dziś przyczynili się do czegoś bardzo ważnego. Powstanie RSA, ich śmiałe i agresywne deklaracje są kolejnym krokiem na drodze do pluralizacji polskiego społeczeństwa. Oceniając Homków trzeba pamiętać, iż w znacznej mierze czerpali oni swe wzorce z ideologii kontestującej młodzieży Zachodu lat sześćdziesiątych oraz dzisiejszych subkultur. Jeśli więc traktujemy tamte kraje i społeczeństwa jako coś bardziej zbliżonego do normalności niż wschodni kolektywizm, musimy zauważyć, iż tam właśnie narodził się neoanarchizm i nikomu to nie zaszkodziło, a może ociupinkę pomogło. To i tak dużo w naszym zwariowanym świecie.

Sierpień 1986

MŁODY WROCŁAW

Wrocław jest inny. Wrocławowi przypisywane są cechy niemal metafizyczne. Starsi mieszkańcy miasta twierdzą, że to dlatego iż każdy z nich przyjechał tu niegdyś z innego krańca Rzeczypospolitej, że to efekt piorunującej mieszanki lwowsko-wileńsko-warszawskiej.

Choć na prowincji, nigdy prowincją nie był; Wrocław miał zawsze dobry teatr, niezłe gazety i lokalne czasopisma o ogólnokrajowej sławie. Teraz to wszystko jakby przygasło, lecz miasto dorobiło się nowej jakości — stało się, obok Gdańska, symbolem niezależnego społeczeństwa. Symbolem bardzo żywym, bowiem we Wrocławiu istnieje niesformalizowany, lecz autentyczny ruch młodzieżowy, wyjęty spod państwowego patronatu. Niejednolity, nie zawsze zgodny, lecz większy, liczniejszy niż w innych miastach Polski.

Zuzanna (uczestniczka WiP-u, członkini PPS): „Myślę, że polska młodzież jest bardziej europejska, niż kiedykolwiek wcześniej. Być może wynika to z szerokiego zasięgu subkultur, ze swoistej przynależności do międzynarodowej wspólnoty rówieśników. Dzięki temu następuje emancypacja młodzieży względem starszych generacji. U nas tak się złożyło, że emancypacja poszła jakby kroczyk dalej — Wrocławem mniej więcej od dwóch lat władają młodziki. Do głosu doszło nowe pokolenie, które nie uczestniczyło w sierpniowych przemianach. Lecz prawdopodobnie nigdy by się tak nie stało, gdyby nie rozsądek liderów wrocławskiej „Solidarności”. Zwyczajnie dostrzegli, że prócz nich ktoś jeszcze chce coś zrobić i ma coś do powiedzenia”.

Wrocławska ulica różni się od innych polskich ulic.

Dewastacja wielu staromiejskich zaułków jest wielokrotnie większa, niż poziom zrujnowania sypiących się kamieniczek krakowskich, w obronie których podniósł się słuszny krzyk na cały kraj. Chyba dba się tylko o te domy, które sportretowano na pocztówkach — już następny budynek przeżarty jest pleśnią i zgnilizną. Gdy idziesz uliczkami wrocławskiej Starówki, nie boisz się spadających dachówek, lecz bardziej przeraża cię wizja utonięcia w brudnej błotno-ceglanej mazi.

A jednak wrocławska ulica jest barwna. Może dlatego, że młodzież lubi przemawiać na murach. Więc obok drzwi pustawego sklepu wymalowany rysunek z hasłem: „Uwaga sklep — grozi konformizmem!”. Przy następnym to samo. Przy kolejnym również. Rysunki i napisy są tego samego kroju; ścienni pacykarze-artyści posługiwali się szablonem.

Albo inny obrazek. Angielskie słowo *free*, znak dodawania, a za nim rysunek sympatycznego domku z kominem, znak równości i rozwiązanie działania — słowo *freedom*. Czy kolejny szablon: długonoga panienka spleciona w erotycznym uścisku z równie długonogim ptakiem. I obowiązkowy dopisek: „Wschód uczy spokojnej kontemplacji absurdu”. Zobaczyć też można wieloręką postać, dzierżącą sierp i młot, pokazującą „zajączka”, ściskającą krzyż obok butelki z wódką. Tak wygląda obrazek zatytułowany *Red Culture*. Inne rysunki są nie mniej pomysłowe, narzucają przechodniom różne skojarzenia, zmuszają do głębszej refleksji.

We Wrocławiu są takie miejsca, gdzie pochodzące od szablonów rysunki tworzą całe galerie. Uliczna plastyka żyje bardzo długo. Po co zamalowywać szablony, kiedy wiadomo, że na latach szarej farby natychmiast pojawią się nowe, albo odręczny rysunek krasnoludka czy zakreślona kółkiem litera „A” z kwiatkiem — znaki Pomarańczowej Alternatywy. Zaś z Pomarańczową Alternatywą do tej pory nikt nie wygrał, choć również nie przegrał. Ruch jest dla wszystkich, podobnie jak organizowane przezeń uliczne *happening*'i — kolejny wrocławski fenomen. Zwyczajnie są po to, by w ponurym mieście można się było bawić.

Robert (Pomarańczowa Alternatywa, komisarz PPR):
„Pomysł z szablonami jest dlatego tak barwny i różnorodny, iż realizuje go kilka znających się, lecz niezależnych od siebie grup. Podobnie z *happening*'ami. W działaniach ulicznych skupia się aktywność Ruchu Nowej Kultury, Pomarańczowej Alternatywy, PPR-u i wszystkich innych, którzy mają na to ochotę”.

Pomarańczowa Alternatywa była pierwotnie tytułem pisma, wydawanego przez studencki Ruch Nowej Kultury, powstały w 1981 roku. Wtedy też Major — najbardziej znana postać Alternatywy, do niedawna główny twórca, reżyser i scenograf ulicznych zabaw — zaczął propagować surrealizm socjalistyczny, nowy kierunek w sztuce i w działaniach paraartystycznych, swoiste antidotum na śmiertelną powagę polskich opinii o rzetelnym socjalizmie. Bo czyż nie jest surrealizmem zniknięcie milicjantów zamalowywujących strajkowe plakaty późną jesienią 1981 roku, kiedy stojący wokół nich studenci śpiewają „Sto lat” i „Międzynarodówkę”?

A później wybuchł stan wojenny i wraz z nim powstała Wojskowa Akademia Artystyczna — twór, rzecz jasna, konspiracyjny, objęty militarną dyscypliną, z rozkazami i meldunkami, o socjalistyczno-surrealistycznej strukturze. Z tego też czasu datują się pierwsze krasnoludki malowane na murach, w miejscach, gdzie wcześniej widniały symbole „Solidarności”. Krasnoludki szybko stały się znakiem rozpoznawczym Wrocławia, a niekiedy lubiły powędrować do innych miast. Wówczas również na wrocławskich ulicach można było dostrzec nieśmiało próby *happening*’ów, działań jednoosobowych, zamierzonych na niewielką skalę. Szok stanu wojennego i potencjalne choćby represje, związane z uczestnictwem w niezależnej zabawie, były zbyt wielkie, by do Pomarańczowej Alternatywy przyciągnąć przechodniów.

We wrześniu 1986 roku władze zadekretowały szeroką amnestię, poprzedzoną akcją „ujawniania” nielegalnych struktur. Wojskowa Akademia Artystyczna oparła się „humanitarnym” działaniom SB, lecz jej działacze — podobnie jak aktywiści innych niezależnych związków — stanęli przed koniecznością zmiany formuły; od pełnej konspiracji (nawet w żartobliwej konwencji) do przebijania się ku jawności. Jednak struktura Akademii po dzień dzisiejszy nie została ujawniona — skoro cała rzecz obracała się wokół *happening*’owej kpiny, styl trzeba zachować do końca. W miejsce Akademii weszły uliczne zabawy.

Krzysiek (Pomarańczowa Alternatywa, komisarz PPR do spraw propagandy): „Zasięg i powodzenie *happening*’ów nie zależą wyłącznie od nas. Zabawa musi wciągnąć przechodniów, przechodzić w zwyczajnych ludzi. Tak było, dla przykładu, z Mikołajami; jeżeli liczyć czas trwania *happening*’u do momentu aż zgarnięto ostatniego z aktorów, to było tego ze

20 minut. A przechodnie przeciągnęli zabawę o ponad godzinę. Gdy w 1986 roku zrobiliśmy *happening* z tubami, praktycznie nikt z widzów nie zareagował. Pełne powodzenie przyniosły dopiero krasnoludki. W tym *happening* u uczestniczyło około trzech tysięcy osób”.

Nic dziwnego. Pierwszego czerwca 1987 roku, w Dzień Dziecka, najobojętniejsi z obojętnych przechodniów musieli zareagować, gdy na główną ulicę Wrocławia, Świdnicką, wyległo kilkadziesiąt krasnoludków. Skrzaty nosiły czerwone czapeczki, śpiewały: „My jesteśmy krasnoludki”, skandowały: „Nie ma wolności bez krasnoludków”, co dziwnie pokrywało się z intonacją okrzyków „So-li-dar-ność, So-li-dar-ność”. Całe zdarzenie przypadło do gustu wielu przechodniom, siłą rzeczy uczestniczącym w *happening*’u, zaś zdecydowanie mniej milicji, która zaczęła krasnoludki wsadzać do radiowozów. Reakcja zebranych była bardzo jednoznaczna. Nikt nie uciekał, nie wytworzyła się panika. Ludzie bronili krasnoludków, matki tłumaczyły spląkanym dzieciom, że w socjalizmie skrzaty żyć nie mogą, a gdy w milicyjnej nysce zniknął ogromny, pluszowy miś w czarnych okularach, tłum zaczął skandować: „Zamknąć Misia Puchatka”.

Wrocław polubił *happening*’i, a Świdnicka stała się — zdaniem Majora — miejscem, gdzie ludzie noszą czerwone czapeczki, bo chcą być wolni, lub niebieskie czapeczki, w zamian za ucieczkę od wolności ku wątpliwej jakości przywilejom.

Po „Krasnoludkach w PRL” *happening*’i posypały się jak z rozwiązanego worka. Zaprotestowano „przeciwko letnim upałom”, a gdy pogoda zesłała na psy, zażądano gorącego słońca. W Dzień Milicjanta młodzież rozdawała funkcjonariuszom kwiaty i z kwiatów układała na Świdnickiej napisy „MO”. Przy Świącie Wojska Polskiego zorganizowano manewry „Melon w majonezie”, strzelano z plastikowych karabinków, fingowano atak na zomowski kordon. Dwa razy rozdawano przechodniom papier toaletowy. W rocznicę wybuchu drugiej wojny światowej Pomarańczowa Alternatywa odstąpiła od *happening*’owej formuły, organizując całkowicie poważną demonstrację antywojenną i antyfaszystowską. Choć niesione transparenty treścią nie odbiegały od oficjalnie głoszonych haseł, uczestnicy manifestacji, równie szybko, jak przy poprzednich okazjach, powędrowali do radiowozów.

Właściwie wszystkie wymienione *happening*’i — wyłączając może „Melon w majonezie” — były jednoosobowym

dziełem Majora, realizacją jego pomysłów na pełne urzeczywistnienie surrealizmu socjalistycznego. Gdy jednak zbliżała się rocznica Rewolucji Październikowej, okazało się, iż data jest zbyt poważna, by jej obchody mógł wymyślić tylko jeden umysł. Scenariusz *happening*’u został wypracowany kolektywnie przez grupę, która przyjęła nazwę Rady Komisarzy Ludowych.

Kadafi (uczestnik szczecińskiego WiPu, członek PPS): „Ludzi należy hamować. Sam się przekonasz, kiedy zaczniesz myśleć nad scenariuszami *happening*’ów, że innego wyjścia nie ma. Co chwila rodzi się nowy pomysł, bardziej zwariowany, z większą dozą surrealizmu od poprzednich. Sama zabawa w wymyślanie tak wciąga, że nie można się od niej oderwać. I bardzo dobrze, że w pewnym momencie ludzie muszą iść do domów — inaczej, kto wie, co by się urodziło. Taka sytuacja zaistniała przy planowaniu obchodów Rewolucji Październikowej. Ktoś wymyślił, że jeśli Rewolucja, to koniecznie musi być obecny jej zwiastun, pancernik 'Potiomkin'. Inny dodał krążownik 'Aurorę', jeszcze inny marynarzy z Kronsztadu. Jeśli jest reprezentacja rewolucyjnej floty, to musi być i konnica Budionnego i oddziały piechoty, złożone z miejskiego proletariatu i biedoty wiejskiej. Rocznicę rewolucji postanowiliśmy świętować w przeddzień oficjalnych obchodów, więc jeżeli uznajemy wigilię, to przecież nie może obyć się bez kołędników, gwiazdy — tym razem czerwonej — i anioła; oczywiście Anioła Rewolucji. Finałem *happening*’u miała być wspólna kolacja w pobliskim do Świdnickiej barze 'Barbara', przemianowanym na Pałac Zimowy, przy czerwonym barszczu, bo i potrawa i kolor jak najbardziej stosowne do wigilii takiego święta”.

O obchodach ku czci rewolucji poinformowały wrocławian ulotki, zachęcające przechodniów do eksponowania w ubiorze czerwonych akcentów. Planowano zorganizowanie wystawy psów rasowych i nierasowych, odznaczonych obowiązkową czerwoną kokardą przy obroży, pod hasłem „Psy na rzecz Rewolucji”.

W 1987 roku Świdnicka oglądała jeszcze *happening* z okazji referendum i grudniową zabawę, czyli „Święty Mikołaj nadzieją reformy”. Wszystkie w znakomitej atmosferze, pełnej współpracy z widzami-przechodniami, a także „współpracy” z milicją, bowiem powołana przez Radę Komisarzy Ludowych Mikołajowa Służba Wewnętrzna pomagała ładować Mikołajów i Śnieżynki do radiowozów.

Kadafi: „Najpiękniejsze *happening* i robi milicja, szczególnie wtedy, gdy 'morduje' Mikołajów, Śnieżynki, czerwonoarmistów. Bez nich byłaby tylko połowa zabawy”.

Czym jest uliczna zabawa? Są tacy, którzy twierdzą, iż *happening* i to niepoważne, szczeniackie wygłupy, ujmujące powagi prawdziwej niezależnej działalności. Inni znowu podkreślają polityczny charakter zabawy, kładąc główny nacisk na uczestnictwo w *happening*ach czołówki wrocławskiej „Solidarności”. Z pierwszą opinią w ogóle nie warto dyskutować; w jednej z publicznych wypowiedzi Major stwierdził, iż podobny sposób myślenia, to nic innego, jak myślenie komunistyczne. Druga wersja również mija się z prawdą, gdyż uliczna zabawa jest po prostu uliczną zabawą, zaś polityczny kontekst, udział Frasyniuka czy Piniora, to sprawy o drugorzędnym, marginesowym znaczeniu. *Happening* ma przełamywać obowiązujące normy. Są to normy narzucane przez państwo, ale też narzucane przez opozycję.

Zuzanna: „Bez śmiechu i dystansu do samego siebie nic się nie robi. Zadamy Pomarańczowej Alternatywy dają luz, komfort psychiczny, odprężenie. Pozwalają ludziom uniknąć opozycyjnego kanału i tej śmiertelnej powagi, która prowadzi wprost do utraty kontaktu z rzeczywistością i samouwiebienia. Nagle świętujemy rocznicę Rewolucji Październikowej. Jest czerwono, przechodnie skandują 'Re-wo-lu-cja', pływa 'Aurora'. Okazuje się, że można się z takich rzeczy śmiać. Bez płaczu, biadolenia, że straszne nieszczęście, że okrucieństwo. Zróbmy sobie jaja z Jałty. Pośmiejmy się, a nie — tak jak zwykle — na poważnie, czyli jakieś analizy, syntezy, rozważania, co by było gdyby, drętwe oświadczenia. Zwyczajnie olejmy, wykpijmy, uwolnijmy się z kompleksu. Pokażmy, że Jałta jest właśnie tego warta, że nie czujemy się upokorzeni, upodleni”.

Znacznie ważniejsze jest pytanie o cel działań Pomarańczowej Alternatywy.

Major (za Tygodnikiem Mazowsze): „Zadaniem, jakie sam sobie postawiłem, jest przewyciężanie różnych własnych słabości i pomoc w przewyciężaniu ich u innych. Szczególnie lęku przed milicją — żeby tego koszmaru, tego snu, jaki wywołał stan wojenny pozbywało się coraz więcej ludzi. Nie chodzi o zmiany polityczne, ale o zmiany w psychice — one mogą później wywołać jakieś skutki”.

Ruda (członkini PPS): „*Happening*’i integrują. Jeszcze na początku popularności Pomarańczowej Alternatywy widziło się ciągle te same twarze. Teraz starzy zostali i ciągle przybywają nowi — na bankietach po zakończeniu każdej zady, nie znam połowy ludzi. Zapewne dla wielu młodych jest to sposób na wejście w opozycję, złapanie kontaktu z niezależną działalnością. Bo schemat wygląda tak: wspólnie opracowujemy *happening*, wspólnie kombinujemy potrzebne akcesoria, wspólnie się bawimy, a z ulicy dołączają się widzowie. Później wspólna, kilkugodzinna odsiadka, wspólny bankiet w akademiku, gdzie już wykluwają się nowe pomysły i kółko się zamyka”.

Kadafi: „Dziewczyny z akademika pomagały nam przygotowywać 'Aurorę'. W wigilię Rewolucji policja biła, więc moja załoga wymyśliła, że dziewczyny będą tylko pomagać w szyciu kostiumów. Uszyły nam stroje Mikołajów, a za chwilę wyciągają przebranie Śnieżynek, bo one też chcą iść. I nie było sposobu, by je zatrzymać, choć przed paroma miesiącami niektóre bały się samego słowa 'opozycja'”.

Zuzanna: „*Happening*’i pomagają ulicy, zwykłym ludziom. Przecież w tłumie przechodniów każdy czuje się anonimowy, czasem się boi, nie wie, czy inni myślą, chcą tak samo, jak on. Aż nagle okazuje się, że można się razem bawić, śmiać, więc można również robić coś innego. Przechodnie przyzwyczajają się do atmosfery wrocławskich ulic. Trudno teraz nawet wyobrazić sobie, że zady, WiP-u czy innej opozycyjnej firmy spotka się z obojętnością, chłodnym przyjęciem. To również w jakimś stopniu zasługa Pomarańczowej Alternatywy. Siedziałem raz na komendzie ze starszą panią, zgarniętą z ulicy podczas *happening*’u. 'Wrocław miastem stu(dwustu)procentowej frekwencji' w dzień referendum. Panią tę zamknięto, gdyż broniła jakiegoś uczestnika zabawy. Przyszła na Świdnicką, bo zobaczyła w kościele ulotkę, informującą o *happening*’u, a wcześniej coś niecoś słyszała. Myślałem, że starsi ludzie nie rozumieją Pomarańczowej Alternatywy. Okazuje się jednak, że nie istnieje bariera w zrozumieniu, bardziej zaś bariera możliwości uczestnictwa. Trudno wymagać by ktoś w słusznym wieku biegał po ulicy przebrany za urnę”.

Pomarańczowa Alternatywa wyznaje kpinę konsekwentną, również kpinę ze środowisk opozycyjnych. Kiedy w

listopadzie '87 reaktywowano w Warszawie Polską Partię Socjalistyczną, wystarczyło kilku dni, by Wrocław odpowiedział PPR-em, sugerując konieczność rychłego zjazdu zjednoczeniowego. Na murach wykwitły napisy: „PPR atrakcja, PPS reakcja”. Co symptomatyczne — wrocławscy sympatycy i członkowie PPS-u nie mają za złe Majorowi i spółce żartu z PPR-em.

Zuzanna: „PPR nie dyskredytuje PPS-u, nie wyśmiewa jego założycieli, członków, deklaracji programowej. Zresztą cenna, potrzebna inicjatywa obroni się sama, o odrobina ironicznych przycinków z pewnością jej nie zaszkodzi, a może nawet doda nieco reklamy. Ja również mogę malować przesławne hasła o wyższości PPR-u nad PPS-em. Choćby po to, by ludzie mieli dobrą zabawę, oglądając stróżów porządku zamalowujących napisy 'PPR walczy'”.

Jeżeli kpina ma być prawdziwie konsekwentna, wówczas nie może oszczędzać również swoich twórców, Pomarańczowa Alternatywa bawi się autoironią, czym jest nie tylko uliczny *happening*, ale również *happening* wewnątrz ruchu; Trybunał Rewolucyjny.

Kadafi: „Kiedy postanowiliśmy uczcić rewolucję, zostałem mianowany komisarzem 'Aurory'. Rozbieżności w łonie dowództwa krążownika — chcieliśmy realizować w tym samym momencie różne wersje dotyczące kierunku żeglugi — spowodowały, że szybko zostaliśmy zatopieni przez „milicję”. Za nieprecyzyjne wykonywanie rozkazów na polu bitwy idzie się pod sąd. Stałem się więc pierwszym oskarżonym w rewolucyjnym procesie. Ale udało mi się „zwalic” odpowiedzialność za niepowodzenie naszych manewrów na innych. Bo nawaliła nie tylko 'Aurora', ale na przykład facet z konnicy Budionnego porzucił broń i konia podczas odwrotu, co na wojnie jest straszliwym przestępstwem. I w końcu nikt nie wiedział, kto jest winny całemu zamieszaniu. Może ja, może Major, może dezertor od Budionnego, może biorący udział w *happening'u* i obecny na rozprawie Józef Piniór, a może dzielnicowy Golicz — najślynniejszy dzielnicowy w całym Wrocławiu — czy wreszcie podziemna organizacja, działająca wśród milicjantów z komisariatu na Łąkowej, gdzie lądujemy po każdej zabawie. Najśmieszniejsze, że SB ma to wszystko nagrane, gdyż Trybunał obradował w mieszkaniu Pinióra, a tam wszystkie ściany mają uszy. Dla nich również to musiał być niezły bal”.

Milicja ma swój osobny rozdział w każdym *happening*’u. Gdyby nie interwencje, akcje Pomarańczowej Alternatywy nie nabrałyby takiego rozgłosu. Zresztą — zdaniem działaczy ruchu — milicji należą się również ciepłe słowa. Ganiają po ulicy, czego wcale nie chcą (fragment zasłyszanej rozmowy: „W Legnicy miałem spokój, a tu codziennie na Świdnicką”), czasem biją, ale z reguły nie wiedzą, jak się zachować w stosunku do młodych ludzi wręczających im kwiaty, czy zbierający krasnali, ubranych w czerwone czapeczki.

Krzysiek: „Policja jest już prawie nasza. Jeżeli policjant wychodzący z komendy mówi do swojego kolegi, że idzie uprawiać sztukę dialektyczną, to go nasze pomysły też w jakimś sensie musiały ruszyć”.

Ruda: „Gdy nas zamykają, to jeszcze nie znaczy, że skończył się *happening*. Na komendzie ludzie śmieją się, żartują, raz prosili milicjantów do tańca. Zniknął strach. Milicja nie dziwi się naszemu zachowaniu. Nie dziwi się, że przestaliśmy się bać. Bo i sankcje są właściwie żadne. Kilka godzin w komisariacie i do domu”.

Zuzanna: „Od rewolucji władze zaczęły dostrzegać Pomarańczową Alternatywę jako organizację opozycyjną. Wiedzą, że coś jest inaczej, śmieszniej, ale *happening*’i są ‘społecznie niebezpieczne’, więc trzeba je tępić. Jeżdżą za aktywistami Pomarańczowej Alternatywy, nowych ludzi straszają, pewnie kiedyś posypią się kolegia. Ale na pograniczu między nami a policją coś się zaczyna dziać. Nie zamierzam tego przeceniać, lecz muszę zauważyć, choćby dla własnego komfortu. Takie rozmiękczenie nie jest możliwe w przypadku innych firm, na przykład WiP-u. Kiedyś przesłuchuje mnie SB-ek, a do pokoju wchodzi jego kolega. Co, znów papier rozdawali? — mówi. — Nie, tym razem chodziło o wojsko. — Cholera, 30 osób zatrzymali, myślałem, że chociaż rolę sobie uskładam. Pewnie, że jak mu każą, to mnie uderzy. Ale z własnej woli chyba nie. Przynajmniej do tej pory coś takiego się nie zdarzyło”.

Dlaczego Pomarańczowa Alternatywa jest tak ważna w mozaice wrocławskich ugrupowań niezależnych? Bo jest to jedyna grupa, która jednoczy; otwarta na wszystko i dostępna dla wszystkich. W ruchu nie liczy się przynależność organizacyjna i światopogląd, lecz pomysł i chęć jego

realizacji. Od niedawna trafiają się tam nawet członkowie PZPR.

Zuzanna: „Przed zadymą wszyscy studenci wychodzą z mojego instytutu. Nie dlatego, że są w opozycji. A może właśnie są? Sama nie wiem”.

Pomarańczowa Alternatywa omija różnice między poszczególnymi strukturami. W Radzie Komisarzy Ludowych — „najbardziej demokratycznym ciele w PRL” — siedzą obok siebie i łagodnie współpracują członkowie „Solidarności Walczącej”, RKKW, PPS, Międzyszkolnego Komitetu Oporu, uczestnicy WiP-u, „bezpartyjni”. Nikt nikomu nie przypina etykiet — co zresztą jest bardzo trudne z racji na wielość powiązań organizacyjnych — nie wpływają na wierzch polityczne animozje czy wzajemne niechęci. Dopiero poza Pomarańczową Alternatywą ruch młodzieżowy ulega podziałom.

Robert: „Choć pomysły *happening*’ów są nasze, to przy ich organizowaniu spotykają się ludzie ze wszystkich wrocławskich struktur, a także ci, których polityka mało obchodzi, bo wolą żart albo sztukę. Fajnie jest, że większość uczestników doskonale rozumie, iż Alternatywa to zabawa, zaś politykę można robić sobie gdzie indziej”.

Zuzanna: „We Wrocławiu silny jest WiP — duża grupa ludzi połączonych jakby wspólnotowymi więzami. To chyba jeden z najlepszych ośrodków w Polsce. Jest sympatycznie, bez podjazdowych wojen, wygrywania nazwisk, traktowania ruchu jako odskoczni do większej, politycznej kariery”.

Bardzo dobrze funkcjonuje środowisko skupione wokół tak zwanej „Dwunastki”, grupy dawnych działaczy samorządów uczelnianych. „Dwunastka” też robi *happening*’i — publicznie wystartowali wcześniej niż Pomarańczowa Alternatywa. Zorganizowali w 1987 roku rajd na Ślęzę w rocznicę Marca '68, a także zadymę w *prima aprilis*, na Placu Uniwersyteckim. Zajęto wtedy rektorat Uniwersytetu, mianowano własnych szefów uczelni, których portrety wywieszono na budynku, zarządzono czyn społeczny — czyszczenie murów szczoteczkaami do zębów. Zabawę zepsuła milicja.

Znakomite są duszpasterstwa akademickie, silne typowo organicznikowską pracą i potencjałem intelektualnym.

W konspiracji żyją NZS-y, sprawne w drukowaniu i sypaniu ulotek. Komitety założycielskie NSZZ „Solidarność” też w gruncie rzeczy robi młodzież. A przecież na uczelniach i w zakładach pracy ludzi trudniej zmobilizować do codziennej niemal aktywności, bo prawie każdy ma na głowie własne problemy — dom, rodzina, zakupy, dzieci.

Kadafi: „Chciałbym, żeby powstało coś w guście szerokiego ruchu młodych, firmy otwartej dla punków, socjalistów, anarchistów, wipowców, wszystkich chętnych. W końcu chodzi nam w zasadzie o to samo, więc na jakiejś płaszczyźnie można i warto się spotkać. I żeby nikogo nie wciągano za uszy do polityki; niech każdy robi, co chce. Może trzeba zacząć od Wrocławia, gdzie prawie każde młodzieżowe środowisko może popisać się własną aktywnością?”.

We wrocławskim ruchu młodzieżowym kolejnym fenomenem jest Międzyszkolny Komitet Oporu, organizacja działająca w większości szkół średnich wszystkich typów. MKO nie ma odpowiednika w innych regionach kraju. Wprawdzie w większych miastach istnieją w szkołach średnich koła samokształceniowe, kolportuje się niekiedy prasę niezależną, tworzy międzyszkolne unie w rodzaju Federacji Młodzieży Walczącej, niemniej nigdzie podobne działania nie nabrały takiego rozmachu. Inicjatywy MKO spotykają się z pozytywnym odzewem wśród znakomitej większości uczniów. Dość przypomnieć, iż przed laty Komitet wezwał młodzież do bojkotu zajęć szkolnych w „pracujące” soboty i bojkot ten powiódł się niemal w stu procentach — w sobotę sale szkolne świeciły pustkami.

Zuzanna: „Gdy MKO jest silne w jakiejś szkole, wówczas mają 'własny' samorząd, tajną komisję, ludzi, którzy kolportują bibułę. Potrafią dojść do porozumienia, kiedy planują akcję w skali całego miasta. Drukują własną gazetę. I jest to następny dowód, że powodzenie każdej działalności zależy tylko i wyłącznie od chęci jej inicjatorów i ich operatywności. We Wrocławiu jest łatwiej, gdyż ci, których głos w początkach stanu wojennego był dla mieszkańców miasta decydujący, którzy utrzymali swój autorytet do dziś w pokoleniu wyrosłym na Sierpniu, zrozumieli, że czasy się zmieniają”.

Wyczucie inności czasów decyduje również o inności Wrocławia. Fakt — gdyby w okresie 16 miesięcy „Solidarności”

we Wrocławiu nie powstały załączki dzisiejszego stosunku do młodzieżowych inicjatyw, zapewne nie byłoby ani MKO, ani Pomarańczowej Alternatywy, działającej na tak dużą skalę, zaś wszyscy młodzi, którzy chcieliby coś robić, funkcjonowaliby w charakterze piątego koła u opozycyjnego wózka. Liderzy dolnośląskiej opozycji na całe szczęście zrozumieli, że któregoś dnia najbardziej aktywne stanie się to pokolenie, dla którego czas „Solidarności” będą tylko historią, zaś niezależna ekspresja własnych postaw i żądań naturalną potrzebą. Tak więc po kilku latach pracy, w warunkach ekstremalnie trudnych w porównaniu do tych z początku obecnej dekady, młodzież i jej organizacje stały się samoistną siłą. Gdyby ją zlekceważono, olano, napiętnowano zewnętrzne przejawy inności młodej generacji — wrocławski ruch młodzieżowy byłby zjawiskiem pobocznym, jak w tyłu innych miastach.

Zuzanna: „Tylko młodzież może być autorytetem dla młodzieży. Jesteśmy nowym pokoleniem, innym od pokolenia „Solidarności”, które dopiero szuka swojego miejsca, więc samo sobie buduje również autorytety. Frasyniuk i Piniór nie tylko nie obrazili się na nas, lecz wchodzili w nasze przedsięwzięcia. Kiedy pierwsze *happening*'i Pomarańczowej Alternatywy zaczęły udawać się na dużą skalę, Major trafił i do MKO i na opozycyjne salony, gdyż sprawa była równie ważna dla obu środowisk. Władek i Józek są niepowtarzalni. To dla mnie jedyne autorytety związkowe. Ustrzegli się od wchodzenia w spory, może dlatego, że jesteśmy trochę na uboczu, bez maszyn drukarskich, domów wydawniczych, wielkich pieniędzy i dyplomatycznych rautów. Jeżeli między nimi istnieją jakieś waśnie, to, jak dotychczas, nigdy nie zaszkodziły robocie. W Gdańsku spotkałam młodego chłopaka, współpracownika jednego z opozycyjnych tuzów. Brakowało mu tylko oficerek i raportówki, gdyż praktycznie był adiutantem na posyłki, choć mógł zrobić o wiele więcej, bo głupi nie był. Lecz solidarnościowy oficer wołał rządzić sam. U nas panuje zupełnie inna atmosfera, inny styl. Władek i Józek zauważyli, że są młodzi, którzy mają dobrze w głowie i całkiem sporo doświadczenia, a przez sześć ostatnich lat wykonali spory kawał czarnej roboty. Liderzy związkowi nigdy nie chcieli dominować, rozkazywać, zawsze służyli pomocą. Oczywiście, nie w taki sposób, by popierali każdy, nawet najbardziej lewy projekt, lecz w kontaktach z nimi nigdy nie dostrzegłam lekceważenia i wyższości”.

Robert: „Wiele publikacji w prasie niezależnej przyniosło Pomarańczowej Alternatywie więcej szkody niż pożytku. My robiliśmy *happening*, a nagle okazywało się, że to sprawa polityczna, bo policja wsadziła Piniora czy biegła za Frasy-niukiem. Główny cel *happening*'u był odrzucany. Więc na mikołajowej zabawie Pinior się nie pojawił. Z własnej woli, gdyż po prostu wyczuł — o czym również nam powiedział — że na Świdnicką ludzie przychodzą dla zabawy, zaś jego kilkugodzinna odsiadka, w oczach szukających w każdym ruchu polityki, zabawą być przestaje. I ma od początku do końca rację. Przy czym był z nami od krasnali, a teraz dobrowolnie się wycofał. Po prostu zrozumiał, o co chodzi”.

A więc Wrocław jest inny. Inny na tle polskiej szarzy-ny, właściwego dla naszych czasów zagubienia młodzieży. Nie dlatego, żeby tam było łatwiej. Lecz szarość może nie-kiedy przybierać nieco cieplejszy odcień. Można powiedzieć, że Pomarańczowa Alternatywa, MKO, „Dwunastka” nie tra-fia do wszystkich i z pewnością będzie to najprawdziwsza prawda. Jednak trudno szermować także pojęciem elity, gdyż są to grupy zbyt szerokie i zbyt otwarte i nawet w socjolo-gicznych rozważaniach termin „elita” ustąpi określeniu zna-cznie obszerniejszemu — „wrocławska młodzież”. Można powiedzieć również, iż młodzi wrocławianie nie zawsze dzia-łają ręką w rękę, że NZS nie lubi „Dwunastki”, a „Dwu-nastka” ma za złe NZS-owi — i też nie będzie w tym fał-szu. Lecz podobne wypominanie mija się z celem.

„Kreuj życie tak jak sztukę” — głosi jeden ze staromiej-skich , wrocławskich szablonów. Tworzenie nie może obyć się bez sporów, dyskusji, ale każda dyskusja zakłada posza-nowanie partnera, uznanie jego pomysłów i dorobku. I pew-nie o to tu chodzi.

Grudzień 1987

SPOSÓB NA ŻYCIE

Kiedy zakładali swój interes, byli szczeniakami tuż po studiach. Teraz mają około trzydziestki. To niezwykle w polskiej rzeczywistości, aby ludzie tak młodzi tworzyli zamaszyste przedsięwzięcia gospodarcze. Choć dołączyli do grona „prywaciarzy” — ludzi raz wielbionych za stan konta, raz pogardzanych za dorobkiewiczostwo czy lizusostwo wobec najmniejszego nawet państwowego urzędnicy — zwykłymi „prywaciarzami” nie są. Nie pasują również do lansowanego przez władze nowego wzorca „socjalistycznego młodego człowieka”, który winien — jak dawniej — wszystko popierać, chwalić i akceptować, a przy okazji być rzutkim i przedsiębiorczym, żeby dobrze zadbać o siebie i swój biznes.

Mówią, że chcą „połączyć sprawność ekonomiczną ze sprawnością organizacyjną”. Dla ludzi zorientowanych wyłącznie na zdobycie pieniędzy, to najzwyklejsza tautologia; dobra organizacja — to dobre gospodarowanie, a dobre gospodarowanie — to dobry zarobek. Dla nich jednak te sprawy bywają rozbieżne. „Zmieniała się firma i zmieniali się ludzie — napisali w jednym z numerów informatora Rady Nadzorczej swojego przedsiębiorstwa — ale wciąż aktualne są, taką mamy nadzieję, wartości i przykazania, na których budowaliśmy swoją wspólnotę: solidarność, koleżeństwo, wrażliwość na społeczne zło, aktywne zaangażowanie w sprawy najważniejsze dla Polaków, odpowiedzialność za siebie, firmę, Gdańsk i, chociaż zabrzmiałoby to patetycznie, Ojczyznę”. Ludzie ze Spółdzielni Pracy Usług Wysokościowych „Gdańsk” inaczej nie potrafią.

Zaczynali w 1983 roku, w jedenastkę (szczęściu z grupy założycielskiej do tej pory pracuje w spółdzielni, między

innymi jej prezes, Maciej Płażyński). Ruszyli na fali wielu podobnych inicjatyw, które później — ze względu na specyfikę zjawiska — nazwano „nową przedsiębiorczością Gdańską”. Pokończyli studia, lecz w typowym, państwowym układzie albo nie chcieli, albo nie mogli się zaczepić.

Poprzeczkę zawiesili wysoko. Chodziło nie tylko o indywidualną samodzielność finansową każdego z nich, ale także o wsparcie represjonowanych kolegów, o pomoc społecznym inicjatywom. Wolno było tworzyć spółdzielnie, więc w tym kierunku poszli. Ta jedyna w owym czasie możliwość niezależnego i zarazem legalnego działania okazała się nader szczęśliwym wyborem. No i pomoc docenta Uniwersytetu Gdańskiego, Jana Majewskiego, ekonomisty, autentycznego wychowawcy i przyjaciela młodzieży, w czasach solidarnościowego antraktu szefa grupy ekspertów samorządów pracowniczych, bez którego — być może — nic by nie wyszło. Wspólnie wymyślili, że zajmą się pracami wysokościowymi, antykorozyjnymi, malarskimi, bo przecież cały polski przemysł nadaje się właściwie tylko do remontu, więc roboty nie zabraknie.

Czas na garść statystyki. W 1983 roku spółdzielnia zatrudniała 10 osób. Pięć lat temu przerób wynosił 2 miliony 700 tysięcy złotych, a zysk 360 tysięcy. Wówczas zarabiali średnio po 15 tysięcy miesięcznie. Żadne pieniądze, raczej praca za półdarmo i dobre chęci, żeby zrobić coś więcej.

A dziś? W 1988 roku na stałych etatach w spółdzielni pracuje 220 osób, a w sezonie, czyli wtedy, kiedy bez większego ryzyka zamrznięcia można wdrapać się na wysoki komin — drugie tyle. Warto pamiętać, że „Gdańsk” robi na własny rachunek, więc etaty administracyjne — prawdziwa zhora peerelowskiej gospodarki — ograniczone są do niezbędnego minimum. Przerobiono 800 milionów złotych, z czego zysk firmy wynosił 120 milionów. Zarobki skoczyły średnio do 90 tysięcy; o 20 tysięcy więcej, niż w tym samym okresie wynosiła średnia krajowa. Postęp jest ewidentny. Prócz tego spółdzielnia ma dwie filie, w Krakowie i w Rzeszowie, dwa samodzielne zakłady, przystąpiła lub założyła pięć różnych spółek. To już nie tylko ekonomiczny sukces. Każdy, kto choć pobieżnie orientuje się w rzeczywistości realnego socjalizmu wie, że utrzymać się przez 5 lat, a przy okazji zwielokrotnić działalność, to dla niezależnej inicjatywy niemal cud.

Do spółdzielni „Gdańsk” przyszli niejako z marszu, ze zdelegalizowanej „Solidarności” i — przede wszystkim — z

Niezależnego Zrzeszenia Studentów. W Gdańsku identyfikowanie ludzi na tej podstawie byłoby sporym uproszczeniem. Byli zwolennikami sięgającego w lata siedemdziesiąte „Ruchu Młodej Polski”, niezależnej organizacji neoendeckiej, lub wykluwającego się właśnie w stanie wojennym prądu liberalnego. Jeżeli ktoś chce przykleić spółdzielni „gębę”, wówczas powie, że po dziś dzień te dwie „frakcje” ścierają się ze sobą na walnych zgromadzeniach członków. Ze z tego nic złego ani dla firmy, ani dla skupionego wokół niej środowiska nie wynika, to już odrębna sprawa. Generalnie więc była to młodzież, pragnąca choćby na polu ekonomicznym wywalczyć swoją niezależność.

Lecz gospodarka to od początku było zbyt mało. Spółdzielnia nie miała być nigdy tylko miejscem pracy. Dlatego przez pierwsze lata kwestia przydatności zawodowej nie była rzeczą podstawową przy oferowaniu zatrudnienia. Do „Gdańska” przychodzili znajomi ze środowisk niezależnych, ludzie wyrzuceni z pracy, wypuszczeni z internowania, zwolnieni z więzień. Nikt nie zwracał uwagi na to, że ten czy ów nie umie malować kominów. Nikt nie zastanawiał się, że takie czy inne nazwisko może firmie zaszkodzić. Człowiek potrzebował pomocy, więc ją dostawał. A wśród pracowników znajdowały się osoby, których władza nie mogła darzyć szczególną sympatią.

Na przykład dzisiejszy szef Rady Nadzorczej, Mirek Rybicki, przed Sierpniem szef wydawnictwa „Ruchu Młodej Polski”. W stanie wojennym RMP — tak głosiło opublikowane oświadczenie — zawiesił samodzielną działalność, stawiając się w dyspozycji podziemnej „Solidarności”. Mirek przez rok ukrywał się. Robił wtedy — jak sam mówi — to samo co wcześniej. Gdy wyszedł z ukrycia, państwowe firmy były przed nim zamknięte. Trafił do „Gdańska”.

Jurek Borowczak, protoplasta filmowego Birkuta, prawdziwy „człowiek z żelaza”, który rozpoczął najsłynniejszy, najważniejszy w Stoczni Gdańskiej strajk.

Antoni Grabarczyk, szef „Solidarności” Portu Gdańskiego, jeden z członków podziemnej Regionalnej Komisji Wykonawczej Związku, więziony.

Mariusz Wilk, współorganizator i szef strajkowej gazety Stoczni w 1980 roku, redaktor naczelny regionalnego tygodnika „Solidarności”, współautor „Konspiracy”, książki o podziemnej „Solidarności”, organizator strajkowych gazetek w maju i w sierpniu 1988 roku.

Lech Kosiak, o którym się mówi, że w sierpniu 1988 roku „zrobił” strajk w Gdańskiej Stoczni Remontowej.

I wielu, wielu innych. Z pokrzywionymi niezależnym działaniem biografiami, niepokornych, samorządnych, samomyślących, liberałów z czasopisma *Przegląd Polityczny*, neoendeków z RMP, związkowców z „Solidarności”, studentów z NZS-u, pacyfistów z ruchu „Wolność i Pokój”.

Od początku nikt nic nie żąda. Pracownik spółdzielni dostaje stempel w dowodzie poświadczający zatrudnienie — rzecz nie do przecenienia, zwłaszcza w świetle obowiązującego podówczas prawa o pasożytnictwie — kartki na mięso, ubezpieczenie. Za to płaci się tylko za wykonaną robotę: kto chce zarabiać, proszę bardzo, ale tym, którzy dopiero muszą przyuczać się do włożenia na kominy, zbyt nie patrzy się na ręce, na jakość oddawanej pracy. Taka zasada jest chyba bardzo słuszna. No, chyba żeby ktoś, gdzieś... Lecz to także praca, a firmę z biegiem czasu stać na swego rodzaju stypendia.

To bardzo dziwne, że pracownicy „Gdańska” właściwie we wszystkim, co istotne w działaniu, zgadzają się między sobą. Dziwne, bo co mogą mieć ze sobą wspólnego liberał i neoendek? Szczególnie wtedy, kiedy ich miasto jest miejscem, w którym kłótnia o metody działania i poglądy przybrała kliniczną postać; spór kompetencyjny między Międzyzakładowym Komitetem Organizacyjnym „Solidarności”, czyli świeżą kadrą, chłopakami, którzy zainicjowali strajki w 1988 roku, a Regionalną Komisją Koordynacyjną Związku, więc przywódcami jakby „historycznymi”, z mandatem starych wyborów. Dodajmy do tego awanturę na linii Wałęsa — Gwiazda, a otrzymamy obraz, w którym spółdzielnia jest chlubnym wyjątkiem. Bezplodne spory jakoś ominęły „Gdańsk”. Spółdzielcy mówią, że jest to wynik stosunków panujących w Trójmieście jeszcze przed Sierpniem. Gdy różnym nurtom opozycji brakowało wspólnego języka, wtedy pracowali osobno, nigdy natomiast wbrew sobie. Zaś na sojuszach, kiedy — jak latem 1980 roku — gra szła o rzeczy wielkie, można było zbudować autentyczną przyjaźń i sympatię.

A przecież mogliby klócić się nie tylko o politykę, ale i o pieniądze. W końcu „Gdańsk” jest jednostką gospodarczą, ma zarabiać, a nie tracić forszę na filantropijne, społecznikowskie akcje. Lecz spółdzielnia chce zaistnieć na zewnątrz — kodeks postępowania przyjęty przez założycieli, gdzie solidarność to słowo, które określa i nazwę związku, ale także drobniejsze

układy między ludźmi, zobowiązuje. Więc „Gdańsk” objął nieformalną opieką dom dziecka, fundując jego wychowaniu 5 książeczek mieszkaniowych, wspiera Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie, dotuje Gdańskie Towarzystwo Naukowe, uczestniczy w fundacji „Dać szansę”, zajmującej się upośledzonymi dziećmi. Z kiesy firmy skorzystały schroniska dla bezdomnych im. brata Alberta Chmielowskiego, parę groszy dostało gdańskie hospicjum. Gdy do Polski po wielu latach starań sprowadzono prochy majora Jana Piwnika, „Ponurego”, w gronie sponsorów uroczystości pogrzebowych znaleźli się także ludzie z „Gdańska”. Przykładów starczy.

Wiele w „Gdańsku” rzeczy ładnych, sympatycznych, po prostu fajnych, pomyślanych z głową; można je wymieniać niemal bez końca. Opis aktywności spółdzielni brzmi wtedy jednak jak nadęty panegiryk. Czy wszystko, co łączy się z tym pomysłem, wygląda tak różowo? Nie, lecz przyczyny takiego stanu rzeczy leżą poza spółdzielnią, są jakby ogólniejszej, systemowej natury.

Docent Majewski mówi, że to bardzo przykry widok, kiedy wysokiej klasy humanista nie pracuje w swoim zawodzie, tylko remontuje kominy. Dotyczy to zresztą nie tylko humanistów, ale również matematyków, fizyków, inżynierów, którzy swoją wiedzę i umiejętności w normalniejszych warunkach spożytkowaliby z pewnością inaczej. Lecz problem polega na tym, że realia polskiej gospodarki z wielkim trudem zahaczają o normalność, co oznacza także, iż w państwowych firmach ich wiedza także by przepadła. Lecz zaraz zastrzega się, że woli, żeby „przepadli” w „Gdańsku”, niż żeby ci młodzi, dynamiczni i wykształceni ludzie wyjechali na emigrację.

A spółdzielcy czują się po prostu u siebie. Firma własna, więc duże pole do popisu, choćby w sensie organizacyjnym. I to właśnie może w jakimś zakresie rekompensować straty wynikłe z odejścia od zawodu. Pieniądze względnie przywoite, a i robotę można sobie tak ustawić, żeby pracować przez miesiąc, a przez następne pół roku żyć z jednej wypłaty. Nie ma więc kłopotów z czasem na rozwijanie swoich umiejętności zawodowych czy na zaangażowanie społeczne. Właściwie jest OK. Trzeba tylko pamiętać, że forsa psuje.

I tutaj jawi się kolejny problem. Każda rozmowa o finansach, a więc w konsekwencji o uzyskiwaniu kontraktów, to w polskim prywatnym biznesie temat niestychanie grząski. Jakaś instytucja pragnie wyremontować dach hali produkcyjnej.

Do przetargu staje kilkadziesiąt firm. Tylko jedna dostaje zlecenie. Niby wszystko normalnie, ale jednak... Liczy się bowiem sposób, jak przetarg wygrać.

Jedni więc oferują, rzecz jasna cichaczem, wysokie łapówki dla kierownika zakładu. Inni reklamują się znów, że zrobią wszystko za mniejsze pieniądze, bo i tak się opłaci. A jeszcze inni szukają zamówień poprzez układy w lokalnej nomenklaturze.

Chłopcy z „Gdańska” uważają, że istnieje zasadnicza różnica pomiędzy koniaczkiem dla kierownika zlecającego robotę, a wycieraniem dywanów w budynku Komitetu Wojewódzkiego. Na tyle dobrze — twierdzą — poznali zasady rządzące polską gospodarką, żeby rozumieć, iż przykładanie do nich kryteriów moralnych — przekupstwo to zło, uczciwość w interesach to dobro — stało się eleganckim, lecz zły luksusowym anachronizmem, do którego trzeba będzie powrócić, jeżeli polska ekonomia wyleczy się z kolektywistycznych infekcji. Łapówkę można zaakceptować, lecz wyszukiwanie dojsć do zleceń czy materiałów dzięki znajomościom w politycznej wierchuszce Trójmiasta, to gruba przesada, bo — oprócz niesmaku — grozi to utratą samodzielności.

Naprawdę nie lubią, żeby ktoś z zewnątrz wtrącał się w ich sprawy. Od początku istnienia nie kryli swoich poglądów, wielu z nich aktywnie uczestniczyło w ostatnich strajkach robotników gdańskich stoczni, a trzon Międzyzakładowego Komitetu Organizacyjnego to też ludzie ze środowiska spółdzielni. Muszą wiedzieć, że władza dobrze przygląda się ich firmie (swoją drogą to może bardzo wygodne, żeby mieć tak zadziorny element skupiony w jednym miejscu). Jednak groźby, że „Gdańsk” może zakończyć działalność z przyczyn bardziej zbliżonych do polityki niż ekonomii niewiele ich obchodzi.

Jaka przyszłość czeka spółdzielnię? Prezes, Maciek Płażyński, chciałby, żeby firma w dalszym ciągu doskonaliła sprawność organizacyjną i ekonomiczną. Docent Majewski mówi natomiast, że potencjał, przede wszystkim ten ludzki, zgromadzony w ruchu „nowej gdańskiej przedsiębiorczości”, nakazuje jej twórcom rozsądzić istniejące bariery blokujące inicjatywę, a jeżeli nie im, to z całą pewnością ich następcom. Jednak przypomina, że cały czas należy pamiętać o skali zjawiska; mimo iż liczebność sektora prywatnego wzrosła w Gdańsku w ciągu ostatnich lat dwukrotnie, to stanowi on w dalszym ciągu wąziutki margines ogólnej działalności gospodarczej. Nowe

spółki czy spółdzielnie są firmami o kapitale wyjściowym rzędu kilkudziesięciu, kilkuset tysięcy złotych. Ludzie boją się kredytów bankowych, gdyż w obecnych warunkach oznaczają one utratę niezależności na rzecz państwowej *de facto* kontroli. A z takimi pieniędzmi nie sposób zacząć jakiegokolwiek działalności produkcyjnej, wystawić nawet niewielkiej, lecz nowoczesnej fabryczki. Pozostają więc usługi, zaś w perspektywie może produkcja najprostszych rzeczy najprostszymi technikami. I ciągle wspomina o cenie, którą przyjdzie zapłacić założycielom spółdzielni „Gdańsk” i wielu im podobnym, a także całemu społeczeństwu za to, że ludzi z wykształceniem życie zagnało do malowania kominów. Z tego względu firmy w rodzaju „Gdańska” nie mogą być sposobem na rozwiązanie problemów stojących przed polską gospodarką i polską młodzieżą.

Czy jednak idea nowej przedsiębiorczości, z całą swoją otoczką społeczną, przyjmie się gdzieś poza Gdańskiem? Wiadomo, że milionów się na tym nie zrobi. Jeżeli chodzi tylko o forszę, to lepiej pracować w prywatnym zakładzie, nie mówiąc już o tym, że kilkutygodniowe saksy na Zachodzie, dadzą więcej pieniędzy niż ciężka, całoroczna harówka w „Gdańsku”. Ale do spółdzielni zgłaszają się powoli grupy młodzieży z innych miast, z prośbą o radę, jak prowadzić firmę, w której można pogodzić działalność ekonomiczną ze społeczną. I, jak na razie, dają sobie radę.

Jeżeli więc uda się rozkręcić prywatny interes, a przy okazji uniknąć przemożnej chęci zarabiania coraz więcej i więcej, jeżeli w firmie znajdą się ludzie, którzy zawsze będą gotowi zamknąć interes na patyk i poświęcić się społecznej aktywności, choćby przez czynne wspieranie strajku, za co — być może — ubędzie im pieniędzy, lecz przybędzie satysfakcji i autorytetu wśród kolegów, to pomysł jest. Chyba nie najgorszy.

TWIERDZA NIENAWIŚCI

Scena pierwsza. W dość obszernej sali, rozświetlonej blaskiem żarówek, dyskutuje grupa dwudziestokilkuletnich i młodszych chłopców. Na ścianie wisi drewniany krzyż. Równe rzędy podniszczonych krzesel i długie, zarzucone książkami stoisko. Chłopcy rozmawiają o artykule, który jeden z nich chciałby opublikować we własnej gazecie.

Do grupy przyłącza się następny młodzieniec. Głośnie „Szczęść Boże” i ramię młodego człowieka pręży się ku górze w geście starorzymskiego pozdrowienia, które jednak w Polsce i na całym świecie przypomina znacznie bliższe, mroczne czasy. Ściszony śmiech i wyraźny szept jednego z zebranych: „o, przyszło radykalne skrzydło”. W tej uwadze nie ma nic z nagany. Jest natomiast sympatyzujący z gestem element protekcji i wielkodusznego przyzwolenia. Radykałowie, szczególnie w tym miejscu, powinni witać się właśnie takim pozdrowieniem.

Po raz pierwszy oglądałem podobną scenę „na żywo”, nie w polskiej telewizji przepęłnionej wojennymi programami. Było to w dolnej sali warszawskiego kościoła przy ulicy Zagórnej. Na chyba niezamierzoną perwersję zakrawa fakt, iż owa świątynia nosi wezwanie Matki Boskiej Częstochowskiej Patronki Armii Krajowej, zaś wystrój głównej kaplicy przesycony jest stylizowanymi emblematami i symbolami akowskich pododdziałów. Kościół na Zagórnej rości sobie miano kościoła skupiającego środowiska kombatanckie, lecz z drugiej strony nawet postronny obserwator zauważy, iż tym, którzy wybrali sobie tę świątynię na miejsce pozareligijnych spotkań, bardziej niż akowskie odznaczenia pasuje nazistowska swastyka.

Scena druga. Za stoiskiem z książkami stoi ubrany w schludną, oliwkową koszulę młody chłopak. Ma poprawnie zawiązany czarny krawat i gładko przyлизane włosy. Podchodzi do niego dwaj koledzy, rozmawiają o pieniądzach i kwiatkach dla miejscowego proboszcza.

— Bo przecież nie można zostawić księdza prałata samego, kiedy wszyscy go napadają. Parszywa propaganda.

— Kto napada? — pytam.

— Żydzi z *Le Point*, BBC, Głosu Ameryki. Ale ksiądz prałat mówi jak Polak i nie chce robić tego, co każe żydowska propaganda. Jesteśmy jak oblężona twierdza, bastion prawdziwej polskości.

Jeszcze kilka słów o sprzedawanych książkach, zakupie nowych pozycji — „kochajmy się jak bracia, liczymy się jak... tfu, sam wiesz kto” — i chłopcy odchodzą po kwiaty dla księdza, który użycza katolickiej świątyni sabatom czarownic.

Pozareligijna aktywność skupionego przy kościele na Zagórnej środowiska doczekała się już prasowych publikacji. W kraju pisały o niej pisma bezdebitowe i gazety oficjalne. Pojawił się również niewielki artykuł w *Le Point*, powielony następnie przez polskojęzyczne sekcje BBC i Głosu Ameryki. Wszystkie publikacje w krytyczny, aczkolwiek wypływający z różnych przesłanek sposób wypowiadały się o głoszonym w kościele skrajnym antysemityzmie. Bo faktycznie, żydożerstwo jest kluczowym — chyba ze względu na potencjalną atrakcyjność — punktem repertuaru przykościelnych spotkań, wykładów i dyskusji.

Oto główne założenia jednej z prelekcji, wygłoszonej na Zagórnej przez Bogusława Rybickiego, niegdysiejszego kandydata do władz „Solidarności” regionu Mazowsze, który omawiał polityczny kontekst Powstania Styczniowego. Tak więc insurekcję 1863 roku sfinansowali Żydzi w osobie Kronenberga, by w beznadziejnym starciu z carską Rosją wyniszczyć naród polski, a przynajmniej jego patriotyczną lecz bezrozumną młodzież. Oczywiście, forszę trzymał we własnej kieszeni także Żyd, minister finansów powstańczego rządu, Henryk Wohl, zatem wiadomo, kto na tym geszefcie zarobił. Prócz tego sytuacja sprzed Powstania jako żywo przypomina dzień dzisiejszy, zaś najgłębsze analogie dotyczą — rzecz jasna — pozycji i manipulatorskich planów żydo-masonerii. I w 1863 roku i teraz Żydzi stoją po obu stronach konfliktu, uważnie przyglądając się sytuacji i tak nią sterując, by wyrwać Polakom jak najwięcej. To oczywiste, iż w procesie organizatorów

ursuskiego strajku z początków stanu wojennego skazano robotników — Polaków, a korowiec, Żyd i mason, Jan Józef Lipski, został na wolności.

Czy Żydem był ksiądz Jerzy Popiełuszko, tego Rybicki nie dowodził. Stwierdził natomiast, iż Jego działalność duszpasterska (warto porównać tę opinię z licznymi wypowiedziami Jana Pawła II podczas ostatniej pielgrzymki do kraju) wymierzona była przeciwko pozycji Kościoła i autorytetowi Prymasa. Kto tak postępował podczas Powstania Styczniego? Jasne, że Żydzi.

Jednak nikt nie będzie pewien, że do końca pojął przewartność i podłość, odkrył zamierzenia wybranego ponoć narodu. Gdy ksiądz Jerzy, wedle wskazówek kardynała Glempa, odciął się od KOR-u, w 1984 roku oksfordzki konwentylk najważniejszych ze światowego żydostwa skazał go na śmierć. Każdy wie, kto wyrok wykonał, lecz funkcja kata jest sprawą drugorzędną. A zresztą wiadomo, że w UB służyli i służą sami Żydzi.

Z tych samych powodów sprzeciwia się pouczeniom Prymasa ksiądz Małkowski. Zna cenę swojego życia — jest nią posłuszeństwo żydowskiemu wytycznym — a uaktywnia się wtedy, kiedy dostaje rozkaz z żydowskiej centrali.

Żydzi — twierdził dalej prelegent — to firmy polonijne, kradnące ojczyźnie i narodowi polskiemu surowce, siłę roboczą i... dzieła sztuki. To rozpijanie narodu — znów analogia do czasów przedpowstaniowych. I wreszcie żydowskie banki, wyciągające łapy po polskie długi. One ponoszą winę za naszą tragiczną sytuację gospodarczą. No, może odrobinę przyczyniły się do tego czasy gierkowskie, ale ci, co wówczas nabruździli, już siedzą w firmach polonijnych, czyli u siebie. Bo przecież komunizm nie dlatego jest ekonomicznym bankrutem, że jest komunizmem, ale dlatego, iż został stworzony przez Żydów i Żydów preferuje. Oczywiście, zmowa dotyczy całego świata, lecz przede wszystkim Polski i Polaków, narodu-sumienia ludzkości, przedmurza chrześcijaństwa. Żydami otaczał się Bierut, Gomułka, Gierek, do Żydów Ignął Wałęsa — swój ciągnie do swego. Żydzi prawdopodobnie manipulowali nawet przebiegiem Soboru Watykańskiego II, gdyż z „ducha Soboru” płynie demokratyzacja, zaś wiadomo, do czego demokratyzacja, zwłaszcza w Kościele, może doprowadzić. Żydzi wcisnęli się dokładnie wszędzie, bo właściwie to jedno potrafią.

A ulubiony przez Polaków znak zwycięstwa, „zajaczek”

pokazywany podczas mszy za Ojczyznę? Ten znak — kontynuuje Rybicki — również nie ma nic wspólnego z polskością („od tej litery nie zaczyna się żadne polskie słowo” — wyjątek z mowy generała Jaruzelskiego). To przecież masoński symbol dwóch sztyletów, powstały w czasach Wielkiej Rewolucji Francuskiej. Jeden sztylet przeciwko królowi, drugi przeciwko Kościołowi.

Kolejny wykład, prowadzony przez pana Więclawka, doktora, a poświęcony tajnym ruchom w tysiącletniej historii Polski. Na sali jest kilkunastu wyznawców doktryny żydowsko-masońskiego spisku. Jest też grupa studentów Uniwersytetu Warszawskiego, którzy przyszli obejrzyć polityczny folklor. Na początku wystarczyły szydercze uśmiechy i kpiny. Jednak nawet ich nerwy, bądź co bądź obserwatorów tragicznych, spragnionych coraz to nowych „odkryć” i „sensacji” nie wytrzymały. Zaczęli polemizować z prelegentem i wtedy usłyszeli, że nie znają prawdziwej historii Polski. Gdy okazało się, że właśnie historia jest przedmiotem ich studiów, od kilku młodzieńców chłonących z otwartymi ustami treść wykładu dostali propozycję: „chodźmy za kościół, to pogadamy”.

Z treściami prelekcji współgrają na Zagórnej książki. Można kupić „Protokoły Mędrców Syjonu”, pozycję sfabrykowaną przez carską Ochranę i entuzjastycznie zrecenzowaną przez niemieckich głosicieli nazizmu i polskich rasistów spod znaku Falangi. Dostępne są wszelkie druki, zazwyczaj sygnowane pseudonimami — jeśli nie liczyć emigracyjnego fanatyka, Jędrzeja Giertycha i Romana Dmowskiego, który z całą pewnością przewraca się w brudnowskim grobowcu wskutek profanacji imienia — a dotyczące roli Żydów w manipulowaniu światem. Są też bezdebitowe — rzecz niezwykła w polskich warunkach — publikacje periodyczne, adresowane głównie do młodzieży, *Nowe Horyzonty* i *Jestem Polakiem*.

Czego można się z tych gazet dowiedzieć? Można przeczytać, że: „na to, co się współcześnie dzieje z Polską i w Polsce nie mamy już sił odpowiednio reagować. Doszło do tego, że Polskę przy współudziale samych Polaków, obwołano 'chorym człowiekiem Europy', potem arbitralnie i wyniosłe obłożono sankcjami i długotrwałą karą dyskryminacyjną, gdyż nie udało się doprowadzić nas do politycznego samobójstwa na życzenie naszych rzekomych obrońców spod masońskiego znaku Kielni i Trójkąta. Alternatywa zaś, jaką nam w tym czasie przygotowano, była wcale nie lepsza, a

zapewne jeszcze gorsza od tego, co miało być zmienione” (*Nowe Horyzonty* nr 11 z 28 maja 1987 — ocena okresu „Solidarności” i jego reperkusji).

Wiadomo także, że „Żydzi są w opozycji przeciwko tradycji i cywilizacji europejskiej i przeciwko, duchowi Europy, który jest duchem chrześcijańskim. A mówiąc o Europie, mówią także i o takich przez Europę zrodzonych krajach, jak Stany Zjednoczone, Meksyk, Brazylia czy Argentyna. A nawet o takich nowych krajach chrześcijańskich jak Zaire czy Uganda” (*Nowe Horyzonty* nr 8 z 28 lutego 1987).

Poza tym: „uzgodnienia genewskie są podobne raczej do jednostronnego dyktatu żydowskiego niż do obustronnego porozumienia. Uzgodnienia te spełniają tylko w zasadzie podniesione przez Żydów żądania — poza tym zarówno w apelu wydanym w lipcu 1986 roku, jak i w oświadczeniu z lutego br. (1987 — przyp. autora) podkreśla się wciąż ofiarę Żydów w czasie wojny. Wielomilionowa ofiara Polaków i przedstawiciele innych narodowości jest zawsze na drugim miejscu. [...] 'Centrum pamięci' ma powstać dzięki staraniom i na koszt Kościoła katolickiego. A jaki będzie udział Żydów? Czy będą tylko przyjmować 'okresowe sprawozdania' od strony katolickiej, aby móc nadzorować wykonywanie podjętych przez nią zobowiązań?” (*Nowe Horyzonty* nr 8 z 28 lutego 1987 — o budowie klasztoru karmelitanek na terenie obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu).

Antysemitki ataki nie są kierowane wyłącznie przeciwko narodowi żydowskiemu. W pismach z Zagórnej występuje wariant polskiego antysemityzmu, polegający na opluwaniu tak Żydów jak i ludzi arbitralnie posądzonych o żydostwo lub sprzyjanie Żydom. Żydzi więc lub fanatyczni filosemici grupują się w Klubach Inteligencji Katolickiej, Znaku, Więzi, w wielu redakcjach pism rządowych, Żydami lub filosemitami, co przecież na jedno wychodzi, są Tadeusz Mazowiecki, Andrzej Wielowieyski, Jan Błoński, a także Jacek Kaczmarski, który z kosmopolitycznych pobudek — przejaw sympatii promasońskich — wybrał emigrację i mówi, że jest przywiązany do kultury światowej, kreując się jednocześnie na fałszywego wieszcz narodu. Żydzi to cała opozycja demokratyczna w Polsce. A jeżeli nie Żydzi, to w każdym razie ich poplecznicy, świadomi sprzymierzeńcy lub baranki ulegające manipulacji, co karać również trzeba.

Żydożerstwo rodem z Zagórnej — pcwtórzę — było już niejednokrotnie eksponowane przez środki społecznego

przekazu. Czy wynika to z niechęci do rasizmu, czy z obowiązku przestrzegania przed wywoływaniem upiorów nie tak znów odległej przeszłości, czy nawet, jak w przypadku mediów zachodnich, ze swoistego kompleksu, który każdy odcień uprzedzenia do Żydów traktuje jako przygrzywkę do kolejnej Trebłinki? Nie jest to istotne — ważne, iż wiele piór wykonało z reguły rzetelną, uczciwą i potrzebną robotę. *Casus Zagórnej* ma jednak szerszy wymiar, przesłonięty z lekka przez fanatyczny antysemityzm, lecz dobrze widoczny szczególnie w kontekście ataków na polskich katolików czy opozycję laicką. Jest nim nienawiść — nienawiść do wszystkiego, co inne, sprzeczne z ultraszowinistyczną doktryną polskich neonazistów. A przy okazji nienawiść wielbiąca swych głównych apostołów, nie bacząc, iż w krajowej, europejskiej i światowej opinii nazwiska tych postaci są synonimami dzierzymordów, satrapów, zwyczajnych kanalii. Znów cytaty — wyznanie wiary: „nie ma dziś na świecie prawicy. Znikła Hiszpania generała Franco, znikła Portugalia Salazara. Z biedą trzyma się tylko Pinochet w Chile” (*Nowe Horyzonty* nr 8 z 28 lutego 1987).

Dlaczego na Zagórnej nienawidzi się KOR-u, „Solidarności”, wszystkich ludzi upominających się o podstawowe prawa człowieka? Po pierwsze dlatego, iż KOR, „Solidarność”, Żydzi i masoni to jedno (nie przez przypadek w tamtejszych publikacjach mówi się o „koro-” lub „żydo-solidarności”). Po wtóre dlatego, iż prawa człowieka to wielkie bałamuctwo, wychodzące poza przykazania Boże, ogłupiające ludzi i bazujące na tanich, demagogicznych chwytach.

Dlaczego nienawidzi się katolickich intelektualistów z KIK-ów, *Res Publici*, Ruchu Młodej Polski? Bo eksponują żydowskie interesy, zdradzili prawdziwą prawicę, są sprzedawczykami. Bo „czego można oczekiwać od 'elit katolickich', które myślenia uczą się od Spinozy, od Rousseau i encyklopedystów, od Darwina, od Marksa i Nietzschego, od Freuda i Trockiego, od Marcuse'a i Lévi Straussa, a nie znają rzetelnie Ewangelii, Augustyna i Akwinaty? Czego oczekiwać po tych, którzy czytają z wypiekami na policzkach (albo przynajmniej snobują się na to, że czytali) Prousta, Joyce'a, Hemingwaya, Zolę, Gide'a, — a nie tknęli nawet nowoczesnej literatury katolickiej, a więc Chestertona, Papiniego, Bernanosa, Marshalla i innych? Czy można spodziewać się czego innego od ludzi, dla których autorytetem jest rewolucyjna Deklaracja Praw Człowieka, jest 'wolność, równość,

braterstwo', jest Demokracja (pisana wielką literą), jest Postęp (tak samo!) — a nie jest pismo święte i katechizm?" (*Nowe Horyzonty* nr 7 z 28 stycznia 1987).

Dlaczego nienawidzi się ruchu Wolność i Pokój? Bo o tchórzostwie Żydów każdy wie, a oprócz tego pozbawianie Polski żołnierzy — było nie było ludzi „darzonych społecznym szacunkiem i miłością” — oddaje Ojczyznę w pacht obcym interesom, gdzie wrogiem nie jest totalitaryzm, lecz żydowskie banki, zachodnia kultura i demokracja. „Dla tych względów nie jesteśmy zwolennikami żadnego, nawet 'realnego' socjalizmu, dlatego też nie zachłystujemy się socjaldemokracją szwedzką, parlamentaryzmem angielskim czy rozwydrzoną demokracją *made in USA*” — pisze w nr 10 *Nowych Horyzontów* anonimowy autor, wyrażając stanowisko redakcji.

Nienawiść dosięgła młodzieżowe subkultury, bo odciągają młodych od Kościoła i spraw narodu, głoszą satanizm, który jest religią masonów, a więc i Żydów. Rozmodleni młodzieńcy z „Oaz” i innych wspólnot neokatechumenalnych też nie mają racji, gdyż wierzą tylko pozornie, na pokaz, epatują prawdziwych katolików nastrojem i emocjami.

Na Zagórnej nienawidzi się liberałów, chadeków, konserwatystów, socjalistów. W jednym wiadrze należy utopić PZPR, KOR, KPN, RMP. Nienawidzi się narkomanów i homoseksualistów. Gardzi się Żydami, ale też Ukraińcami, Niemcami, Węgrami. Wykoślawione do granic człowieczej percepcji koncepcje przedwojennej narodowej demokracji zostawiają margines tolerancji dla Rosji i Rosjan, ale ze wschodnim sąsiadem też nie bardzo wiadomo.

Kogo więc się kocha? Tych, którzy nienawidzą, ludzi, którym miast poglądów starczy zlepek opinii, układających się w klejoną instynktem nienawiści postawę, gdzie brak miejsca na inne uczucia.

Wiara w nienawiść rodzi konkretne konsekwencje. Jaka zatem — w opinii tych młodych ludzi — powinna być polska kultura? Narodowa, katolicka, kościelna, nie taka jak teraz, kiedy jesteśmy zalewani żydowszczyzną, zachodnimi modami, pornografią, bezbożnictwem. Ale jaka? Nie taka, jaka jest!

Jaki powinien być Polak? Katolik i narodowiec. Ale jaki? Nie taki, jaki jest!

Jaki powinien być świat? Katolicki, wierny, prawdziwie prawicowy, bez Żydów. Ale jaki? Nie taki, jaki jest!

To wszystko głosi się w kościelnym budynku, miejscu będącym w zarządzie instytucji darzonej powszechnym szacunkiem i zaufaniem, pod patronatem kapłanów. Jeden z nich, młody wikariusz, zapytany o treść wykładów i sprzedawanych publikacji, odrzekł, że go nie interesują, że nie wie. Wikariusz kłamał — już następnej niedzieli, a zapewne i wcześniej, przewracał kartki żydożerczych książek, jak stary znajomy rozmawiał z organizatorami stoiska. Również miejscowy proboszcz nie ma nic przeciwko „Protokołom Mędrców Syjonu” czy *Nowym Horyzontom*. Gdyby była to literatura antykościelna i antykatolicka, wówczas musiałby interweniować. Teraz nie ma potrzeby. Poza tym — tak opowiadają parafianie — prałat utrzymuje, że stale nachodzą go Żydzi, strasząc zemstą to władz, to własnych, tajnych organizacji, to... Episkopatu.

Na Zagórnej widuje się ciągle te same twarze, przede wszystkim ludzi młodych, w tym kilku studentów z koła Polskiego Związku Katolicko-Społecznego z Uniwersytetu Warszawskiego. Są też przedstawiciele pokolenia Kolumbów i parę statecznych matron tej generacji. Nie dziwi niemal kompletny brak kobiet i dziewczyn. Zgodnie z doktryną nie powinny przecież mieszać się do polityki. Wszyscy razem mówią o sobie, iż Zagórna to tylko wierzchołek góry lodowej. Reszta jest dobrze ukryta.

Różna jest także frekwencja na wykładach — od kilkunastu do stu osób. Nieco więcej kupuje wyłożone w kościele książki. Ale i tutaj nie bardzo wiadomo, kto z nabywców traktuje publikacje jako źródło wiedzy i prezentację postaw zgodnych z jego zapatrywaniami, kto natomiast lubi chwalić się przed znajomymi spisanyymi na papierze bzdurami.

Summa summarum jest to grupa z całą pewnością marginalna, podobnie jak w innych krajach, normalniejszych niż PRL, gdzie zawsze znajdują się środowiska, będące ostoją politycznego Ciemnogrodu. Inna sprawa, że przynależność do takich grup źle świadczy o normalności ich wyznawców.

Czy więc, z racji na ewidentną peryferyjność zjawiska, warto o nim pisać?

— Nie warto — mówi dziennikarz nielicencjonowanej prasy katolickiej. — W Polsce zbyt trudno napisać dobry artykuł o antysemityzmie, prawdziwy i rzetelny, bez zadęć w jedną i w drugą stronę. Chcesz wariatów, weź satanistów.

— Nie warto — tym razem opinia licencjonowanego katolika. — Po co zadzierać z Maciejem Giertychem, który

gra tam pierwsze skrzypce? Wiesz, kim on jest? Siedzi i w Społecznej Radzie Prymasowskiej i w jaruzelskiej Radzie Konsultacyjnej.

— Nie warto — mówi starszy człowiek o zacięciu katolickiego neofity. — To będzie donos na cały Kościół powszechny. A przecież Kościół to nasza ostatnia ostoja, także w oczach świata.

— Trzeba — odpowiada zadeklarowany ateista. — Kościół robi czasami dobrą robotę, ale jest również odpowiedzialny za zaściankowość Polski. To nienormalne, by ludzkimi sumieniami w tym kraju rządziła instytucja rodem z zamierchłego Średniowiecza. Zagórna to najlepszy przykład.

— Może i piszą nieprawdę — mówi ktoś z szarej, milczącej większości, pamiętający czasy, gdy w Polsce mieszkali Żydzi. — Ale z drugiej strony Żydzi byli lekarzami, prawnikami, krawcami, mieli sklepy i fabryki. Dla nas nie było miejsca.

Nikt nie wspomniał, że każde zło, każda nienawiść, nawet marginalna i jednostkowa winna być publicznie napiętnowana, że jest to wymóg ludzkiej uczciwości. Z jednej strony antysemityzm, obecny w polskim światopoglądzie, z drugiej kościelny budynek, urastający ponad wszelką krytykę, przesłonił szerszy, głębszy aspekt problemu.

Pierwsze artykuły o Zagórnej, które pojawiły się ponad dwa lata temu, były naturalną reakcją na odkrycie egzystujących w zorganizowanej formie pokładów polskiego rasizmu. W kwietniu 1985 roku o wykładach w dolnym kościele pisała *Kultura Niezależna*. W początkach 1987 roku KOS, później gazety oficjalne: *Polityka*, a nawet periodyk MSW *W służbie narodu*. Ton i kontekst owych wypowiedzi były zupełnie różne, a to kolejny powód, dla którego sprawy Zagórnej nie należy odkładać do worka zapisanych i przebrzmiałych historii. Dla pierwszoobiegowych publikacji była to bowiem kolejna okazja do zaatakowania Kościoła i jego funkcji społecznych, przy czym pretekst napaści był równie dobry jak wtórny w stosunku do propagandowych zaleceń. Fakt faktem, iż antysemickie wyskoki, buchające nienawiścią zebrania odbywają się w świątyni, a samo miejsce spotkań dodaje im mocy i wiarygodności. Prawda, że zagadnięci o sprawę Zagórnej przedstawiciele Episkopatu wykazali zadziwiająco bezradność w sprzeciwieniu się złu, a może nie docenili rangi problemu. Faktem jest również, iż wśród części kleru — podobnie jak wśród taksówkarzy, hutników i profesorów —

utrzymują się antysemickie resentymenty. Niemniej to wszystko razem wzięte nie stanowi o całokształcie Kościoła.

Niestety, jest jeszcze ta czarniejsza — bo nasza — strona medalu. Gdyby podobne jak na Zagórnej publikacje sprzedawano pod szyldem żydożerczego skrzydełka PZPR-u, awantura w prasie podziemnej i — chciałbym wierzyć — wśród społeczeństwa, byłaby niepomrotnie większa niż teraz. To, że na Zagórnej prowadzi się aktywną działalność antyalkoholową, dowodzi szkodliwości przerywania ciąży — zresztą stosunek do aborcji jest tam testem na przynależność do masonerii — jeszcze nie znaczy, iż takie działania mają jakąkolwiek wartość. „Gdybym wiedział, co tam się wyrabia, nigdy bym nie pozwolił synowi na chodzenie do tego kościoła” — powiedział mój znajomy. Bo przecież Zagórna wygląda z pozoru bardzo przyzwoicie. Zrzeszona przy kościele młodzież nie pije, nie pali, nigdy nie sięgnie po strzykawkę z polską heroiną, „kompotem”. Słucha się wykładów o historii Polski, pamięta o świętach narodowych i — co dla osób wierzących może mieć znaczenie podstawowe — młodzi są także pod opieką duchownych. W świątyni sprzedaje się książki wzbudzające na pierwszy rzut oka zaufanie szarością okładek, dziesiątki publikacji bezdebitowych, o sympatii do których nikogo nie trzeba przekonywać. Więcej, trafiają się tam druki instruktażowe, chwalcące przedsiębiorczość, wyjaśniające zawile przepisy prawne, które trzeba pokonać przy zakładaniu własnego interesu. Tak pozytywy kamuflują nienawiść, która jest przecież podstawowym wymiarem Zagórnej. Nienawiść gorsza niż papieros, wódka i „kompot”, głupsza od najgłupszego sposobu regulacji urodzin — aborcji.

Zbierający się w kościele młodzieńcy wyglądają na pozór normalnie. Ubrani zwyczajnie, bez drażniącej ekstrawagancji punków czy taniego bogactwa bywalców dyskotek. Czarny, krótki krawat i brunatna koszula militarnego kroju — to strój tak pożądany, jak nieobowiązujący. A nawet taka koszula zobaczona na ulicy, bez asysty ksiązek z Zagórnej i atmosfery dolnego kościoła, pozostaje niezauważona. Jedynym elementem charakterystycznym dla wszystkich jest wpięty w krawat lub w kłapę marynarki stylizowany miecz grunwaldzki, symbol waleczności Polaków, oporu przeciwko germańskiemu Zachodowi. Ale kto w ulicznym tłoku zwróci uwagę na mały, metalowy emblemat?

Lecz chłopcy z Zagórnej nie pozostają anonimowi, gdy tylko opuszczą mury swojego kościoła. Od rówieśników

wyróżnia ich język, co chwilę wymawiający z czcią i wiernością słowa: Bóg, Ojczyzna, Polska, Polak, naród. Język pełen patosu, sztucznego zadęcia, niejako promujący tych młodych ludzi na dorosłych, świadomych obrońców narodowej sprawy. Nawet nastolatki nie używają zdrobnień — w rozmowach padają pełne nazwy, dorosłe imiona, zawsze podaje się ręce. Mają też poczucie misji, obowiązku, który każdy uczciwy Polak powinien spełnić, tyle że tych uczciwych zostało tak niewiele, więc oni stoją za miliony.

Gdy opowiadam o Zagórnej ludziom, którzy nigdy tam nie byli, z zasady nie mogą uwierzyć, że rodzima odmiana nazizmu znalazła schronienie w kościele. Nie dlatego, że panująca w środowiskach opiniotwórczych „moda na Żydów” tak sprzęgła się z odczuciami przeciętnego człowieka, iż każdy jeden sądzi, że antyżydowskie ekscesy należą do nieci: lubnej przeszłości. Wiele jest w kraju osób, z którymi można rozmawiać na wszystkie tematy, wyłączając rozmowy o Żydach, gdyż wtedy ze zwyczajnego, mniej lub bardziej mądrego człowieka wyłazi zaciętrzewiony rasista. Ludzie nie wierzą, że młody chłopak wita rówieśników nazistowskim pozdrowieniem, nie wierzą w brunatny kolor noszonych tam koszul, w bogoojczyźniane słownictwo, przepelnione zarazem nienawiścią bez granic. Nie wierzą we wchodzenie w dorosłość pod przewodnictwem księży i świeckich, starszych osób, pamiętających okropności okupacji, częstokroć odznaczonych za walkę w szeregach organizacji zbrojnych; dorosłość, której głównym wyznacznikiem będzie narastający z latami fanatyzm.

„Przypadek, poza, szczeniacka głupota. Widzisz to, co chciałeś zobaczyć” — mówią.

Być może to prawda, być może skrajny nacjonalizm wymaga militarnego kroju koszuli, jednak z fasonu i koloru przyodziewku jeszcze nic nie wynika. Niemniej warto pokusić się o odpowiedź, jak wyglądają oczy fanatyka, skoro nie są to oczy studenta lub ucznia, sprzedającego po niedzielnych mszach „Protokoły Mędrców Syjonu”?

SAMOOBRONA

ROZMOWA Z DZIAŁACZEM RUCHU WOLNOŚĆ I POKÓJ — PIOTREM NIEMCZYKIEM

— *Wiesz w jakim żyjemy kraju...*

PIOTR NIEMCZYK: — W rzetelnych badaniach socjologicznych, może z lekką nadreprezentacją partyjnych, „Polacy 84”, wyszło, że czynne poparcie dla „Solidarności” deklaruje 5% społeczeństwa, zaś z wahaniem następne 10. Nowszych danych nie znam, ale nie sądzę, by wiele się zmieniło.

— *Dopowiem, że w Polsce króluje apatia i niechęć do wszelkiego działania, co jest głównie udziałem młodzieży. A wy robicie ruch, którego podstawową klientelę powinni stanowić ludzie młodzi. Czy zatem sądzisz, że WiP może w pewnym sensie wzbudzić potrzebę społecznej aktywności, rozbuchać posierpniowe generacje?*

P.N.: — Z danych „czerwonego” wynika, że 40% chłopaków w wieku poborowym za cholere nie chce iść do wojska. Prawdopodobnie tych niechętnych jest znacznie więcej. Oczywiście, nie ma mowy, by uruchomić te 40 procent. Ale jakby udało się 5-6 procent...

Zresztą nie chcę operować takimi ogromnymi liczbami. Jak zakładaliśmy WiP, to chciałem sobie załatwić wojsko. Chciałem, żeby władze uznały status człowieka, który zwyczajnie nie chce iść do wojska, lecz nie kombinuje, nie szuka lewych zwolnień lekarskich, tylko mówi, że jego przekonania nie pozwalają mu służyć, co w cywilizowanym kraju zupełnie wystarcza. To świetnie, że jeszcze ktoś się przyłączył, ale tak

naprawdę robiłem WiP dla siebie. Poza tym dziś nie są czasy, kiedy się myśli o uruchomieniu milionów ludzi.

— *W waszym przypadku jest może tak dlatego, iż prawdziwe kłopoty spotykają młodego człowieka dopiero z chwilą odestania książeczki. Wojsko jakoś można przeżyć, można się przystosować, popsioczyć, a później zapomnieć. Oddając książeczkę czy kartę powołania, bierzesz na siebie konkretne ryzyko, wpisujesz w życiorys represje, szykany, często więzienie.*

P.N.: — Wojska nie przechodzi się bezboleśnie; więzienie niby też można przeżyć, z mniejszym lub większym szwankiem na zdrowiu, a wychodzą zeń ludzie zdolni do pracy, do jakiegoś tam funkcjonowania w społeczeństwie.

Teraz rokrocznie opuszczają koszary tysiące młodych ludzi, w pewnym sensie ogłupiałych, stłamszonych psychicznie i moralnie. Ale to jeszcze nie jest główny problem. Według szacunków zachodnich, a także danych dotyczących przedwojennego polskiego wojska, w armii jest 6 razy więcej samobójstw niż w grupie największego ryzyka, czyli również wśród młodych mężczyzn w wieku od 19 do 21 lat. To dane Wojskowego Przeglądu Wydawniczego, wydawanego przez Prokuraturę Wojskową, który zresztą nie podaje żadnych informacji dotyczących skali samobójstw we współczesnym wojsku polskim. Ale dlaczego miałoby się to zmienić? A jeśli tak, to pewnie na gorsze. Dolicz jeszcze setki samouszkodzeń, dezercji; to dziesiątki przypadków w ciągu ostatnich lat.

— *Zatem WiP to nie tylko protest przeciwko konkretnej armii i konkretnej przysiędze na wierność doraźnym sojuszom, lecz sprzeciw wobec samej instytucji wojska, która z normalnego chłopaka może zrobić samobójcę lub kogoś, kto potnie sobie ręce żyłką.*

P.N.: — Jesteśmy ruchem pokojowym, lecz innym od tego oficjalnego, który pokazują w telewizji. Dlatego każda forma zmuszania społeczeństwa do udziału w wojnie, nawet wojnie potencjalnej, jest dla nas nie do przyjęcia. Protestujemy przeciwko każdemu szkoleniu do zabijania. A jeżeli ktoś chce odbębnić wojsko dla świętego spokoju, ma do tego prawo. Jednak i w takim wypadku kwestionujemy zasadę bezwzględnego posłuszeństwa wobec wszystkiego i wszystkich, także sił

zewnątrznym, bo to ta sama zasada, na którą powoływali się sądzieni w Norymberdze.

— *Konieczności służby wojskowej nie kwestionował głośno nikt przez z górą czterdzieści lat istnienia PRL. Owszem, wykształciły się inne formy działalności opozycyjnej, lecz nigdy ruch pacyfistyczny. Dlaczego tak późno?*

P.N.: — Znalazło się zapotrzebowanie społeczne, a może my takie zapotrzebowanie wytworzyliśmy. Lata temu były przypadki odmowy złożenia przysięgi, po aresztach siedzieli też świadkowie Jehowy, ale nie łączyło się to z tak drastycznymi okolicznościami, jak wieloletni wyrok więzienia. Teraz ludzie uświadomili sobie, że powinni aspirować do większej przestrzeni wolności.

— *Jak to się zaczęło?*

P.N.: — Od sprawy Marka Adamkiewicza, studenta ze Szczecina, który w 1984 roku dostał dwa i pół roku za odmowę przysięgi. Z kilku ośrodków akademickich — z Warszawy, Łodzi, Szczecina i innych — wyszły petycje w jego obronie, które, rzecz jasna, w tamtym okresie nic nie dały. Ale ludzie nie ustąpili. Przypadek Adamkiewicza był ewidentnym naruszeniem wolności sumienia, represjonowaniem za przekonania. On przecież niczego takiego nie zrobił, nie złapali go przy offsecie — ludzie od offsetów też siedzieli niesłusznie — tylko sądzili za sposób myślenia.

W marcu 1985 zrobiliśmy w kościele w Leśnej Podkowie głodówkę. Zaczęło 11 osób — skończyło około 20. Wśród nas byli reprezentanci kilku ośrodków. Dyskutowaliśmy wówczas na temat szans niezależnych ruchów pokojowych w Europie Wschodniej, o nauce społecznej Kościoła w przesłaniu Jana Pawła II, o gandhizmie i non-violence.

Równolegle w Krakowie powołano Ruch Wolność i Pokój. Nazwa może nieco patetyczna, ale lepszej nie wymyślili. Potem zorganizowaliśmy akcję odsyłania książeczek wojskowych. A później samo jakoś poszło.

Teraz WiP jest w kilkunastu większych miastach: Warszawie, Krakowie, Gdańsku, Gorzowie Wlkp., Wrocławiu, Kołobrzegu i innych. Coś rusza się w Lublinie. Są u nas

ludzie z bardzo różnych środowisk społecznych; głównie młodzi robotnicy, ale też studenci, uczniowie i różni inni, którzy nie mieszczą się w żadnej klasyfikacji. Średni wiek oscyluje około dwudziestki.

Ruch — co chyba jest słuszne — nie dorobił się jednolitego oblicza politycznego. Mamy katolików, liberałów, anarchistów. Dlatego trudno nam robić akcje o wydźwięku szerszym niż sprawa wojska.

— *WiP się rozkręcił, a ty pojechałeś na Zachód.*

P.N.: — Myślałem, że nie dostanę paszportu. To już było po petycjach, głódowce, odesłaniu książeczki wojskowej. Jak dali, to poszedłem na całego. Jechałem właściwie bez kontaktów. Niemniej, tam ludzie coś niecoś słyszeli już o WiP-ie; zapraszaliśmy ich na imprezy związane z Schimkiem, wiedzieli o głódowce, Adamkiewiczu. Byli to głównie ci, którzy kontaktowali się z biurami „Solidarności” na Zachodzie, więc generalnie Polsce i Polakom przychylni. Ale inni też przyjęli mnie znakomicie. Staraliśmy się znaleźć wspólną formułę, płaszczyznę współdziałania. Chciałem pogadać ze wszystkimi, choć było to szalenie trudne, choćby ze względu na kłopoty z poruszaniem się ludzi z Europy Wschodniej na Zachodzie. Ale i tak rozmawiałem z pacyfistami ze Szwecji, Danii, Holandii, Belgii, Francji, Wielkiej Brytanii i Berlina Zachodniego, z grupami o różnych orientacjach politycznych i światopoglądowych. Dyskutowaliśmy o rzeczach doraźnych, obronie ludzi represjonowanych za odsyłanie książeczek wojskowych; wtedy akurat jeden z nas poszedł siedzieć.

— *Nie bales się, że takie kontakty mogą być źle przyjęte, bo w Polsce zdecydowana większość postrzega zachodnich pacyfistów jako mniej lub bardziej zakamuflowanych agentów Moskwy?*

P.N.: — Ruchy pokojowe są różne. Są ewidentne ekspozytury, którym udowodniono branie pieniędzy z sowieckich ambasad, na przykład w Danii i Holandii. Można również czasem powiedzieć, iż to, co robią pacyfiści, jest na rękę ZSSR. Czasami są naiwni, gdyż wydaje się im, że uległością zbudują zaufanie. Broń kosztuje tyle a tyle, a jej obecna ilość jest w sumie zbędna, gdyż — jak sądzą — wystarczy co

trzecia rakietą, by skutecznie się bronić. Wiarygodność takiej wyliczanki, nawet przy uznaniu za sprawdzone dzisiejszych środków kontroli zbrojeń, pozostawia wiele do życzenia.

Ale są to z reguły ludzie uczciwi, upatrujący podstawę rozbrojenia nie tylko w porozumieniach między rządami, lecz w odprężeniu oddolnym. Broń należy usunąć wtedy, gdy stanie się to rzeczywiście potrzebne, więc należy do tego dążyć, zostawiając na boku jednostronne rozbrojenie. Są za rozwiązaniem bloków wojskowych, swobodnymi kontaktami między ludźmi. Wierzą, iż społeczeństwa Wschodu i Zachodu wcale nie mają ochoty skakać sobie do gardeł, że cały ten konflikt jest sztuczny. ZSSR wykorzystuje tę działalność wbrew ich oczywistym intencjom.

— *Jednak pomysł na jednostronne rozbrojenie co jakiś czas powraca, jak koszmarnie senne widziadło.*

P.N.: — Rozmawiałem niedawno z facetem z holenderskiej Międzykościelnej Rady Pokoju. On nie wierzy w możliwość jakiegokolwiek porozumienia na temat broni średniego zasięgu i dlatego jego ruch — jeden z najbardziej sensownych w Europie — jest za rozpoczęciem jednostronnego rozbrojenia przez Zachód, przy takim układzie my mówimy o prawach człowieka, a oni oddają pole. Bo jednostronne rozbrojenie to rozbrojenie bezwarunkowe. Chcą, żeby ZSSR odpowiedział tym samym. Mówią, że *pieriestrojka*, że Gorbaczow; biorą za dobrą monetę wszystkie jego słowa. A że Moskwa przejęła propagandową inicjatywę w dziedzinie rozbrojenia, to już nie tylko ich wina.

Zależy im również na efektywności własnej polityki, co można mierzyć jedynie liczbą wycofanych rakiet. Myślą, że nie potafiają skutecznie protestować przeciwko rakietom sowieckim, więc chodzi im głównie o broń rozmieszczoną na własnym terytorium. I nawet jeżeli wygląda to na dążenie do jednostronnego rozbrojenia, to jeszcze nie powód, by z nimi nie rozmawiać.

Zaś druga strona medalu jest dla Polski o wiele ważniejsza. Nie chcą u siebie rakiet, bo nie chcą do nas strzelać!

Przyjeżdżają do Polski, w swoich gazetach piszą o Europie Wschodniej. Mówią głównie o rakietach, gdyż prawa człowieka to dla nich rzecz mniej lub bardziej abstrakcyjna; na przykład wolność słowa znaczy tam zupełnie co innego

niz u nas. Lecz sędzę, iż chętnie poszliby na jakieś akcje broniące swobód, tyle że nie bardzo wiedzą, jak to robić. I tak na dobrą sprawę, my również nie wiemy. Nawet niezbyt skutecznie potrafimy upomnieć się o odmawiających służby wojskowej, a co dopiero o jakieś rakiety.

— *Powinniście jednak w pewien sposób kształtować waszych zachodnich partnerów. To przecież ta sama generacja, ludzie podobnie myślący. Niech do pokoju dorzucą jeszcze wolność.*

P.N.: — Wpływ jest dość oczywisty, choćby przez ich bogatą sieć kontaktów z Europą Wschodnią. Zachodni pacyfiści w swoich programach uwzględniają, że odprężenie oddolne, czyli powszechne respektowanie praw człowieka, jest bardzo ważne, a totalitarna władza jest zagrożeniem dla pokoju.

— *A lewicowy język? Mnie osobiście nie przeszkadza, lecz zdaję sobie sprawę, iż wysławiechtane przez komunistów slogany działają w Polsce jak płachta na byka. Po wtóre — co również mi nie przeszkadza — w wielu wypadkach zachodni pacyfiści otwarcie przyznają się do lewicowego rodowodu, co u nas jest generalizowane i traktowane niemal jak odstępstwo od wiary ojców.*

P.N.: — Pacyfistami są i lewicowcy, i chrześcijańscy demokraci. Czy warto więc oglądać się na lewicowość niektórych grup? Jeśli na zachodni ruch pokojowy patrzeć przez pryzmat polskich oficjalnych gazet, znaczy to ni mniej ni więcej, tylko dać zamącić sobie w głowie zwyczajną propagandą. Jeżeli inne machloje „czerwonego” nie przechodzą tak łatwo, dlaczego tutaj dajemy się oszukiwać?

— *Wasi uczestnicy, sojusznicy i przyjaciele widzą spory sukces ruchu w zorganizowaniu ostatniego lata międzynarodowego seminarium pokojowego w Warszawie.*

P.N.: — Nazjeżdżało się wiele osób z Zachodu, choć znacznej grupie chętnych nie dano wiz wjazdowych, a nawet cofano z granicy. Ludziom ze Wschodu nie wydano paszportów. Było to seminarium udane, głównie dlatego, iż ludzie ci nigdy wcześniej nie widzieli polskich „pacyfów”, a teraz

poznali się osobiście. Tak samo większość naszych nigdy nie była na Zachodzie. A teraz obejrzeni się, pogadali ze sobą, nawet pokłócili się o kilka spraw (oni twierdzą, że Stany Zjednoczone wyprawiają to samo, co Moskwa).

Poziom referatów może nie był najwyższy — znacznie lepiej prezentowały się dyskusje w zespołach roboczych, na przykład o *non-violence* czy ekologii. Wszyscy uchwaliliśmy, że w sprawie elektrowni atomowych konieczne jest referendum, bo przecież nie jest to sprawa jednego kraju, co dobitnie udowodnił Czarnobyl. Na koniec seminarium podpisaliśmy wspólne dokumenty.

Szykujemy następne imprezy tego typu. Ponieważ Jaruzelski przygotowuje konferencję KBWE czy przewodniczących parlamentów państw-sygnatariuszy porozumienia z Helsinek na 50-tą rocznicę wybuchu II wojny światowej, to my przy tej okazji zorganizujemy konferencję pokojową. Coś na kształt tej, która odbyła się w Wiedniu, również podczas spotkania KBWE. Zauważ, że podobne inicjatywy wychodzą nie tylko od nas. Zbliżone pomysły ma Karta 77 czy Grupa Zaufania z Moskwy, która proponuje spotkanie poświęcone pokojowi i prawom człowieka. Mamy zaproszenia z Węgier i z Czechosłowacji, również propozycje sygnowania wspólnych dokumentów.

— *Właśnie. Bo prócz Zachodu jest jeszcze druga, nasza strona Łaby. Jak tutaj mają się ruchy pokojowe?*

P.N.: — WiP jest jednym z ostatnich takich pomysłów w Europie Wschodniej i wcale nie najlepszym. Podobne formacje powstały wcześniej na Węgrzech i w NRD, choć często nie bez polskiego, pośredniego udziału. Na przykład w NRD spora część niezależnych organizacji pokojowych to odpowiedź na powstanie „Solidarności”. Choćby grupa Rolanda Jana z Jeny — teraz ich wszystkich wyrzucili na Zachód. Zaczęło się od tego, iż Roland przypiął sobie do roweru biało-czerwoną chorągiewkę w geście zwyczajnej sympatii. Okazało się, że nie wolno, choć oficjalnie deklarowano przyjaźń itp., itd.

A jeszcze wcześniej były ruchy związane z Kościołem protestanckim, a także grupa „Przekujmy miecze na lemiesz”. Na Węgrzech — „Dialog”. To wszystko rozpada się i znów klei. Cały czas coś się dzieje.

Znakomita jest czechosłowacka Karta 77. Apel praski to jeden z najważniejszych dokumentów europejskiego ruchu pokojowego, podstawa późniejszego memorandum do KBWE. Memorandum to podpisali prawie wszyscy liczący się w Europie działacze. Skład sygnatariuszy jest bardzo ciekawy: aktywista SPD, związkowcy z Hiszpanii i Włoch, biskup Kopenhagi, Lublany, episkopat Austrii, itp. Dokument podkreśla, że pokój jest ściśle związany z prawami człowieka, a wszystkie działania na rzecz swobód obywatelskich są jednocześnie działaniami na rzecz pokoju. Oczywiście, mówi się o rozbrojeniu nuklearnym i likwidacji bloków wojskowych, ale równoległe i równorzędnie o wolnościach związkowych, swobodzie podróżowania, wolności słowa, statusie więźniów politycznych i zwolnieniu wszystkich więźniów sumienia (ważne rozróżnienie — więzień polityczny to ten, który w swej działalności nie dopuścił się stosowania przemocy).

Dobrze działa ruch pokojowy w Jugosławii, przede wszystkim w Słowenii.

— Wróćmy na własne podwórko. Wasza działalność jest bardzo kolorowa, spektakularna. Po raz pierwszy w historii PRL organizujecie sitingi, kilku ludzi ma odwagę robić uliczne demonstracje. Jeszcze plakaty i ulotkowanie, czyli same atrakcje — w dobrym tego słowa znaczeniu — dla zwykłych przechodniów, szczególnie młodych. Czy to nie wpływa na wzrost popularności?

P.N.: — To nie my pierwsi usiedliśmy w PRL na ziemi — pamiętaj o niezależnej manifestacji pierwszomajowej w Warszawie w 1985 roku. WiP-owcy są zdecydowani, bo tak naprawdę nie ma się czego bać. Przecież cię nie zabiją, jak usiądziesz na ziemi. Poszliśmy na znane wszędzie techniki *non-violence* i to wszystko.

To jest rzeczywiście barwne, lecz nie wiem, czy dodaje nam zwolenników. My siadamy na ulicy, jesteśmy zdecydowani zapłacić te 50 tysięcy na kolegium, a ludzie stoją, czekają co się dalej stanie, kiedy przyjedzie policja. Niektórzy pukają się w czoło, patrzą na nas, jak na cyrk objazdowy. Bo strach jeszcze jest.

Podobnie było z odsyłaniem książeczek wojskowych. Odesłało je kilkadziesiąt osób. Później część odebrała, bo bali się, nie chcieli mieć kłopotów. Jest różnie. Mamy takie metody, jakie mamy.

— *Czy one skutkują?*

P.N.: — Też różnie. Chodzi nam przede wszystkim o uruchomienie pewnych mechanizmów społecznych, odblokowanie strachu. Myślę, że wielkim sukcesem Ruchu jest sprawa huty Siechnice we Wrocławiu. Nie dlatego, że „czerwony” zadeklarował jej zamknięcie, bo tak naprawdę, to nie zamyka. Pokazaliśmy jednak, że zdeterminowani ludzie, których przecież nie jest tak wielu, mogą coś załatwić.

Drugi sukces, to historie dziejące się w Międzyrzeczu. Tam z kolei władza wymyśliła żeby zrobić w poniemieckich bunkrach składowisko odpadów radioaktywnych. Miesiąc w miesiąc organizowane są marsze protestacyjne. Nie my je przygotowujemy, choć ludzie z WiP-u są zawsze obecni. Te marsze są lokalną inicjatywą społeczną.

— *Doszliśmy więc do ekologii, drugiego obszaru waszej działalności.*

P.N.: — Sprawy ochrony środowiska naturalnego włączyliśmy już do deklaracji ideowej Ruchu, lecz na serio zaczęło się od Czarnobyla. Generalnie jesteśmy przeciwko elektrowniom atomowym; opowiadamy się za referendum w tej sprawie. Faceci z Gdańska piszą petycje, zbierają podpisy, organizują sitingi przeciwko projektowanej elektrowni w Żarnowcu na Pomorzu. W Gorzowie Wlkp. wleźli na daszek nad wejściem do domu towarowego, a szyby okleili plakatami. To — na razie — nie skutkuje, lecz nie ma najmniejszych powodów, by z elektrowniami nie walczyć.

W sprawie Siechnic uzyskaliśmy poparcie Polskiego Klubu Ekologicznego, ale było to poparcie jakby przy okazji. To nie jest formalny sojusz między nami, jednak PKE po prostu rzetelnie traktuje ekologię, nie idzie na żadne koncepcje tak zwanego mniejszego zła. W przeciwieństwie do ministra ochrony środowiska naturalnego, którego aktywność polega na wydawaniu zezwoleń, by budować zakłady bez oczyszczalni ścieków. W świetle obowiązującego prawa nie można stawiać nowych fabryk bez zabezpieczeń ekologicznych. Ale ustawa przewiduje, że minister może zwolnić zakład z konieczności budowy oczyszczalni czy zakładania filtrów kominowych. I on przede wszystkim właśnie to robi.

— *Nie lubi was nie tylko minister od świeżego powietrza...*

P.N.: — W ogóle nie lubi nas władza, bo uderzamy w jeden z filarów tego systemu, jakim jest przemoc. Jeszcze ponoć podważamy wiarygodność wojska, przedstawiając polską armię jako filię sił sowieckich. Ale przecież faktycznie trochę tak jest.

Kwestionujemy potrzebę istnienia wojska i domagamy się zastępczej służby cywilnej. Ale wśród nas znajdują się również i tacy, którzy nie chcą nawet służby cywilnej, bo przecież ludzi nie wolno zmuszać do czegokolwiek. Lecz generalnie służba zastępcza może być, byle w warunkach bezpiecznych dla zdrowia i życia, więc z pewnością nie w kopalni, co nam proponują. Za to na pewno praca społecznie użyteczna, przede wszystkim w szpitalach.

Państwo musi szanować indywidualne decyzje odmowy służby wojskowej. To jest nawet po linii marcowej rezolucji ONZ z 1987 roku.

— *Państwo powinno, ale nie chce. Jako grupa zaliczacie najwięcej kolegów, zaś ataki prasowe na was nie przebiegają w środkach. Są to zwyczajne oszczerstwa, pomówienia, kłamstwa. W najlepszym razie mocno tendencyjnie podawane informacje.*

P.N.: — Często prasa po prostu łamie prawo. Wytoczyłem sprawę sądową jednemu dziennikarzowi z piśmka MSW, *W służbie narodu*. Oskarżyłem go o przestępstwa przeciwko pokojowi. Facet napisał artykuł, w którym strasznie opluł WiP. Stwierdził, prócz całej masy inwektyw, że jesteśmy dziećmi grenadiera Schimka, chętnymi do paradowania w tych samych jak ojciec, wehrmachtowskich mundurach. To już zdecydowane przegięcie pały, choć z drugiej strony, skoro Schimek-dezertier paradował w cywilnych ciuchach, to czemu nie...

Znalazłem więc taką stalinowską ustawę o zbrodniarzach przeciwko pokojowi, która grozi sankcją 15 lat więzienia każdemu, kto szkaluje działalność pacyfistyczną. Skierowałem sprawę do Sądu Wojewódzkiego, a teraz dostałem zawiadomienie, że przekazano ją w kompetencje Sądu Rejonowego Warszawa-Mokotów, więc czekam dalej.

Oczywiście, nie wierzę, żeby facetowi spadł włos z głowy, ale sprawa jest. Poza tym, jak sam siedziałem, też miałem zagrożenie do 15 lat...

— *Naskakuje na was nie tylko władza.*

P.N.: — Chyba nie tak. Mamy dobre kontakty z opozycją, doceniają to, co robimy. A ci, którzy niechętnie patrzą? Może boją się konkurencji?

— *A mit wojska, szabelki, konika, rogatywki? Na dodatek, choć społeczeństwo jest prawie w całości antykomunistyczne, to na tyle spreparowane przez władzę, że niekiedy aż totalitarne, zwłaszcza starsze pokolenie. Wy zaś jesteście wolnomyślicielami, oryginałami. Takich się niezbyt poważa. Poza tym totalitarne społeczeństwo zawsze czeka na wodza, musi mieć armię.*

P.N.: — Wszyscy mówią o micie wojska, a nie o jego wyznawcach. Kto się do nich zalicza? Jest przecież jeszcze ta armia, którą każdy mógł sobie obejrzeć 13 grudnia i później — żołnierzy pilnujących bez najmniejszego sensu koszy z koksem. A wojsko, które strzelało do robotników w Grudniu 1970 roku?

Ten cały mit jest szalenie niejednoznaczny, zaś wśród młodych ludzi legendy po prostu nie ma. No, może ta grupka nawiedzonych antysemitów z kościoła przy Zagórnej w Warszawie. Ale trudno się takimi sprawami przejmować.

— *Czemu przypisać dzisiejsze społeczne nagłośnienie spraw związanych ze służbą wojskową? Swego czasu Niezależne Zrzeszenie Studentów również próbowało zajmować się tymi problemami, lecz uczelnie spasowały, uznając postulaty dotyczące armii za zbyt radykalne. A wy zaczęliście właśnie od tego.*

P.N.: — Dużo się zmieniło w ludzkiej świadomości. Kiedyś pewne rzeczy wydawały się niemożliwe do załatwienia, a dziś się o nie walczy. I nie jest to sprawa pozycji strategicznej w rozgrywce z władzą, która przecież dziś jest mniej wrażliwa na naciski społeczne niż w czasach „Solidarności”, lecz przede wszystkim świadomość.

Młodzi, którzy przeżyli euforię „Solidarności”, łatwiej mogą sprzeciwić się wojsku. Mają bardzo konkretny zasób doświadczeń życiowych. Gdyby ten bagaż był większy, może by się bardziej bali. Gdyby zaś mniejszy — pewnie nigdy by o tym nie pomyśleli. Już mówiłem, że zgłosiłem akces do WiP-u, żeby sobie załatwić wojsko. Ale nie z egoizmu, bo wówczas ganiałbym za lekarskimi świstkami. Powiedziałem sobie, że powalczę, lecz nie zależało mi również na stworzeniu

wielkiego ruchu społecznego, którego byłbym liderem lub jednym z najbardziej znanych członków. I dlatego nie mam wielkich oczekiwań — nie musi odmawiać służby połowa poboru. Niech odmówią ci, którym wojsko rzeczywiście przeszkadza, którzy naprawę się nie nadają.

— *Spróbuj więc powiedzieć, co — twoim zdaniem — stanie się z WiP-em w przyszłości.*

P.N.: — Podstawową sprawą dla WiP-u jest służba wojskowa. Jeśli wyjaśni się pozytywnie, to znaczy, jeśli władza ustali liberalne przepisy, wtedy WiP okaże się niepotrzebny, nie będą potrzebne sitingi i cały ten szum. Zresztą już teraz regionalne struktury „Solidarności” przejmują nasze postulaty, jedynie kierując odmawiających do biur informacyjnych ruchu. Do sprawy podłączyły się także uczelniane ogniwa NZS-u. Jeżeli pójdzie tak dalej, wówczas rozmyjemy się w ilości struktur.

Z drugiej strony, jeżeli władza zacznie nas konsekwentnie wsadzać, to WiP może nie wytrzymać, bo ludzie zaczną się zwyczajnie bać. Sądzę jednak, że na podobne represje się nie zdecydują. Po pierwsze, musieliby dawać duże wyroki. Po drugie, spowodować wyciszenie ruchów pokojowych na Zachodzie, które dziś stają w naszej obronie.

Tutaj dłuższa dygresja, gdyż — niestety — to drugie jest w jakimś stopniu wykonalne. Formacje pacyfistyczne dziś strukturalnie siadają, bo okazały się mało skuteczne w załatwianiu swoich własnych spraw. Ludzie się nie angażują, a przynajmniej nie w takim stopniu, jak podczas szczytowego rozwoju w 1980 roku. Nawet znanym firmom nie udaje się utrzymać aktywności na dawnym poziomie. Pacyfizm to ruch pokoleniowy; ludzie, którzy działali w okresie szczytowego natężenia, teraz odchodzą. Jedni stają się politykami, inni wracają do domowych ogródków. Przychodzi nowa fala, która musi przejść wszystkie etapy: od wściekłej antyamerykańskości — to oni otaczają amerykańskie bazy wojskowe w RFN, Holandii, Hiszpanii — do stanowiska bardziej wyważonego, bardziej spójnego z naszym.

Mamy dobre układy ze starszą generacją. Młodzi się oczywiście podłączają, ale co innego oznacza ogólnikowe, zwyczajne poparcie, a co innego zgrupowanie ludzi wokół faceta, który siedzi.

Zresztą z zachodnimi pacyfistami nie możemy się do

końca dogadać właśnie w takich sprawach. Dla nich jest oczywiste, że jeśli ktoś siedzi, to wówczas trzeba go bronić. Kiedy władza pęka i zwalnia, oni są zadowoleni. Ale nie bardzo wiedzą, co dalej. Dla nich sprawa więźnia sumienia to rzecz czysta, lecz gdy władza zacznie nas represjonować, na przykład przez odmowę wydawania paszportów, to będzie to już zupełna abstrakcja. Po prostu pewnych rzeczy nie rozumie ten, kto ich nigdy nie doświadczył.

Kolejną domeną WiP-u jest ekologia. To sprawa dla wszystkich tak oczywista, że już jesteśmy tylko jednym z ogniw w ruchu obrony środowiska naturalnego, gdzie pierwsze skrzypce gra „Solidarność”. Powstają raporty ekologiczne z Zamościa, Opola, Śląska, Konina. Myślę, że „Solidarność” jest do takich działań lepiej przygotowana. Sam WiP byłby zdecydowanie za słaby, żeby sprawy związane z ekologią popchnąć do przodu.

Sądzę, że WiP coraz bardziej będzie się integrował z opozycją, co nie powinno być takie złe. Zauważ, jak wiele pomysłów naszego autorstwa jest przejmowanych przez inne struktury. Ruch samodzielnie chyba nie utrzyma się na fali, jako grupa konkretnie identyfikowanych ludzi. Ale pomysły zostaną.

— I całe szczęście. Bowiem młodzież jest inna, inaczej myśli i inaczej chce działać, jeżeli w ogóle chce. Generacja „Solidarności”, dzisiejsze 30-40-latki odchodzą, a ktoś musi przejąć pałeczkę.

P.N.: — Niemniej WiP jest kontynuacją „Solidarności”. Został założony przez ludzi, których kręgosłup kształtował się w ciągu 16 miesięcy „karnawału”. Nasza działalność nakierowana jest na samopomoc i samoobronę. Czyli działają tutaj podobne mechanizmy, jak w Związku i w opozycji przedsierniowej.

W ogóle co atrakcyjnego można zaproponować młodemu człowiekowi? Oczywiście to, żeby nie szedł do wojska, którego nie lubi. A co pracownikowi? Wolne związki zawodowe, które go obronią, gdy przyjdzie taka konieczność. Sądzę, że „czerwony” bardziej będzie trzymać się armii niż fabryk. Ale to już zupełnie inna sprawa — ich i nasz problem.

Maj 1988

BYĆ SOBĄ

Publiczność i wykonawcy I Przeglądu Twórczości Ekologicznej i Pokojowej, zorganizowanego w Warszawie w listopadzie 1987 roku przez ruch „Wolę być” i redakcję harcerskiego tygodnika *Na przelaj*, na typowych z całą pewnością nie wyglądali. Ich niepospolite ubrania, wyciągnięte ze spodni koszule, zbyt obszerne podkoszulki miały demonstrować przywiązanie do wygody i naturalności, programowy luz i dezaprobatę wobec sztywności garniturów. A że przy okazji prezentowały również polską szarość i nędzę, choć założeniem miały być kolory, to już tylko i wyłącznie wina miejsca i czasu. Na ponad dwie setki młodzieży zgromadzonej w gmachu teatru Buffo zaledwie kilku nosiło tak zwane lepsze ciuchy.

Prezentowany na zewnątrz luz, to nie tylko nonszalancja strojów, ale również dodatki — przede wszystkim przypinane do swetrów i marynarek niewielkie okrągłe znaczki, których „mowa” od początku do końca określa noszącego je człowieka. Dużo jest znaczków o tematyce i stylistyce typowo punkowej, są trójbarwne buttony rastas. Przy wielu ubraniach lśnią tandetne sowieckie plakietki — od wizerunku „dzieciątka Lenin” po jego dorosłe portrety i wszelkie mutacje czarwonej gwiazdy. „Leniny” przypina się „dla jaja”, żartobliwej prowokacji, oryginalności. Może ktoś nie zrozumie, więc będzie można się pośmiać.

Prawie każdy nosi „pacyfę”, hipisowski symbol pokoju. Gdziegdzie widać inne pozostałości subkultur — dwie czy trzy podniszczone skóry, nastroszone włosy, napisy: „punk no dead”, „fuck hate”, „moje życie chore” i te bardziej związane z ideologią „Wolę być”: „fuck the army”, które

przecież wyrastają z tego samego kulturowego pnia.

Spotkanie „wołębyków” — tak czasami mówią o sobie uczestnicy ruchu — rozpoczęło ogólne śniadanie przy „ekologicznym” stole. Młodzież zajada się ciemnym pieczywem i twarożkiem ze szczypiorkiem, popija zieloną — „działa tak samo jak kawa, ale nie daje takiego kopa” — albo wieloowocową herbatę. Obok leżą wydrukowane na powielaczu przepisy na inne, „zielone” potrawy.

Za „ekologicznym” stołem-barem ustawiono jakby wystawę produktów reklamowanych jako zdrowa żywność. Między roślinnymi produktami, obowiązkowo z dodatkiem otrębów, kielków pszenicy czy mikroelementów, stoi puszka z kukurydzą i importowaną, chińską soją.

— Skąd to macie?

— Kukurydzy i soi nie uświadczysz w sklepach. Przyniosłam z domowych zapasów — odpowiada dziewczyna, która akurat znalazła się za stołem.

I nie ma znaczenia, iż żaden szanujący się dietetyk-ekolog nigdy nie zaleci jedzenia produktów z puszek, choćby ze względu na zawartość substancji konserwujących, a tym bardziej nie nazwie tego zdrową żywnością.

Opodal kolejna ekspozycja — półka z książkami, które „warto przeczytać”. Wszystkie dotyczą ochrony środowiska, problematyki związanej z zachowaniem pokoju, samodoskonalenia i samopoznania.

Sam przegląd twórczości ekologicznej i pokojowej to głównie rockowe piosenki i alternatywny teatr, ale również *happening* na Dworcu Centralnym, uważany przez większość przypadkowych obserwatorów za zwyczajne wygłupy, darmowy występ przyjezdnej menażerii. Wokół przeglądu dzieją się również rzeczy bardziej serio — na przykład dyskusja o „zielonej” szkole, opartej na współdziałaniu i wzajemnej pomocy, pozbawionej natomiast rywalizacji, niezdrowej konkurencji, wolnej od despotycznych i rozkazujących nauczycieli.

Nad całością imprezy dyskretną opiekę sprawują dziennikarze z *Na przelaj*. Dla młodych uczestników ruchu „Wolę być” są bardziej przyjaciółmi niż standardowymi wychowawcami. We wzajemnych stosunkach obowiązuje forma „per ty”.

Lecz bez udziału dorosłych nie byłoby przeglądu. Podobnie jak nie zaistniałby ruch. Wprawdzie „Wolę być” nie powstało na mocy odgórnego nakazu, zaś opiekunowie z

Na przelaj bardzo nie lubią, jeśli powie się o nich, że są animatorami ruchu, to jednak ktoś musi całą sprawę trzymać w garści, być może ochraniać, być może delikatnie, nawet bezwiednie, nią sterować. Nastolatki ze szkół średnich — podstawowa klientela „Wolę być” — są albo zbyt niedojrzali, albo zbyt ulegli, by kreować coś kontrolowanego wyłącznie przez siebie.

„Wolę być” jest spontanicznie powstałym ruchem ludzi młodych, nasto- i dwudziestolatków. Zorganizowali się w 1984 roku, przy poparciu i pomocy tygodnika *Na przelaj*. Dwa lata później na zlocie we Fromborku zarejestrowano 860 uczestników ruchu. Ich liczba stale rośnie. Powstają nowe grupy w wielu regionach Polski.

Ruch „Wolę być” ma charakter niesformalizowany. Jego uczestnicy odcinają się od pozornych działań organizacji młodzieżowych, ich politykierstwa i udawanej niezależności. Mają nadzieję stworzyć alternatywę dla tzw. rock-podkultury. W manifestach ruchu zawarty jest program ekologii głębokiej, oznaczającej ochronę życia we wszystkich jego przejawach, jak również hasła moralnej odnowy i ruchu „non violence”.

Młodzi z „Wolę być” zaczynają od małych kroków: przeprowadzają akcję o ścieżkę rowerową w Warszawie, akcję „choinek w doniczkach”. Do niedawna spotykali się z lekceważeniem i obojętnością. Na jednym z oficjalnych spotkań usłyszeli, że są agentami Wolnej Europy.

„Uczestnicy ruchu zdają sobie sprawę, że w obecnej sytuacji to, co robią, zmienia bardziej ich samych niż otoczenie. Ale to dopiero początek. Życzymy im nowych, dobrych pomysłów i wytrwałości”.

Tak pochlebna ocenę wystawił „wolębyćkom” podziemny tygodnik *Wola* w jednym z marcowych numerów pisma z 1987 roku. Dużo w niej racji, lecz warto przypomnieć, iż ruch nie jest oskarżany wyłącznie o to, że jest agenturalną młodzieżową wtyczką radia Wolna Europa. Niektórzy mówią o nich „czerwone pająki”. Może dlatego, że w kilka miesięcy po notce w *Woli* „Wolę być” odbierał nagrodę organu KC PZPR *Trybuny Ludu* za słuszną, acz niekonwencjonalną pracę z młodzieżą.

Bo rzeczywiście ruchowi trudno przypisać jednoznaczną etykietkę — nie jest on poddańczo potulny jak organizacje filialne do partii, ani wyzywająco buntowniczy i dysydencki jak pokrewny światopoglądowo WiP. „Wolę być” zajmuje tak potrzebny dla normalnego życia środek (choć w Polsce

wcale nie wiadomo, czy jest to środek „złoty”), buntuje się łagodnie, siedzi okraciem na barykadzie nie zadzierając ani z jedną, ani z drugą stroną. Zatem dorośli, którzy recenzują poczynania ruchu, powinni ich polubić (notatka w *Woli* i nagroda *Trybuny Ludu*). No, może wygląd uczestników jest zbyt ekstrawagancki, ale szczegółów się nie czepiamy.

Okazuje się jednak, że łagodny bunt wcale nie musi oznaczać akceptacji przez pokolenie ojców. „Wolębyćkom” przypina się łatkę anarchistów, piętnuje się za nieuczesane włosy, domniemany czy prawdziwy brak szacunku dla szkoły, rodziców, organizacji młodzieżowych, wojska.

Zaczęło się 3 lata temu od numeru *Na przelaj* w całości poświęconego ekologii. Wówczas redakcja tego poczytnego wśród młodzieży szkolnej tygodnika opublikowała artykuł-manifest, zatytułowany właśnie „Wolę być”. Tytuł powstał naprędce — pierwotny zdjęła cenzura, gdyż się za bardzo „kojarzył”, lecz nowy okazał się nadzwyczaj chwytliwy. W artykule pisano: „Będą mówić, że jesteście naiwni, bo młodzi. Będą twierdzić, że nie warto podejmować jakichkolwiek działań, jeśli sukces nie jest w zasięgu ręki. Będą was racjami swego doświadczenia przekonywać, że sens życia tkwi w poprzestaniu tylko na tym, co każdy zdoła wokół siebie zgromadzić: trochę różnych rzeczy, trochę bliskich osób. /.../ Egocentrycznej zasadzie 'Mieć' możemy przeciwstawić życie podporządkowane filozofii 'Być', która wcale nie oznacza, że powinniśmy porzucić myśl o zaspokajaniu naszych potrzeb. Wprost przeciwnie: życie w niedostatku pozbawia człowieka poczucia godności, a filozofia 'Być' sprowadza się do tego, żeby człowiekowi utraconą godność, a zarazem poczucie sensu życia i harmonii ze światem przywrócić. /.../ Przedstawiając ideę 'Wolę być' nie oferujemy żadnego gotowego projektu działania, recept czy wzorów. Jesteśmy natomiast przeświadczeni o tym, że zmiany musimy rozpocząć od nas samych i z pozytywnym akceptującym nastawieniem zwrócić się do innych osób. Środki, którymi chce się cel osiągnąć są równie ważne jak cel. To przedsięwzięcie musi mieć tyłu autorów, co współuczestników, bo tylko w ten sposób można realizować 'Wolę być' — czyli społeczną zasadę współzycia ludzi z ludźmi i człowieka z przyrodą”.

Manifest trafił. Może dlatego, iż wykladał rzeczy elementarne, ważne dla tych, którzy noszą w sobie choćby cień idealizmu. Reakcja na artykuł przeszła oczekiwanie jego autorów. Do redakcji przychodziły dziesiątki listów ze wszystkich

zakątków Polski, z wielkich i małych miast, nawet z wiosek. Pisali je ludzie młodzi, a już znakomicie zorientowani w ekologicznych zagrożeniach własnego otoczenia, chętni do pracy na rzecz przyrody, do kontaktów z podobnie myślącymi rówieśnikami, chcący kształtować siebie porzucając surowe determinanty dorobkiewiczostwa skrzywiające życie ich rodziców.

Od samego początku redakcja *Na przelaj* służyła za skrzynkę kontaktową. Powstał również pomysł, by autorzy korespondencji spotkali się ze sobą podczas letnich wakacji. Wybrano okolice jeziora Bobięcin.

Na obóz przyjechali ludzie w bardzo różnym wieku — trafił się dwunastolatek i osoby dwa razy od niego starsze. Nad Bobięcinem nie obowiązywały żadne regulaminy i sztywne obozowe zasady. Każdy mógł robić, co chciał, wstawać, kiedy chciał i dyskutować do białego rana, o ile tylko znalazł partnerów. Pobyt nie kosztował ani grosza — fundusze zdobyła redakcja. Pod koniec obozu jego uczestnicy doszli do wniosku, że szkoda tak się rozstawać, nie zrobiwszy wspólnie nic. Umówili się na częste kontakty i ruch zaczął się kręcić.

Wakacyjne obozy stały się rytuałem „Wolę być”. Dotychczas spotykali się we Fromborku i w Wejherowie, odbyli też kilka wspólnych wyjazdów zimowych. Na obozach w dalszym ciągu żyją bez regulaminów, tak że często nawet nie mają możliwości, by się skrupulatnie policzyć. Choć nie muszą dokładnie nic, niemniej chętnie uczestniczą w spotkaniach z naukowcami zajmującymi się ekologią, przepytują dyrektorów zakładów-lokalnych trucicieli, pracują w biodynamicznych gospodarstwach czy zbierają śmiecie z nadmorskich plaż. Wszystko powolutku, małymi kroczkami. Kiedy we Fromborku jakiś przyjezdny podający się za działacza Solidarności zaczął prześmiewać ich metody, gdyż w Polsce nie trzeba zbierać papierków i pustych puszek, lecz trzeba walczyć z czerwonym, został zlekceważony. Gość nawymyślał „wolębyćkom” od tchórzów, bo: „my walczyliśmy już od Marca 68, a wy co?”. Ale ekologia głęboka głosi, że trzeba akceptować drugiego człowieka, więc działacz nawymyślał i... odjechał, pozostawiając po sobie jedynie niemiłe wspomnienie.

Czego chcą ludzie z „Wolę być”? Chcą czystego powietrza i czystych rzek, chcą powszechnego pokoju. Być może na samym początku chcieli burzyć fabryki zatruwające środowisko naturalne, lecz bardzo szybko zorientowali się w

nader ograniczonej skali własnych możliwości. Teraz więc tylko tłumaczą i pewnie w skrytości ducha liczą, że ich tłumaczenia przyczynią się do zamknięcia jakiegoś zakładu-truciciela. Lecz głośno tego nie powiedzą, za to będą krzyżać o konieczności zmiany samego siebie.

„Wolębyćki” mówią o sobie, że są moralnie apolityczni, więc w dyskusjach z dyrektorem budowy elektrowni atomowej w Żarnowcu nie używali argumentu, iż inwestycja ma polityczny charakter. Dyrektorowi z pewnością było z tego powodu łatwiej.

Za to w kwestiach ekologicznych byli do dyskusji znakomicie przygotowani, doskonale orientowali się w skutkach, jakie niesie za sobą awaria jądrowego reaktora. Zaś po tragedii w Czarnobylu na swoich plakatach obnoszonych podczas legalnych manifestacji przemianowali Żarnowiec na Żarnobyl. Zdjęcia plakatów ukazały się nawet w oficjalnej prasie. Ani „wolębyćkom”, ani dziennikarzom włos z głowy nie spadł.

Ludziom z ruchu nie podoba się pomysł lokalizacji składowiska odpadów z przyszłych elektrowni atomowych w poniemieckich fortach w Międzyrzeczu, decyzji niebezpiecznej z przyczyn geologicznych — bunkry często zalewane są wodą — i zagrażającej unikalnemu w Europie rezerwatowi nietoperzy. Znow zastosowali te same metody protestu, a więc dyskusje na każdym niemal forum (byle by było oficjalne), listy, petycje, legalne manifestacje.

Jesienią 1986 roku zorganizowali w Warszawie demonstrację rowerową, której celem było alarmowanie władz i opinii publicznej o skutkach degradacji środowiska, a którą, oczywiście, prowadził zmotoryzowany milicjant. Kilka miesięcy później urządzili sprzedaż choinek w doniczkach, po to, by „kształtować zachowania proekologiczne”, uświadomić ludziom, że lepsze jest zielone drzewko, które przetrwa święta, niż opadłe z igieł, suche szkielety, zalegające tuż po Bożym Narodzeniu miejskie śmietniki. Dzięki staraniom „wolębyćków” w Gdańsku zamknięto szkołę podstawową, w której zapylenie pyłem bitumicznym, pochodzącym z wadliwie wykonanych podłóg przekroczyło dwustukrotnie normy przemysłowe. Wprawdzie uczestnicy tej akcji przesiedzieli kilka godzin w lokalnym komisariacie, podejrzani o kolaborację z WiP-em, lecz później o zamknięcie szkoły walczył również nawrócony na ekologię szef posterunku.

W Sudetach złapali się za sadzenie drzewek, choć doskonale wiedzieli, że młode lasy zostaną szybko zniszczone

przez kwaśne deszcze. Zamierzają pikietować sklepy sprzedające produkty kombinatu rolno-przetwórczego Płudy, jako że te zakłady — prócz produkcji owocowych soków i dżemów — wyspecjalizowały się również w zatrutowaniu środowiska.

A nade wszystko chcą nauczyć siebie i swoich kolegów nawyku ochrony przyrody, co — jak na razie — bardziej przypomina żale nad rozdeptaną szarotką niżli protestacyjne działania ludzi tworzących ruch „zielonych”. Lecz być może mają rację, iż na początku rzeczy wielkich leżą drobiazgi.

Lecz w sprawach związanych z ekologią potrafią czasami „pójść na całość”. Ich opiekunowie z *Na przełaj* byli chyba nieźle przestraszeni, gdy młodzież postanowiła niemal kłaść się pod samochody startujące w Rajdzie Kormoranów, który chciano rozegrać na terenie ścisłego rezerwatu. A zadrzec z organizatorami rajdu oznaczało konflikt z miejscową nomenklaturą. Szczęśliwie wystarczyły pisemne protesty — samochody pojechały inną, niż zaplanowaną uprzednio, trasą.

Członkowie „Wolę być” uważają siebie za zdeklarowanych pacyfistów. Pewnie dlatego w *Na przełaj* wydrukowano „osobiste umowy pokojowe”: „(...) Pragnę Ciebie zawiadomić, że nie znam żadnych przyczyn mogących doprowadzić do powstania konfliktu między nami, a wszelkie próby przeciwstawiania sobie ludzi uważam za zbrodnię przeciwko ludzkości (...)” Pod tymi umowami podpisują się uczestnicy ruchu i wysyłają je swoim znajomym za granicę. Niektórzy z „wolębyćków” ogłosili swoje mieszkania sferami bezatomowymi. Zorganizowali też objazdową wystawę zabawek militarnych, pod tytułem „Generałowie i dzieci, nie bawcie się w wojnę”. Potrafią również pikietować stoiska z zabawkami, oferującymi — obok misiów i lalek — plastikowe szablonki, hełmy, imitacje karabinów i pistoletów. Niby są to nic nie znaczące gesty, a jednak w wielu wypadkach odnoszą zamierzony skutek. Na przykład rodzice nie kupowali swoim dzieciom czołgów czy karabinów, kiedy wokół stoiska stali młodzi ludzie, głośno rozprawiający o absurdalności takich zabawek.

Nie są to również puste gesty, dlatego, iż potrafią wzbudzić oburzenie i zaniepokojenie tych dorosłych, którzy bez armii nie mogą się obejść. Jakiś zrozpaczony pułkownik napisał w *Żołnierzu Wolności*, iż wystawa zabawek militarnych jest bez sensu i w dodatku niekompletna, gdyż brakuje na niej zachodnich gier komputerowych w rodzaju „raid over Moscow”, „Arnhem”, „NATO commando”,

„Confrontation”, pozwalających „podowodzić” wojskami lądowymi w Normandii, przeżyć operację Market Garden, postrzelać do żołnierzy sowieckich, zbombardować Mińsk i Leningrad, a nawet (w szeregach dzielnej Bundeswehry) przesunąć granice niemieckie nie tylko za Odrę, ale i za Bug... za Ural... ! Brak jakiegokolwiek oznaki protestu przeciwko amerykańskim filmom gloryfikującym „bohaterskich marines” w Wietnamie. Brak wreszcie na tej wystawie „białego Pershinga” skierowanego na Ścianę Wschodnią przy ulicy Marszałkowskiej, gdzie właśnie urządzono wystawę. Pułkownik zapewniał ponadto o niezłomnej woli generałów wyrażającej się w bezpardonowej „walce o pokój” (absurdalność tego powiedzenia „wolebyćki” wykazują we wszystkich niemal artykułach i korespondencjach pacyfistycznych zamieszczonych w *Na przelaj*.

Jednak pułkownik z *Żołnierza Wolności* martwi się chyba troszeczkę na zapas. Świat istniejący wokół „Wolę być” opisują nie tylko przemyslenia uczestników ruchu, ale również artykuły w *Na przelaj* — „ich” gazecie, którą bardzo lubią i której wierzą. Ta natomiast — podobnie jak w przypadku zagrożeń środowiska naturalnego — omija z daleka politykę, a jeśli ją dotyka, wówczas eksponowaną rolę wśród zagrożeń dla pokoju zajmuje właśnie NATO, Stany Zjednoczone, inwazja Grenady, nigdy zaś Układ Warszawski czy okupacja Afganistanu. „Z publikowanych oświadczeń o strategii NATO wynika, iż w planach wojennych tej organizacji znajduje się projekt utworzenia wzdłuż linii Wisły pasa jądrowej pustyni. (...) Normą jest wzajemna nieufność (w stosunkach Wschód-Zachód — przyp. autora): w krajach Europy Zachodniej i w Stanach Zjednoczonych wielu obywateli, nie tylko polityków, jest przekonanych o tym, że państwa Europy Wschodniej mogą w chwili ich militarnego osłabienia przystąpić do wojny. Często ludzi, którzy domagają się pokoju, nazywa się „czerwonymi” albo „agentami Moskwy”, a nasze apele pokojowe i propozycje rozbrojenia po prostu nie docierają do opinii publicznej w tych krajach”. Powyższy cytat poprzedza bardzo sugestywny opis wybuchu i skutków eksplozji bomby jądrowej. Wymowa całego artykułu — jednego z serii podobnych tekstów — pełnego niedopowiedzeń, półprawd i oczywistych fałszerstw jest aż nadto jednoznaczna.

Po wtóre ludzie z „Wolę być” z pewnością szczerze pragną pokoju, ale głośno nie kwestionują samej istoty woj-ska, mimo krętych aluzji zawartych w „osobistej umowie

pokojoyej” (drukowanej również po rosyjsku!). Może w głębi cieliby wymigać się z „zaszczytnego obowiązku”, a może — co jeszcze bardziej prawdopodobne — są zbyt młodzi, by zastanawiać się nad własnym uczestnictwem w armii.

Poza tym polski model obowiązkowej służby wojskowej jest chyba kwestią zbyt niebezpieczną i drażliwą, by można się było na jej temat krytycznie wypowiadać („Wolę być” jest ruchem szalenie przywiązany do legalności swoich deklaracji i działań).

— Co zrobisz, jeśli wręczą ci kartę powołania? — pytam jednego z uczestników ruchu, związanego z „Wolę być” od samego początku.

— Chcesz, żebym udzielił ci konkretnej odpowiedzi, a ja teraz po prostu nie wiem.

— To spróbuj zastanowić się, co byś zrobił właśnie teraz?

— O pokój można zabiegać różnie. Można tak wychowywać dzieci, by nie bawiły się pistoletami.

— Ale dzieci prawdopodobnie przytrafią się tobie później, niż bilet do jednostki wojskowej. Dlaczego więc myślisz o rzeczach bardziej odległych, a nie chcesz zastanowić się nad bliższą przyszłością? Uważasz się za pacyfistę, a to do czegoś winno zobowiązywać.

— (milczenie)

— Czy twoje zapatrywania mogą być charakterystyczne dla większości uczestników ruchu?

— To moje prywatne zdanie.

Po chwili milczenia mój rozmówca mówi zaczepnie.

— I co?! Wyszedłem na oportunistę, „czerwonego pająka”?

(po rozmowie uczestnik „Wolę być” poprosił o zachowanie anonimowości)

Niemniej wśród uczestników ruchu krążą gazetki i ulotki WiP-u, a bardzo często, w szczególności w przypadku protestów związanych z ekologią, pojawia się nader oczywiste pytanie: „W sumie staramy się robić prawie to samo co WiP, a oni idą do więzienia i stają przed kolegiami, podczas gdy z nami nie dzieje się nic groźnego. Dlaczego tak jest?”

Ruch „Wolę być” ma tyle niezależności, ile w dzisiejszej Polsce, bez łamania obowiązujących norm prawnych i doraźnych decyzji władzy, może mieć. Prawdopodobnie również od tego są opiekunowie z *Na przelaj*, by zakresu niezależności pilnie przestrzegać (choć uważanie ich za zwyczajnych

policjantów sprawujących kontrolę nad skupioną wokół redakcji młodzieżą byłoby wielce krzywdzące). Lecz nawet i ten skrawek niezależności kłuje w oczy. Wiele organizacji politycznych i społecznych chciałoby mieć ruch pod własnymi skrzydłami. Próbował już ZHP, próbował także PRON. Obie firmy mają potężne instrumenty nacisku — prócz koneksji w najwyższym kręgu władzy są nimi pieniądze, które można przeznaczyć na tę czy inną akcję, żądając w zamian spełnienia konkretnych warunków. Jak dotychczas „kupowanie” ruchu nie udało się i chyba się nie uda, gdyż „wolębycki” coraz częściej zaczynają dostrzegać walory nawet mocno okrojonej niezależności — niezależności od wszystkich głównych sił politycznych i społecznych w Polsce. Kiedy podczas jednego z letnich obozów gość „Wolę być” występujący w stroju duchownym podkreślał wyższość katolicyzmu nad innymi religiami i światopoglądami młoda uczestniczka ruchu przerwała jego wystąpienie mówiąc: „szanujemy twoje poglądy, ale ty szanuj poglądy tych, którzy się z tobą nie zgadzają”.

O taki gest podkreślający ideową niezawisłość w tym konkretnym przypadku chyba nie było zbyt trudno, gdyż nie rodził on żadnych poważniejszych konsekwencji. O wiele trudniej odmówić sekretarzowi generalnemu PRON przyjęcia pieniędzy na kolejny obóz tylko dlatego, iż wraz z czekiem zostały zgłoszone ściśle sprecyzowane oferty i propozycje.

Dziś akcję „Wolę być” finansuje minister do spraw młodzieży, lecz śmiało można przypisać taki stan rzeczy osobistym układom opiekunów ruchu z *Na przelaj* (minister Kwaśniewski był niegdyś redaktorem naczelnym *Sztandaru Młodych*, zaś personalnych powiązań nie należy lekceważyć) i prawdopodobieństwo trafienia będzie równie duże, jak w przypadku sugestii dotyczących planowanego ubezwłasnowolnienia ruchu.

„Wolębycki” pójdą więc prawie wszędzie, gdzie znajdą możliwości wygadania się i zaprezentowania swojego stanowiska (przedstawiciele ruchu uczestniczyli w telewizyjnym spotkaniu wyselekcjonowanych przedstawicieli młodzieży z generałem Jaruzelskim). Zawędrują na forum młodego pokolenia organizowane przez PRON, podczas obozu spotkają się z sowieckim konsulem, który na pytanie o możliwość wprowadzenia ochotniczej służby wojskowej odpowie: „nas na to nie stać”. Nie krzyczą, nie awanturują się, gdy ktoś się z ich tezami nie zgadza, nie próbują przekonywać na siłę. Dla nich

jest najważniejsze, że przekonali samych siebie. A gdy tylko sprawy ekologii czy pacyfizmu potracą o politykę, wówczas wielu z nich potulnie skuli uszy.

Ale to tulenie uszu po sobie może mieć też swoje przykre konsekwencje. Kiedyś jedna z uczestników ruchu została zatrzymana na 48 godzin za posiadanie WiP-owskiej ulotki. Wiadomo, że siedziała dwie doby za jedną zadrukowaną karteczkę. Wiadomo również, że w mniejszych miejscowościach kilkusobowe grupki „wolębyćków” postrzegane są jako przejaw opozycyjnej epidemii. Może więc odrobina hałasu mogłaby otworzyć oczy nadgorliwym funkcjonariuszom? Jednak próżno marzyć o wyciągnięciu od opiekunów ruchu większej ilości informacji dotyczącej tej konkretnej sprawy. Jej upowszechnienie to sprzeciwienie się władzy, zatem — w ich mniemaniu — dziewczynie z pewnością zaszkodzi.

Właśnie postawa opiekunów jest w dużym stopniu wyznacznikiem postaw uczestników ruchu. Opiekunowie to — było nie było — dziennikarze pracujący w prasie partyjnego koncernu RSW, znakomicie orientujący się, co wolno, a czego nie. Samo istnienie „Wolę być” jest akceptowane przez władze, tak samo jak łagodne protesty, których otoczenie prawie nie dostrzega. Cieszymy się więc, że możemy być, żądamy więcej od siebie, nie żądamy zaś od tych, którzy zawsze mogą przerwać nasze istnienie!

Dlaczego zatem, przy wszystkich ograniczeniach, młodzież garnie się do „Wolę być”? Czy młodzi ekologowie polubili częściowe ubezwłasnowolnienie, dyskretną kuratelę, układy i dojścia starszych protektorów?

Z jednej strony na popularności przedsięwzięcia zaważyła z pewnością moda. Trudno oprzeć się oficjalnej propagandzie, która dokłada wszelkich starań, by wszystkie zachodnie ruchy ekologiczno-pokojowe przedstawić w jak najlepszym świetle. Wiąże się to również z eksponowaniem swego rodzaju alternatywnego sposobu życia, dobrego tam, więc może dobrego i u nas. Samo słowo „alternatywa” jest dla wielu młodych decydującym czynnikiem nakłaniającym do wstąpienia do ruchu, zaś o atrakcyjności wszystkiego, co przychodzi z Zachodu, nie trzeba przekonywać żadnego mieszkańca Europy Wschodniej. „Wolę być” jest niezbyt zręczną kopią zachodnich ruchów ekologiczno-pacyfistycznych, zamkniętą w klatce ograniczeń polskiego „real-socjalizmu”.

Lecz nie tylko alternatywność haseł przyciąga nowych zwolenników. Wśród ludzi młodych, podobnie myślących i czujących, uczestnicy ruchu czują się zwyczajnie potrzebni, dostrzeżeni i ważni. Stoją w pół kroku za buntowniczymi subkulturami, o kilka kroków wyprzedza ich zdeterminowany WiP. Ale prócz tego, że mogą być razem, chcą zrobić jeszcze coś. I tym czymś jest właśnie bitwa o szarotki.

— Kiedyś ruch serio brał się za ekologię — mówi jeden z uczestników „Wolę być”. — Dziś jest już nieco inaczej. Stoją przed nami dwa zagrożenia. Albo przekształcimy się w firmę z etatami, stanowiskami, statutem i zostaniemy jedną z wielu organizacji, które nie robią nic, albo też — co widać już teraz — staniemy się dość liczny kręgiem towarzyskim i będziemy spotykać się tylko ze względu na zawarte przyjaźnie. I jedno, i drugie rozwiązanie oznacza koniec ruchu.

Być może „Wolę być” traci pierwotne kształty spontanicznego przedsięwzięcia powołanego do obrony wyższych celów: pokoju i środowiska naturalnego. Niemniej zaspokaja inne potrzeby znacznej części młodej generacji, polegające na obronie własnej młodości. „Wolę być” pozwala na odreagowanie męczącego nacisku, wywieranego na całą posierpniową generację — albo jesteście za „Solidarnością” i wówczas musicie zdecydować się na bardzo konkretną, „dorosłą” postawę, albo za władzą, co obliuguje do równie jasnych wyborów. A „wolębyćki” zwyczajnie tego nie chcą.

I trudno się sprzeczać, iż taki ruch służy przede wszystkim młodzieży. Takiej postawie nie należy się wcale dziwić. W zawłaszczonej przez dorosłych rzeczywistości nie znaleźli z wielu powodów swojego miejsca, więc poszukali go gdzie indziej. Nie są ani „czerwonymi pajakami”, ani agentami Wolnej Europy, starają się być sobą. Stąd znaczki z małym Leninem i niepokorne fryzury, stąd również powtarzany raz po raz zarzut, iż „Wolę być” poprzez brak jasnego porządku wewnątrzorganizacyjnego i regulaminów jest anarchizującą formacją i demoralizuje nawet harcerstwo. Przecież w Polsce harcerstwa — podobnie jak innych organizacji młodzieżowych — demoralizować nie wolno.

Listopad 1987

POSŁOWIE

Maksyma, ukuta przez Waltera Raleigha, głosi: „Kto pisząc współczesną historię, będzie się starał deptać prawdzie po piętach, ten może dostać w zęby”. Trzeba przy okazji pamiętać, że uderzenie może nadejść z wielu stron.

Można dostać w zęby od adwersarzy, bowiem opis oraz interpretacja postaw i zachowań dzisiejszej młodzieży nie muszą prowadzić do wniosków przedstawionych w tej książce. Wolno przecież zachwycać się dorobkiem „Oaz”, potępiać zaś młodzieżowe subkultury i związaną z nimi tradycję rocka. Bardzo różnie oceniany jest „Monar” i „Wolę być”. Bardzo różnie oceniana jest też gospodarcza aktywność posierpniowych roczników. Nie zmienia to jednak faktu, iż dzisiejsi nasto- i dwudziestolatkowie, to generacja o dużych podziałach wewnętrznych, chyba najbardziej pluralistyczna ze wszystkich pokoleń, które dotychczas znaczyły historię PRL. A to jest już wartość sama w sobie.

Można oberwać od upływającego czasu. Młodzież dorosłeje, porzuca dawne formy zachowania, „wypisuje się” z powołanych przez siebie generacyjnych ruchów i organizacji. Rozpadają się rockowe zespoły, a wraz z nimi „załogi”, zjednoczone wokół pokoleniowych idoli. Ruch Społeczeństwa Alternatywnego zatracił dawną dynamikę — okazał się tworem tak potrzebnym, bo powstałym spontanicznie, na skutek autentycznej presji młodzieży, jak i efemerycznym. Spory wewnątrz WiP-u — pomimo ostatnich spektakularnych sukcesów: zmiany treści przysięgi wojskowej i wprowadzenia służby zastępczej z powodów religijnych i światopoglądowych — mogą rozłożyć na obie łopatki również działalność tej formacji. Wielu działaczy ruchu wspomina nawet, iż obecna

formuła WiP-u jest zbyt rozciągliwa, że przydałby się bardziej sztywny szkielet organizacyjny, konkretna struktura.

Lecz w miejsce podupadających „firm” młodzieżowych ciągle powstają nowe, np. gdański Ruch Społeczeństwa Zaan-gażowanego, warszawskie porozumienie szkół średnich czy śląski ruch młodzieży „Solidarność”.

Także w zakładach pracy doświadczonych działaczy zastępują nowi; wystarczy prześledzić skład członkowski i dane metrykalne uczestników Komitetów Założycielskich NSZZ „Solidarność” w wielu fabrykach. Wymianę generacji w pewnym sensie ilustrują kwietniowo-majowe i sierpniowe strajki '88 roku. Nad tymi zjawiskami warto się zastanowić.

Warszawa, listopad 1988

SPIS RZECZY

Od wydawcy	7
<i>Młodzież — jaka jest</i>	9
<i>Pokolenie nowego rocka</i>	19
<i>Monar</i>	33
<i>Forsa musi być w ruchu</i>	48
<i>Homki</i>	59
<i>Młody Wrocław</i>	71
<i>Sposób na życie</i>	84
<i>Twierdza nienawiści</i>	91
<i>Samoobrona</i>	102
<i>Być sobą</i>	115
<i>Postowie</i>	127

KATALOG KSIĄŻEK „BIBLIOTEKI KULTURY”

	Stron	F.
Anderman, J.: <i>Kraj świata. Opowiadania</i>	75	50,00
Beauvois Daniel: <i>Polacy na Ukrainie 1831-1863</i> (Szlachta polska na Wołyniu, Podolu i Kijowszczyźnie)	296	120,00
Bieńkowska, D.I.: <i>Pieść suchego języka</i> (Poezje)	64	9,00
Bereś W. i Burnetko K.: <i>Tylko nie o polityce</i>	128	70,00
Brandys, K.: <i>Miesiące 1985-1987</i>	192	80,00
Braun K.: <i>Pomnik</i>	110	65,00
Broński, M.: <i>Teksty i preteksty</i> (Eseje literackie)	272	75,00
Bugajski, Ryszard: <i>Przesłuchanie</i> (Scenariusz filmowy)	112	45,00
Busza, A.: <i>Znaki wodne</i> (Poezje)	64	7,00
Czapska, M.: <i>Czas odmieniony</i>	160	35,00
Czapski, J.: <i>Tumult i widma</i>	352	85,00
Czaykowski, B.: <i>Pont-no-point</i> (Poezje)	96	10,00
Czaykowski, B. i Sulik, B.: <i>Polacy w Wielkiej Brytanii</i>	581	30,00
Czerniawski, A.: <i>Wiek złoty</i> (Poezje)	64	25,00
Danilewicz Zielińska, M.: <i>Bibliografia. Kultura</i> (1958-1973), <i>Zeszyty Historyczne</i> (1962-1973), <i>Działalność wydawnicza</i> (1959-1973)	432	75,00
Danilewicz Zielińska, M.: <i>Bibliografia. Kultura</i> (1974-1980), <i>Zeszyty Historyczne</i> (1974-1980), <i>Działalność wydawnicza</i> (1974-1980)	310	85,00
Danilewicz Zielińska, M.: <i>Bibliografia. Kultura</i> (1981-1987), <i>Zeszyty Historyczne</i> (1981-1987), <i>Działalność wydawnicza</i> (1981-1987)	342	150,00
Danilewicz Zielińska, M.: <i>Wspomnienia o Bibliotece Narodowej w Warszawie</i>	76	15,00
Dobek, Cz.: <i>Drugi rzut i inne opowiadania</i>	288	17,00
Giełżyński, W.: <i>Budowanie Niepodległej</i>	336	100,00

	Stron	F.
<i>Głos</i> („Dokumenty” Nr 47)	272	75,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane” t. I, <i>Ferdydurke</i>	296	55,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane” t. VI, <i>Dziennik (1953-1956)</i>	304	75,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane” t. VII, <i>Dziennik (1957-1961)</i>	256	70,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane” t. VIII, <i>Dziennik (1961-1966)</i>	221	60,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane” t. II, <i>Trans-Atlantyk</i>	130	40,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane” t. XI, <i>Wspomnienie polskie.</i> — <i>Wędrowki po Argentynie</i>	256	65,00
Grynberg, H.: <i>Życie codzienne i artystyczne</i>	180	50,00
Guzy, P.: <i>Krótki żywot bohatera pozytywnego</i>	160	40,00
Haupt, Z.: <i>Szpica</i> (opowiadania, szkice)	288	120,00
Heller, M.: <i>Maszyna i śrubki</i> . Jak hartował się człowiek sowiecki	286	120,00
Heller, M.: <i>Polska w oczach Moskwy</i>	208	75,00
Iwańska, A.: <i>Świat przetłumaczony</i>	210	15,00
<i>Jak z tego wyjść</i> (Seria „Dokumenty”)	80	25,00
Herling-Grudziński, G.: <i>Dziennik pisany nocą (1984-1988)</i> - t. IV	400	170,00
Herling-Grudziński, G.: <i>Inny świat</i>	256	85,00
Kaczmarek, J.: <i>Wiersze i piosenki</i>	140	45,00
Karpiński, J.: <i>Taternictwo nizinne</i> . Jak doszło do „sprawy taterników”	123	55,00
Kisielewski, S.: <i>Podróż w czasie</i>	136	40,00
Koestler, A.: <i>Ciemność w południe</i>	208	70,00
Korybutowicz, Z.: <i>Grudzień 1970</i>	160	55,00
Kot, St.: <i>Jerzy Niemirycz, inicjator Ugody Hadziackiej</i>	80	7,00
Kowalik, J.: „ <i>Kultura</i> ” 1947-1957. Bibliografia <i>Kultury</i>	392	15,00
Kowska, J.: <i>Pogranicze</i>	280	80,00
Kraśniewska, W.: <i>Po wyzwoleniu...</i> (1944-1956)	272	95,00
Krzyżanowski, J.R.: <i>Banff</i> . Powieść	155	75,00
Kuśmerek, J.: <i>Stan Polski</i>	80	30,00
Lipski, J.J.: <i>Szkice o poezji</i>	200	95,00
Łobodowski, J.: <i>Dwie książki</i>	108	45,00
Madej, B.: <i>Piękne kalalie albo dojrzewanie miłości</i>	168	24,00
Mickiewicz, A.: <i>Księgi Narodu i Pielgrzymstwa Polskiego</i>	104	25,00
Mieroszewski, J.: <i>Materiały do refleksji i zadumy</i>	256	40,00
Michnik, A.: <i>Z dziejów honoru w Polsce</i> . Wypisy więzienne	286	95,00
Miłosz, Cz.: <i>Dolina Issy</i> („Dzieła Zbiorowe” t. 5)	196	70,00
Miłosz, Cz.: <i>Kroniki</i>	80	45,00
Miłosz, Cz.: <i>Nieobjęta ziemia</i>	148	55,00
Miłosz, Cz.: <i>Ogród nauk</i> („Dzieła Zbiorowe” t. 10)	256	65,00
Miłosz, Cz.: <i>Poezje</i> t. I („Dzieła Zbiorowe” t. 1)	292	75,00
Miłosz, Cz.: <i>Poezje</i> t. II („Dzieła Zbiorowe” t. 2)	240	70,00

	Stron	F.
Miłosz, Cz.: <i>Poezje</i> t. III („Dzieła Zbiorowe” t. 11)	112	30,00
Miłosz, Cz.: <i>Prywatne obowiązki</i> („Dzieła Zbiorowe” t. 7)	256	60,00
Miłosz, Cz.: <i>Rodzinna Europa</i> („Dzieła Zbiorowe” t. 6)	248	60,00
Miłosz, Cz.: <i>Widzenia nad zatoką San Francisco</i> („Dzieła Zbiorowe” t. 9)	174	40,00
Miłosz, Cz.: <i>Zaczynając od moich ulic</i> („Dzieła Zbiorowe” t. 12)	364	120,00
Miłosz, Cz.: <i>Zdobycie władzy</i> („Dzieła Zbiorowe” t. 4)	160	60,00
Miłosz, Cz.: <i>Ziemia Ulro</i> („Dzieła Zbiorowe” t. 8)	224	60,00
Miłosz, Cz.: <i>Zniewolony umysł</i> („Dzieła Zbiorowe” t. 3)	240	60,00
Mostwin, D.: <i>Ja za wodą, ty za wodą...</i>	304	30,00
Mrożek, Sł.: <i>Alfa</i> (Sztuka sceniczna)	84	40,00
Mur, J.: <i>Dziennik internowanego</i>	200	85,00
Newerly, I.: <i>Zostało z uczyty bogów</i>	324	120,00
Nowakowski, M.: <i>Dwa dni z Aniołem</i>	154	55,00
Nowakowski, M.: <i>Grisza ja ciebie skażu...</i>	176	70,00
Nowakowski, M.: <i>Karnawał i post</i>	192	85,00
Nowakowski, T.: <i>Happy-End</i>	288	18,50
Odojewski, Wł.: <i>Zabezpieczanie śladów</i>	128	45,00
Orłoś, K.: <i>Historia „Cudownej meliny”</i>	160	70,00
Orłoś, K.: <i>Trzecie kłamstwo</i>	240	65,00
Pietrkiewicz, J.: <i>Poematy londyńskie i wiersze przedwojenne</i>	200	13,50
Pomian, G.: <i>Polska Solidarności</i>	464	120,00
<i>Powszechna Deklaracja Praw Człowieka w językach: polskim, białoruskim, czeskim, litewskim, rosyjskim, słowackim i ukraińskim (Seria „Dokumenty”)</i>	64	10,00
<i>Prawa Człowieka i Obywatela w PRL (13.12.1981 — 31.12.1982). Raport Komisji Helisińskiej w Polsce na Konferencję w Madrycie (Seria „Dokumenty” nr 49)</i>	224	75,00
<i>Przeciw niewolnictwu (Seria „Dokumenty”)</i>	224	65,00
Reale, E.: <i>Raporty. Polska 1945-1946. (Seria „Dokumenty”)</i>	288	18,50
Rekulski, A.T.: <i>Czy drugi Katyń?</i>	46	20,00
Romanowiczowa, Z.: <i>Na Wyspie</i>	168	65,00
Romanowiczowa, Z.: <i>Skrytki</i>	200	55,00
<i>Rozmowy niekontrolowane...</i>	246	75,00
Rymkiewicz, J.M.: <i>Umschlagplatz. To co się wydarzyło i co się wydarza między Polakami i Żydami</i>	223	95,00
Rymkiewicz, J.M.: <i>Żmut</i>	288	110,00
Scherer, O.: <i>W czas morowy</i>	208	13,50
Siewierski, H.: <i>Spotkanie narodów</i>	144	55,00
Smoleński, P. (Tomasz Jerz): <i>Pokolenie kryzysu</i>	134	75,00
Solski, W.: <i>Moje wspomnienia</i>	384	55,00

	Stron	F.
Staliński, T.: <i>Śledztwo</i>	224	25,00
Sułkowski, W.: <i>Szkoła zdobywców</i>	64	15,00
Swianiewicz, St.: <i>W cieniu Katynia</i>	360	80,00
Sylwestrowicz, W.D.: <i>Listy niewysłane</i>	160	70,00
Szczypiorski, A.: <i>Początek</i>	160	65,00
Ślaska, E.: <i>Dochodzenie</i>	128	50,00
Tarniewski, M.: <i>Płonie komitet</i>	196	65,00
<i>Teksty cywilne przez Leopolię</i>	176	55,00
Unger, L.: <i>Orzeł i reszta</i>	388	150,00
Wandycz, P.: <i>Polska a zagranica</i>	294	100,00
Wierzyński, K.: <i>Sen mara</i> (Poezje)	128	11,00
Witos, W.: <i>Moje wspomnienia</i> t. III	527	50,00
Wołoszynowski, J.: <i>Było tak...</i>	200	45,00
Zaremba, P.: <i>Historia dwudziestolecia 1918-1939</i> t. I	238	85,00
Zawadzka-Wetz, A.: <i>Refleksje pewnego życia</i> (Seria „Dokumenty”)	240	16,50
<i>Znasz li ten kraj?</i> (Seria „Dokumenty”)	348	24,00
<i>KULTURA I JEJ KRĄG, 1946-1986</i> . Katalog wystawy czterdziestolecia Instytutu Literackiego. Album. Tekst + fotografie		380,00
<i>Zeszyty Historyczne</i> , poświęcone najnowszej historii Polski, ukazywały się od roku 1962 do 1972 włącznie dwa razy do roku. Od 1973 ukazują się co kwartał: w lutym, maju, sierpniu i listopadzie.		
Każdy <i>Zeszyt</i> liczy 240 (lub 256) stron. <i>Zeszyty</i> Nry 2, 3, 4, 5, 6, 7, 9, 11, 12, 13, 15, 16, 18, 19, 20, 40, 41, 43, 45, 46, 47, 49, 50, 51, 52, 53, 55, 56, 57, 68 są wyczerpane. (Te <i>Zeszyty Historyczne</i> mamy w wydaniu miniaturowym po F. 10,00 za <i>Zeszyt</i> + koszty przesyłki. Tak samo wyczerpane są <i>Zeszyty</i> 21, 22, 39, 44, 48, 67, 71. Ukazał się numer 90 (XI, 1989). Cena pojedynczego <i>Zeszytu</i>		90,00
Prosimy Czytelników, by przy zamówieniach dodawali 10% ogólnej sumy na koszty przesyłki. Koszt przesyłki minimum F. 12,00.		

Prenumerata *KULTURY* na rok 1990:
rocznie — 500,00, półrocznie — 260,00.

Prenumerata *ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH* na rok 1990:
rocznie — 330,00 (pojedynczy *Zeszyt* — 90,00)
(dla prenumeratorów *KULTURY* rocznie — 300,00).

ACHEVÉ D'IMPRIMER
LE 30 NOVEMBRE 1989
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE NOUVELLE
16-24, RUE SOUBISE
93400 SAINT-OUEN

Dépôt légal : 4^e trim. 1989

N° d'imprimeur 2093

